

Willa

Nora Roberts



calibre 0.9.43

Willa

PROLOG

W NOC, kiedy został zamordowany, Bernardo Baptista zjadł na kolację po prostu chleb z serem i popił butelką chianti. Wino było dość młode... on natomiast nie. Ale Śadne z nich nie miało się już więcej zestarzeć.

Bernardo, podobnie jak ta kolacja, był człowiekiem prostym. Od czasu swojego ślubu przed pięćdziesięciu jeden laty mieszkał w tym samym domku na łagodnych wzgórzach na północ od Wenecji. Tam wychował pięćcioro dzieci. I tam umarła jego Śona.

Teraz, w wieku siedemdziesięciu trzech lat, mieszkał sam, a reszta rodziny osiadła o rzut kamieniem, na obrzeŚach wielkiej winnicy Giambellich. w której pracował niemal od dziecka.

Znał Signorę jeszcze jako małą dziewczynkę. Nauczono go zawsze na jej widok zdejmować czapkę. Po dziś dzień Tereza Giambelli, wracając z Kalifornii do swojego castello i winnicy, zatrzymywała się przy nim, by zamienić dwa słowa. I gawędzili o dawnych czasach, kiedy to jej dziadek z jego dziadkiem pracowali razem przy winoroślach. Zwracała się do niego: signore Baptista. Z szacunkiem. On ze swej strony darzył Signorę wielkim respektem i przez całe Śycie był lojalny wobec niej i całej jej rodziny.

Przeszło sześćdziesiąt lat brał udział w produkcji win Giambellich. W tym czasie zaszło wiele zmian. Jedne, zdaniem Bernarda, na dobre, inne na złe. Wiele widział.

W ocenie niektórych, zbyt wiele.

Winorośle, uspięne na czas zimy, niedługo trzeba będzie przycinać. Dotknięty artretyzmem Bernard nie mógł już pracować, ale nadal mógł chodzić po winnicach, sprawdzać grona i obserwować. W ten ostatni wieczór swojego ponad siedemdziesięcioletniego Śycia wyjrzał przez okno, oszacował, co jeszcze trzeba będzie zrobić, i zasłuchał się w grudniowy wiatr gwiŚdŚący w gałązkach winorośli.

Z okna pokoju, do którego wiatr próbował się przedrzeć, widział nagie szkielety krzewów pnących się po zboczu. Z czasem znów nabiorą soków i Śycia, nie zwiędną tak jak człowiek. Na tym właśnie polega cud winorośli.

Siedząc przy kominku, sącył pyszne, dojrzałe wino. Był dumny z dorobku całego Śycia, którego drobny zaledwie owoc mienił się teraz ciemnym szkarłatem w jego kieliszku i odbijał refleksy paleniska. To wino było premią, jedną z wielu przyznanych mu do emerytury. Stały mu w oczach obrazy pól zalanych słońcem, jego roześmianej Śony, Signory stojącej za nim między rzędami.

Signore Baptista, powiedziała mu kiedyś, kiedy z ich twarzy biła jeszcze młodość, ten świat został nam dany. I naszym obowiązkiem jest go chronić.

Wiatr gwizdał w oknach. Na kominku Śarzyły się już tylko węgle.

A kiedy Bernarda dosięgną cios bólu, ostatni, śmiertelny skurcz serca, jego zabójca bawił o dziesięć tysięcy kilometrów stąd, delektując się pieczonym łososiem i wybornym pinot blanc.

CZEŚĆ PIERWSZA

Czas przycinania

BUTELKA Castello di Giambelli Cabernet Sauvignon, rocznik 1902, osiągnęła na aukcji cenę 125 500 dolarów amerykańskich. To masa pieniędzy, pomyślała Sophia, za wino z domieszką sentymentu. Wino w pięknej starej butelce, wyprodukowane z gron zebranych w roku, w którym Cezare Giambelli założył

winnicę Castello di Giambelli na wzgórzu na północ od Wenecji.

W owym czasie nazwa castello kryła w sobie albo blagę, albo najwyśszy optymizm, zależnie od punktu widzenia. Skromny dom Cezare i niewielka kamienna wytwórnia win absolutnie nie przypominały zamku. Wina natomiast miał monarsze i na nich zbudował swoje imperium.

Sophia zapisała wylicytowaną stawkę i nazwisko kupca. Zjawiła się tam nie tylko jako rzeczniczka prasowa firmy i projektodawczyni całej promocji oraz katalogu aukcji, lecz również jako przedstawicielka rodu Giambellich na ekskluzywnej imprezie charytatywnej w przeddzień stulecia winnicy.

Siedziała cicho z tyłu sali, założywszy elegancko nogę na nogę, wyprostowana jak panienska na pensji u zakonnicy. Miała na sobie prądkowany garnitur od dobrego włoskiego krawca. Wyglądała w nim profesjonalnie, a zarazem kobieco.

I tak właśnie o sobie myślała.

Jej twarz stanowiła trójkąt jasnego złota. Dominowały w niej duże, głęboko osadzone piwne oczy, a także szerokie, pełne wyrazu usta. Miała łagodne kości policzkowe, krótko obcięte czarne włosy z króciutką, sterczącą grzywką. Na szyi sznur starych pereł, a na twarzy wyraz uprzejmego zainteresowania. Przy następnej prezentacji aż uniosły jej się kąciki ust.

Wystawiono butelkę barolo rocznik 1934 z beczki, którą pradziadek Sophii nazwał Di Tereza na cześć narodzin jej babki. Na etykiecie widniała Tereza Giambelli w wieku dziesięciu lat, w roku, w którym uznano, że wino dostatecznie długo leżało w dębinie i je zabutelkowano. To była pierwsza butelka, która wyszła poza krąg rodzinny. Zgodnie z oczekiwaniami Sophii, licytacja poszła piorunem.

Męszczyzna siedzący za nią postukał palcem w katalog, w którym widniało zdjęcie owej butelki.

- Pani jest do niej bardzo podobna.

Sophia posłała mu uśmiech. Ów dystyngowany pan dobiegał już chyba sześćdziesiątki.

- Dziękuję.

Marshall Evans, przypomniało jej się nazwisko. Handel nieruchomościami, drugie pokolenie z listy najbogatszych ludzi. Fortune-500.

- Miałem nadzieję, że Signora sama się tu dzisiaj zjawi. Cieszy się dobrym zdrowiem?

- Owszem. Tyle że jest bardzo zajęta.

W kieszeni marynarki poczuła wibrację pagera. Zignorowała go, żeby nie uronić ani chwili licytacji. Niedbale uniesiony palec w trzecim rzędzie wywindował

cenę o pięćset. Dyskretne skinienie głowy w piątym rzędzie ją przebiło. W końcu barolo przebiło cabernet sauvignon o piętnaście tysięcy. Sophia podała rękę mężczyźnie na sąsiednim krześle.

- Moje gratulacje, panie Evans. Pańska dotacja na rzecz Międzynarodowego Czerwonego Krzyża zostanie dobrze wykorzystana. W imieniu rodziny oraz firmy Giambellich wyrażam nadzieję, że smak wynagrodzi panu cenę.

- Nie mam co do tego wątpliwości. - Ujął jej dłoń, podniósł do ust. - Miałem przyjemność przed laty poznać Signorę. To kobieta niezwykła. Może jej wnuczka zaszczyciłaby mnie dziś wieczór towarzystwem na kolacji?

Kiedy indziej przyjąłaby zaproszenie.

- Przepraszam, ale jestem już dziś umówiona. Może następnym razem, kiedy wybiorę się na wschód. Jeśli pan będzie wolny.

- Postaram się o to zadbać. Uśmiechnęła się serdecznie, wstała.

- A teraz pan wybacz...

Wyszła z sali. Wyjęła z kieszeni pager, żeby sprawdzić numer. Potem weszła do saloniku w damskiej toalecie, sięgnęła do torebki po telefon. Wystukała numer, usiadła na jednej z kanap, spojrzała na zegarek.

Miała za sobą długi, męczący tydzień w Nowym Jorku. A jeszcze musi się przebrać na kolację. Jeremy DeMorney, rozmarzyła się... Zapowiadał się elegancki, wykwintny wieczór. Francuska restauracja, rozmowy o podróżach, o teatrze. No i, ma się rozumieć, o winie. Ponieważ Jeremy pochodził z tych DeMorneyów od winnicy Le Coeur i był jednym z jej najważniejszych dyrektorów, będą zapewne dla Sartetów próbowali wyciągać od siebie nawzajem tajemnice swoich firm.

Będzie także szampan. I świetnie, bo miała na niego chętkę.

A po nim nader romantyczne zakusy Jerry'ego, żeby zwabić ją do łóżka.

Ciekawe, czy i na to ma chętkę.

Owszem, Jeremy jest atrakcyjny i potrafi być zabawny. Może gdyby oboje nie wiedzieli, że jej

ojciec przespał się raz z jego Sona, myśl o małym romansiku tak by ich nie odstręczała.

Aczkolwiek minęło już ładnych kilka lat...

- Mario. - Sophia odsunęła myśli o wieczorze, kiedy ochmistrzyni Giambellich odebrała telefon. - Dzwoniła przed chwilą moja matka.

- A tak, panienko. Właśnie czekała, żeby panienka oddzwoni. Jedną chwileczkę.

Sophia wyobraziła sobie, jak owa kobieta sunie przez sale pałacu, szukając, co by tu jeszcze sprzątnąć, bo Pilar Giambelli Avano już wszystko sprzątnęła sama.

Mama, pomyślała Sophia, byłaby szczęśliwa, gdyby mieszkała w domku tonącym w różach, piekła chleb, szydełkowała i zajmowała się ogrodem. Powinna była mieć pół tuzina dzieci, pomyślała Sophia z westchnieniem. A musi się zadowolić tylko mną.

- Sophio? Właśnie wychodziłam do oranżerii. Nie sądziłam, że tak szybko oddzwonisz. Myślałam, że aukcja jeszcze trwa.

- Już się skończyła. Uważam, że odnieśliśmy niezrównany sukces. U was wszystko w porządku?

- Ogólnie biorąc, tak. Twoja babcia zwołała spotkanie na szczycie. Przykro mi, kochanie, ale babcia nalega, żeby zjawili się wszyscy. Czyli musisz tu przyjechać.

- No dobrze, dobrze. - Sophia posłała w myślach po sygnałnego całusa Jerry'emu DeMorneyowi. - Ogarnę tu wszystko i ruszam.

Dwie godziny później leciała na zachód, dumając, czy za czterdzieści lat też

zdoła pozyskać taki autorytet, że wszyscy będą pędzili co tchu na jedno jej skinienie palcem. Aś uśmiechnęła się do tej myśli i usadowiła wygodniej z kieliszkiem szampana w ręce.

NIE wszyscy jednak pędzili tak co tchu. Tyler MacMillan, który znajdował się o kilka minut drogi od Willi Giambellich, uznał, że krzewy winorośli są znacznie ważniejsze od wezwań Signory. Co też oznajmił.

- Przykro mi, dziadku. Sam wiesz, jak ważne jest zimowe przycinanie. Tereza zresztą też wie. - Przełożył telefon komórkowy do drugiego ucha. Nie znosił tych wynalazków. Wiecznie je gubił. - Winnicami MacMillanów trzeba zajmować się tak samo jak winnicami Giambellich.

- Posłuchaj, Tyler - zaczął go uspokajać Eli. - Tereza i ja mamy tyle samo serca dla win MacMillanów co dla win opatrzonej etykietą Giambellich. Nic się nie zmieniło od dwudziestu lat. Sprawujesz nad nimi pieczę, bo jesteś niezrównanym hodowcą. Tereza ma jakieś plany. I te plany obejmują również ciebie.

- Przyjadę w przyszłym tygodniu.

- Jutro. - Eli nieczęsto upierał się przy swoim, tylko w szczególnych wypadkach. - O pierwszej. Na obiad. I ubierz się porządnie.

Tyler spojrzał na swoje wiekowe buciory i wystrzępione nogawki spodni.

- Przecież to w środku dnia.

- Tyler, czy tylko ty jeden w całej firmie MacMillanów umiesz przycinać winorośle? O pierwszej. Postaraj się nie spóźnić.

- Oj, no dobrze, już dobrze - mruknął Tyler, ale dopiero po wyłączeniu telefonu.

Uwielbiał dziadka. Uwielbiał też Terezę. Kiedy dziadek ośmielił się z dziedziczką Giambellich. Tyler zakochał się w ich winnicach, zboczach, piwnicznych lochach. I dosłownie zakochał się w Terezie Louisie Elanie Giambelli. chudej jak patyk, prostej jak pogrzebacz, siejącej postrach postaci, którą po raz pierwszy zobaczył w długich butach i spodniach, obchodzącą dziarsko winnice. Ale nie czuł się jej własnością.

Wyjrzał teraz przez okno i ruszył przez cały swój uroczy, zaniedbany dom.

niegdyś naleśający do dziadka, żeby w kuchni nalać sobie kawy do termosu. Odłożył z roztargnieniem telefon komórkowy na ladę i zaczął szybko w myślach przepracowywać harmonogram zajęć.

Miał trochę ponad metr osiemdziesiąt i sylwetkę wyrzeźbioną pracą w winnicach. Dłonie szerokie, stwardniałe, palce długie, poruszające się zgrabnie między liśćmi winorośli. Jeśli zapomniał podciąć włosy, zaczynały mu się kręcić.

Były kasztanowe, ale w słońcu mieniły się miedzią. Kanciasta twarz wydawała się bardziej surowa niż przystojna, a z kącików bezbrzeżnie błękitnych oczu, które czasem twardniały jak stal, rozchodziły się zmarszczki.

Pracownicy widzieli w nim człowieka prawego, choć niejednokrotnie upartego. Uważali też, że z uprawy winorośli zrobił sztukę. W poczuciu Tylera MacMillana na miano dzieła sztuki zasługiwało samo grono.

Wyszedł na rześkie powietrze. Jeszcze dwie godziny do zachodu słońca, a tyle roboty w polu.

DONATO Giambelli miał nie lada zmartwienie. Nosiło imię Gina. I było jego siostrą. Kiedy dotarło do niego wezwanie Signory, oddawał się właśnie radosnej rozpuście z kochanką. W odróżnieniu od siostry, nie zmuszała go do szadnych rozmów.

Czasami wydawało mu się, że Ginie tylko o to chodzi w syciu.

Trajkotała teraz do niego. Trajkotała do każdego z ich trójki dzieci z osobna.

Trajkotała do jego matki. Aś furczało w odrzutowcu ich firmy od nieustannego potoku jej słów.

Kiedy Sona tak trajkotała, dzieciak wył. mały Cezare czymś bębnił, a Tereza Maria podskakiwała. Don najchętniej otworzyłby klapę i wypchnął całą rodzinę z samolotu w błękitny przestwór. Siedział jednak bez słowa, z pulsowaniem w skroniach, i przeklinał ciotkę Terezę w Śywy kamień za to, Śe zmusiła go do przyjazdu z całą rodziną.

W końcu to on piastuje funkcję wiceprezesa Winnic Giambellich w Wenecji, a zarazem jest siostrzeńcem Signory. Zatem wszelkie sprawy słuŚbowe wymagają jego obecności, ale chyba nie jego rodziny. Dlaczego Pan Bóg pokarał go taką rodziną? I czy to dziwne, Śe szuka satysfakcji poza nią?

- Donny, pewnie Tereza szykuje ci powaŚny awans, a wtedy wszyscy przeprowadzimy się do castello.

Gina miała chrapkę na wielką rezydencję Giambellich. Mnóstwo wspaniałych pokojów, tyle słuŚby, dzieci wyrastałyby w zbytku, no i pewnego dnia fortuna Giambellich znalazłaby się u ich stóp. Bo przecież tylko ona daje Signorze dzieci...

- Cezare - krzyknęła na syna, który właśnie oderwał głowę lalce siostry. -

Przestań! I widzisz? Teraz twoja siostra płacze. Daj no mi tę lalkę. Mamusia zaraz naprawi.

Mały Cezare z roziskrzonymi oczami rzucił ochoczo głowę lalki za siebie i zaczął się droczyć z siostrą.

- Cezare, mów po angielsku! - Pogroziła mu palcem. - Przecież jedziemy do Ameryki. Z ciocią Tereza masz rozmawiać po angielsku, Śeby jej pokazać, jaki z ciebie mądry chłopiec.

Tereza Maria wyła z powodu śmierci lalki. Złapała oderwaną główkę i biegała po kabinie, targana rozpaczą i oburzeniem.

Don wstał, wyszedł i zamknął się w sanktuarium swojego podniebnego gabinetu.

ANTHONY Avano uwielbiał luksusy. Starannie wybrał swój dwupoziomowy apartament na górnym piętrze wieŚowca nad Zatoką San Francisco, a potem wynajął

najlepszego dekoratora w mieście, Śeby mu go urządził. Ściany objane jedwabiami, perskie dywany, lśniące dębowe meble, współczesna sztuka. Tony Avano zdawał się na architektów wnętrz, krawców, maklerów, jubilerów i innych specjalistów, Śeby otaczali go tym, co najlepsze. Za pieniądze, jego zdaniem, moŚna było kupić nawet czyjś gust.

On sam znał się tylko na jednym. Na winie.

Jego piwnice zaliczono do najlepszych w Kalifornii. ChociaŚ na krzaku nie odróŚniał sangiovese od semillon, to miał niebywały węch. I to on pozwalał mu się piąć pomału na szczyt firmy Giambellich w Kalifornii. Trzydzieści lat wcześniej oŚenił się z Pilar Giambelli. Ale nie minęły raptem dwa lata, a zaczął oglądać się za innymi kobietami.

Sam zresztą przyznawał, że kobiety to jego słabość. Ech, bo teś tyle ich się kręci po świecie. Kochał Pilar na tyle, na ile w ogóle był zdolny do miłości. No i nad wyraz odpowiadała mu w hierarchii Giambellich pozycja męża córki Signory. Ze wszech miar dbał o dyskrecję. Nawet kilka razy próbował zawrócić na drogę cnoty.

Wtedy jednak na jego drodze zjawiała się kolejna kobieta, pachnąca i subtelna albo namiętna i uwodzicielska. I co miał, biedny, począć?

Przez tę słabość przegrał swoje małżeństwo, choć nie formalnie. Od siedmiu lat żył z Pilar w separacji. Utrzymywali uprzejme, nawet w miarę serdeczne stosunki.

No i zachował stanowisko dyrektora handlowego w firmie Giambelli Kalifornia.

Trwali w tym wygodnym układzie, a teraz drżał, czy aby nie runie w przepaść.

Rene domagała się ślubu. Niczym jedwabisty walec parowy potrafiła miażdżyć wszystkie przeszkody na drodze. Była niesłychanie zazdrosna, apodyktyczna, wymagająca, obraźliwa.

Pomimo to szalał na jej punkcie.

Miała trzydzieści dwa lata, czyli była dwadzieścia siedem lat młodsza od niego. I wcale nie przeszkadzała mu świadomość, że jego majątek interesuje ją nie mniej niż on sam. Szanował ją za to. Martwił się tylko, że jeśli da jej wszystko, na czym jej zależy, to całkiem przestanie się nim interesować. Iście szatański układ!

Omiatając wzrokiem zatokę, popijając wermut, Tony czekał, aż Rene skończy się ubierać na ich wspólny wieczór. I zamartwiał się, że jego czas dobiegał końca.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Tony musiał otworzyć, bo major-domus miał akurat wychodne.

- Sophio, cóż za miła niespodzianka.

- Cześć, tato.

Uniosła się nieco na palcach, żeby go cmoknąć w policzek.

Przystojny jak zawsze, pomyślała. Dobre geny, no i znakomity chirurg plastyczny, zrobiły swoje. Odsunęła od siebie zjadliwe myśli, starała się wskrzesić pozytywne emocje.

- Właśnie przyleciałam z Nowego Jorku. Chciałam się z tobą zobaczyć, zanim pojedę do Willi. - Przyjrzała mu się. Prawie bez zmarszczek, wyraźny brak trosk.

Ciemne włosy przyprószone na skroniach siwizną, przejrzyste ciemnoniebieskie oczy.

- Widzę, że wychodzisz - skomentowała jego smoking.

- Za chwilę. - Zaprosił ją gestem do środka. - Ale mam jeszcze sporo czasu.

Siadaj, księżniczko, i opowiadaj. Czego ci nalać?

Uniósł swój kieliszek w jej stronę. Pociągnęła nosem, skinęła lekko głową.

- Też poproszę. Jedziesz tam jutro? Podszedł do barku.

- Tam, czyli dokąd? Spojrzała na niego z ukosa.

- Do Willi.

- Nie. A dlaczego pytasz? Wrócił do niej.

Wzięła kieliszek, skosztowała wina w skupieniu.

- Signora do ciebie nie dzwoniła? - Targały nią sprzeczne uczucia. Odkąd Sophia sięgała pamięcią, ojciec zawsze oszukiwał matkę, a w końcu rzucił je obie. nie oglądając się za siebie. Ale wciąż należał do rodziny. - Podobno zwołała kolejne spotkanie na szczycie, tym razem z udziałem prawników. Sądziłam, że powinieneś się na nim pokazać.

- Wiesz, tak się złożyło... Przerwał, bo weszła Rene.

Gdyby istniał wzorzec modelowej kochanki, pomyślała Sophia, a w środku a

się w niej zagotowało. Rene Foxx odpowiadałaby mu w pełni. Wysoka, o krągłych kształtach, blondynka. Suknia od Valentina opinała bezlitośnie opalone ciało. Na tle połyskliwej skóry mieniły się brylanty.

- Witaj. - Sophia wypięła łyk wermutu. - Rene, dobrze pamiętam?

- Tak, od blisko dwóch lat. A ty nadal Sophia?

- Owszem, od dwudziestu sześciu. Tony chrząknął znacząco.

- Rene, Sophia przyleciała z Nowego Jorku.

- Tak? A, to nic dziwnego, że ma takie zmęczenie wypisane na twarzy.

Właśnie wychodzimy na przyjęcie. Jeśli masz ochotę, to chodź z nami. Coś się tam w mojej szafie dla ciebie znajdzie.

- Bardzo to miłe z twojej strony, ale niestety muszę jechać dalej na północ. W sprawach rodzinnych. - Sophia odstawiła kieliszek.

- Bawcie się dobrze.

Tony dogonił ją już przy drzwiach.

- Sophia, nie wybrałaś się jednak z nami? Możesz iść tak, jak stoisz.

- Nie, dziękuję. - Odwróciła się, spojrzała mu w oczy. Malowała się w nich skrucha. Zbyt często ją widywała, żeby się teraz przejąć.

- Jakoś nie jestem w balowym nastroju.

Aż zamrugał, kiedy drzwi trzasnęły mu prawie w twarz.

- Czego chciała? - spytała Rene.

- Tak tylko wpadła.

- Twoja córka nigdy nie robi niczego bez powodu. Wzruszył ramionami.

- Pewno sądziła, że rano pojedziemy razem na północ. Tereza zwołuje całą rodzinę.

Rene zmrużyła oczy.

- Nie mówiłeś mi o tym.

- Bo mnie nie wezwała.

- Jak to? Przecież zajmujesz u Giambellich wyższe stanowisko niż twoja córka. Skoro starsza pani wzywa całą rodzinę, to jedź. Skoczmy tam jutro.

- Razem? Przecież...

- Tony, to świetna okazja, żeby zawiadomić Pilar, że chcesz się rozwieść. -

Podeszła, przejechała mu palcami po policzku. - A po powrocie, wieczorem, pokażę ci, czego możesz się spodziewać ode mnie po ślubie.

Nachyliła się kusząco.

- Może dajmy sobie spokój z tym przyjęciem? Roześmiała się, wyslizgnęła z jego rąk.

- Przecież jest ważne. Podasz mi sobole, kochanie? Tego dnia naprawdę poczuła się bogata.

DOLINĘ Napa oraz otaczające ją wzgórza otulała cienka warstwa śniegu. Po zboczach pięły się winorośle, otoczone mgłą, która schodziła z gór. Winnica drżała przez sen w chłodzie brzasku.

W tej pięknej scenerii narodził się ogromny majątek, pomnażany rok w rok, sezon po sezonie. Produkcja wina wiązała się z olbrzymimi nakładami, dogłębną wiedzą, a zarazem była grą o najwyższą stawkę w okolicy.

Sophia wyrzała z okna willi swojej babci na rozległe tereny owej batalii.

Nadeszła pora przycinania. Jadąc tutaj, wyobrażała sobie, że krzewy już oszacowano i sklasyfikowano, że podjęto pierwsze działania w trosce o przyszłoroczne zbiory.

Cieszyła się, że dzięki wezwaniu babci podejrzy rozwój winorośli we wczesnej fazie.

Ale nie mogła tu długo zabawić. Obowiązki wzywały ją do San Francisco. Musiała dopracować nową kampanię reklamową. Jubileusz stulecia rodu Giambellich dopiero nabierał rumieńców. Kiedy się nim skupi, zapomni o ojcu i tej jego cwanej Rene.

Chociaż to nie jej sprawa, napomniała się za to w duchu. Nie jej sprawa, że ojciec chce się związać z byłą modelką prezentującą bieliznę o sercu rozmiarów i konsystencji rodzyńka. Sophia nie umiała go znienawidzić za tę jego poślawiania godną słabość. Czyli była równie głupia jak jej matka.

On z kolei bardziej dbał o modny krój garnituru niż o którąkolwiek z nich. Był na wskroś egoistą, z rzadka okazywał uczucia, a zawsze roztrzepanie i brak rozwagi.

Co zresztą stanowiło po trosze o jego uroku.

Poślawiała, że zapragnęła go odwiedzić, żeby nie tracić z nim kontaktu.

Lepiej było nie przerywać podróży. Oddać się pracy, wypełniać swoje zawodowymi i społecznymi zobowiązaniami.

Uznała, że poświęci babci dwa dni, nie więcej. Po czym nadrobi je w pracy w dwójnasób.

Gdy tak patrzyła na wzgórza, zobaczyła dwie sylwetki wyłaniające się z mgły.

Wysoki, szczupły mężczyzna w wyświechtanej brązowej czapce i wyprostowana jak pogrzebacz kobieta o śnieżnobiałych włosach, w męskich oficerkach i w spodniach.

Między nimi biegał owczarek collie. Dziadkowie wybrali się na poranny spacer z wierną, leciwą Sally. Na ich widok Sophia aż pojaśniała.

Sześćdziesięciosiedmioletnia Tereza Giambelli była niczym posąg, zarówno ciało, jak i duszę miała jak wyczelowane. Poznała sztukę produkcji wina dzięki dziadkowi, a następnie poślubiła mężczyznę, który zyskał aprobatę rodziny. Miała z nim córkę, Pilar, matkę Sophii, i dwóch nieodślawianych synów, którzy zmarli tuż po porodzie.

Owdowiała w wieku trzydziestu lat i nigdy nie przyjęła jego nazwiska. Zawsze pozostała Giambelli. Jej drugi związek z Elim MacMillanem stanowił małżeństwo z rozsądku, albowiem jego dorodne winnice sąsiadowały w dolinie z jej gruntami.

Mimo upływu dwudziestu lat ze zdziwieniem nadal doceniała wygodę, przyjemność i zwykłą satysfakcję płynące z tego związku. Jej mąż był zacnym, wciąż jeszcze atrakcyjnym mężczyzną.

Mimo że o dziesięć lat starszy od Terezy, najwyraźniej nie miał zamiaru ulegać ułomnościom swojego wieku.

Sophia znów potoczyła wzrokiem po dolinie. Poranna mgła przesycała powietrze rześkim chłodem. Z całą pewnością zimowe słońce nie przedrze się tego dnia zza chmur. Odrzuciwszy mroczne myśli, odeszła od okna, chwyciła kurtkę i pobiegła do dziadków.

WILLA Giambellich przycupnęła na wzgórzu górującym nad doliną, za dzikim lasem. Jej kamienie, chwytając refleksy słońca, mieniły się złotem, czerwienią i umbrą. Willa pyszniła się mnóstwem okien. Miała dwanaście sypialni, piętnaście łazienek, solarium, salę balową i wielką, dostojną jadalnię. Były tam też pokoje muzyczne i pokoje przeznaczone wyłącznie do lektury książek. Pokoje do pracy i do kontemplacji. Dzieła sztuki włoskie i amerykańskie oraz antyki pierwszej klasy. Jeden basen kryty, drugi na powietrzu. Dziedziniec wewnętrzny wyłożony terakotą w kolorze czerwonego chianti z fontanną pośrodku przedstawiającą uśmiechniętego Bachusa, który wiecznie przechyla swój puchar. I bajkowe ogrody.

Mimo swojej przestronności i bezcennych skarbów Willa była nader przytulna.

Kiedy Tyler MacMillan zobaczył ją po raz pierwszy, przywiodła mu na myśl zamek pełen olbrzymich pomieszczeń i labiryntów korytarzy. Teraz jednak bardziej wydała mu się więzieniem, w którym musiał przebywać zbyt długo ze zbyt dużą liczbą osób.

Najchętniej wyszedłby na rześkie powietrze i zajął się winoroślami, popijając mocną kawę z termosu. Tymczasem uwiązał w salonie rodzinnym i popijał ze wszystkimi wyborne chardonnay. Ogień trząskał wesoło na kominku, eleganckie przystawki kusiły na talerzach z kolorowej włoskiej ceramiki.

Tyler nie rozumiał, jak można robić tyle ceregieli wokół jedzenia. Wiedział

jednak, że gdyby wygłosił taką herezję we włoskim domu, z miejsca by go zlinczowano.

Zmuszono go do przebrania się w porządne spodnie i sweter. Na szczęście nie wbił się w garnitur tak jak Donato z Wenecji z tą swoją Soneczką, która za dużo gada i stale ma w sobie wczepionego któregoś rozwrzeszczanego bachora.

Teraz też mały chłopiec, jeżeli szatana z piekła rodem można nazwać chłopcem, leżał na dywanie i roztrzaskiwał dwie cięsarówki o siebie. Sally, owczarek Elego, ukryła się pod nogami Sophii.

Nieźle nogi, odnotował w myślach Tyler.

Sophia była zadbana i układna jak zawsze. Zupełnie jakby zeszła z ekranu kinowego i nabrała trójwymiarowości. Słuchała niby z przejęciem wszystkiego, co Don do niej mówił, nie odrywając od niego dużych, piwnych oczu. Ale Tyler zauważył, że dyskretnie podała Sally pod stołem przystawkę.

- Skosztuj nadziewanych oliwek, Tylerze, są pyszne - zaproponowała Pilar, podchodząc do niego z talerzykiem.

- Dziękuję. - Tyler przestąpił z nogi na nogę, oŚywiając się nieco. Ze wszystkich Giambellich najlepiej czuł się w towarzystwie Pilar. - Wiesz moŚe, kiedy zaczynamy?

- Kiedy mama będzie gotowa, i ani chwili wcześniej. Nie wiem, po co nas tu zwołała, ale Eli najwyraźniej jest w dobrym humorze. A to juŚ dobry znak.

Tyler zaczął chrząkać, ale się opamiętał.

- Miejmy nadzieję.

- Tylerze, nie widziałam cię tu od tygodni. Czym się zajmujesz poza pracą?

- A czym by jeszcze moŚna?

Pokręciła z niedowierzaniem głową, podsunęła mu ponownie oliwki.

- Czy mi się zdaje, Śe rok temu w lecie chodziłeś z taką ładną blondynką? Jak ona miała na imię? Patty?

- Patsy. Niezupełnie chodziłem. Raczej... no wiesz.

- Skarbie, musisz częściej wyrywać się z domu. Nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Tobie teŚ by się przydało.

- Och, ja to juŚ jestem stara miotła.

- Najpiękniejsza miotła na całej sali - zripostował z ukłonem.

- Mamo, chyba ugrzęzłaś tu z tymi oliwkami. - Sophia podskoczyła do nich, poczęstowała się oliwką. Przy swojej posągowej, pięknej matce wyglądała jak piorun kulisty trzaskający elektrycznością. - Błagam, pogadaj ze mną. Czy zostawisz mnie na wieki na pastwę tego nudnego Dona?

- Biedna Sophia. Ale on pewno po raz pierwszy od wielu tygodni powiedział

pięć słów z rzędu, Śeby mu Gina nic przerwała.

- Och, nie daj się nabrać, świetnie sobie radzi. - Przewróciła ciemnymi, orientalnymi oczami. - No i jak tam u ciebie, Tyler?

- Dobrze.

- CięŚko harujesz u MacMillanów?

- Jasne.

- Znasz moŚe jakieś dłuŚsze słowa?

- Znam. Myślałem, że jesteś w Nowym Jorku.

- Byłam - sparodiowała jego styl, ale usta jej zadrgały. - A teraz jestem tutaj. -

Obejrzała się przez ramię, bo dwoje jej małych kuzynów uderzyło w krzyk. - Mamo, jeśli ja też byłam taka niezdolna, to dlaczego mnie nie utopiłaś w fontannie?

- Nigdy nie byłaś niezdolna, kochanie. Wymagająca, humorzasta, ale nigdy niezdolna. Wybaczcie.

Pilar wręczyła Sophii talerzyk z oliwkami i ruszyła zająć się tym, w czym była niezrównana. Przywróceniem spokoju.

- Pewno to ja powinnam była wkroczyć - powiedziała Sophia z westchnieniem, przyglądając się. Jak mama podnosi rozszaloną dziewczynkę i niesie ją do okna. - Ale w Sycylii nie widziałam pary bardziej rozwydrzonych dzieciaków.

- To są skutki ich rozpieszczania, a zarazem pozostawiania samym sobie.

- Jednocześnie? - Zastanowiła się, po czym przyjrzała się Donowi, który nie zwracał uwagi na wrzeszczącego synka, i Ginie, która gruchała idiotycznie do malca. - Wiesz, że to całkiem trafna uwaga - pochwaliła. I odwróciła się znów do Tylera.

To jednak... kawał chłopca, uznała w duchu. Wyglądał jak posąg wyrzeźbiony w skalistym szczycie strzegącym doliny. Gdyby tylko można go było wciągnąć w jakąś sensowną rozmowę.

- Wiesz coś więcej o powodach naszego dzisiejszego spotkania? zapytała.

-Nie.

- Powiedziałbyś mi, gdybyś wiedział?

Wzruszył tylko ramionami i dalej przyglądał się, jak Pilar szepcze do ucha małej Terezy. Sophia zaczęła coś mówić, ale przerwała, bo do pokoju wkroczył ojciec z Rene u boku.

Pilar przy oknie zastygła, od razu uszła z niej cała radość z pocieszania rozszalonej dziewczynki. Natychmiast poczuła się jak brzydka, stara, gruba, zgryźliwa wiedźma. Bo oto zjawił się mężczyzna, który ją porzucił. I to z najnowszą z jej licznych następczyń. Młodszą, piękniejszą, inteligentniejszą, bardziej seksowną.

Ponieważ jednak wiedziała, że jej matka tego nie robi, Pilar podeszła, by ich przywitać. Uśmiechnęła się ciepło i niewymuszenie, rozjaśniając twarz, o wiele zresztą atrakcyjniejszą, niż sama sądziła. W prostych spodniach i swetrze wyglądała bardziej elegancko niż Rene w wyszukanym kostiumie. I miała wrodzoną klasę, która błyszczała jaśniej niż brylanty.

- Tony, jak miło, że przyjechałeś. Witaj. Rene.

- Witaj, Pilar. - Rene uśmiechnęła się łaskawie i przejechała po ręce Tony'ego.

Na jej palcu błysnął brylant. Odczekała ułamek sekundy, Œeby się upewnić, czy Pilar go dostrzegła. - Widzę, Œe... wypoczęłaś.

- Dziękuję. - Pilar poczuła, Œe ma nogi niemal jak z waty. Dosłownie jakby grunt usuwał jej się spod nóg. - Wejdźcie, siadajcie. Czego się napijecie?

- Dzięki, Pilar, ale nie kłopotz się. - Tony cmoknął ją bezosobowo w policzek.

- Musimy najpierw przywitać się z Terezą.

- Idź do mamy - szepnął Tyler, nachylając się do Sophii. -Co?

- Idź. wymyśl jakiś pretekst i wyprowadź stąd mamę. Dopiero wtedy Sophia zauwaŜyła błysk brylantu na palcu Rene i szok matki. Wcisnęła talerzyk Tylerowi, przemierzyła pokój.

- Mamo. mogłabyś mi w czymś pomóc? To nie potrwa długo. - Sophia wyciągnęła Pilar z pokoju i bez słowa zaprowadziła ją do biblioteki. Tam zasunęła za nimi drzwi. - Och, mamo, tak mi przykro.

- Eee tam. - Pilar usiłowała zbyć to śmiechem. Przetarła drŜącą ręką twarz. - A juŜ myślałam, Œe się z tego otrząsnęłam.

- Œwietnie ci poszło. - Sophia podbiegła, kiedy Pilar siadała na oparciu fotela. -

Ale znam tę twoją minę. - Ujęła twarz matki w dłonie. - Najwyraźniej Tyler teŜ.

Pierścionek jest równie ostentacyjny i tandetny jak ona cała.

- Co ty mówisz, dziecinko. - RozeŒmiała się wymuszenie, ale przynajmniej się postarała. -Jest olśniewający, imponujący... jak ona cała. Nie przejmuj się. - Ale juŜ

obracała w palcach obrączkę, którą nadal nosiła na ręce. - Naprawdę, nic się nie stało.

- Taaa, za cholerę! Nienawidzę jej. Obojga ich nienawidzę. Zaraz tam wrócę i im to powiem.

- Nawet się nie waŜ, Sophio. Nie ma powodu.

Złość się! Miotaj. WyzłoŒliwiaj, pomyślała Sophia. JuŜ wszystko lepsze od tego poczucia poraŜki.

- Œe teŜ mieli czelność tak wkroczyć i pchać go nam pod oczy. Ojciec nic miał

prawa ci tego zrobić, mamo. Ani mnie.

- Posłuchaj, Sophio. Ma prawo robić, co chce. Nie daj się tak łatwo zranić.

Cokolwiek zrobi, zawsze będzie twoim ojcem.

- Nigdy mi właściwie nie ojcował. Pilar zbladła.

- Och. Sophio.

- Nie, nie. - Sophia, wściekła na siebie, powstrzymała mamę gestem. - Nie chodzi o mnie. Ani nawet o niego. On mógł się nie połapać nawet, ale ona nie.

Wiedziała, co robi. Nienawidzę jej za to obnoszenie się wobec ciebie.

- Pomijasz jedno, kochanie. Być może Rene go kocha.

- Och, błagam cię.

- Dlaczego mówisz tak cynicznie? Ja go kochałam. No to dlaczego ona by nie miała? On na zawołanie rozkochuje w sobie kobiety.

Sophia wychwyciła smutek w głosie matki. Nigdy nie kochała Śadnego mężczyzny, ale rozpoznawała ten specyficzny ton kobiety, która przeżyła miłość.

Ucałowała mamę w oba policzki, uściskała.

- Już dobrze, mamó?

- No pewnie. Przecież nic się w moim życiu nie zmienia, prawda? Wracajmy.

- Powiem ci, co zrobimy - rzekła z ożywieniem Sophia, kiedy wyszły na korytarz. - Zmienię trochę swój harmonogram i wyskoczmy razem na farmę piękności. Pozanurzamy się trochę w błocie, zrobimy sobie zabiegi kosmetyczne, wydamy fortunę na drogie kosmetyki i będziemy wylegiwały się w szlafrokach przez okrągły dzień.

Kiedy szły korytarzem, otworzyły się drzwi toalety damskiej i wyszła z nich brunetka w średnim wieku.

- Brzmi to niezwykle kusząco. Kiedy wyjeżdżamy?

- O, cześć, Helen.

Pilar ucałowała przyjaciółkę w policzek.

- Musiałam wyskoczyć do toalety. - Helen wygładziła na biodrach stalowoszarą spódnicę, która wciąż jej się podciągała. - Po drodze wypiliśmy dosłownie morze kawy. Sophio, jesteś genialna! No, to... - Podniosła teczkę, wyprężyła ramiona.

- W saloniku ci sami podejrzani, co zawsze?

- Mniej więcej tak. Nie wiedziałam, że te przyjeżdżasz. Skoro babka wezwała sędzinę Helen Moore, pomyślała Sophia, to zanoszą się na coś poważniejszego.

- Twoja babcia nalegała, że bym zajęła się osobiście tą sprawą. - Helen zwróciła przenikliwe szare

oczy na salon. - Nadal utrzymuje was w niepewności?

- Najwyraźniej - mruknęła Pilar.

Helen poprawiła okulary w czarnych oprawkach.

- To jej spektakl. No, to może sprawdźmy, czy jest już gotowa podnieść kurtynę?

SIGNORA zawsze robiła wszystko w swoim tempie. Sama ułożyła jadłospis, no i nie zwykła omawiać interesów przy jedzeniu. Poza rodziną i Helen zaprosiła również najbardziej zaufanego producenta wina, Paula Borellego, nadal zwanego Pauliem, chociaż pracował już w firmie Giambelli Kalifornia trzydzieści osiem lat. I wreszcie Margaret Bowers, dyrektora do spraw sprzedaży u MacMillana, trzydziestosześcioletnią rozwódkę o ostrych rysach twarzy.

Kiedy sprzątnięto ze stołu i podano porto, Tereza usiadła wygodniej.

Odchrząknęła.

- Willa Giambellich od sześćdziesięciu czterech lat produkuje wino w Dolinie Napa, MacMillanowie od dziewięćdziesięciu dwóch. W sumie daje to sto pięćdziesiąt sześć lat. - Rozejrzała się po zebranych. - Pięć pokoleń producentów i handlarzy win.

- Sześć, Tereza - wtrąciła pośpiesznie Gina. - Licząc z moimi dziećmi, to sześć.

- Nadzorował?

- Dostaniesz Pauliego jako brygadzystę, a sam zostaniesz dyrektorem winnicy.

- Znasz pola. Tylerze - pochwaliła Tereza. Rozumiała jego oburzenie. Nawet je doceniała. - Znasz się na winach i na beczkach. Ale twoja wiedza nie wykracza poza butelkę. A ty, Sophio, kiedy ostatni raz pracowałaś w polu? Kiedy ostatnio kosztowałaś wina, które nie zostało właśnie odkorkowane z pięknej butelki wyjętej z barku?

- Nie zajmuję się produkcją. Zajmuję się reklamą.

- No to teraz się zajmiesz. A Tyler - powiedziała, wskazując na niego - nauczy się sprzedawać, reklamować i rozprawiać. Będziecie się uczyli od siebie nawzajem.

- Och, babciu...

- Cisza. Masz na to rok. Teraz ty, Pilar. Sophia będzie miała mniej czasu na swoje dotychczasowe obowiązki. Musisz wypełnić tę lukę.

- Ale mam... - Pilar roześmiała się mimo woli. - Przecież ja się nie znam ani na dystrybucji, ani na promocji.

- Ale masz głowę na karku. Czas, żebyś znów jej zaczęła używać. Aby osiągnąć sukces, musimy

zaangaŝować całą rodzinę. - Tereza przeniosła wzrok na Tony'ego Avano. - I nie tylko. Na razie zachowasz tytuł i przywileje. Ale będziesz podlegał dyrektorowi generalnemu tak jak wszyscy kierownicy działów. Odtąd łączą nas wyłącznie interesy. Nie przychodź bez zaproszenia do mojego domu.

Tereza powiodła wzrokiem po zebranych.

- A teraz proszę nam wybaczyć. Helen, Eli i ja musimy porozmawiać z Sophią i Tylerem. Kawa zostanie podana w salonie.

- Mówisz coś i to natychmiast staje się rozkazem - zwróciła się do babci Sophia, trzęsąc się z oburzenia, kiedy pozostali opuszczali pokój. - Tak do tego przywykłaś, ŝe we własnym przekonaniu moŝesz kilkoma słowami zmieniać ludziom całe ŝycie?

- Kaŝdy ma wybór.

- Ale gdzie jest ten wybór? Donato? Nigdy nie pracował poza firmą. Tyler? Od małego cały swój czas i energię poświęcił tylko MacMillanom.

- Mogę mówić sam za siebie - uniósł się Tyler.

- Och, daj spokój - ścięła go Sophia. - Jak powiesz pięć słów z rzędu, to zawiązuje ci się język na supeł. I ja mam cię niby nauczyć reklamować wino?

Tyler wstał i ku jej zaskoczeniu chwycił ją za rękę, obrócił wewnętrzną stroną dłoni do góry. - Jak płatki róŝ. I ja mam cię niby nauczyć pracować?

- Pracuję tak samo cięŝko jak ty. Jeŝeli nawet nie ociekam potem i nie chodzę w zabłoconych buciorach, to nie znaczy, ŝe nie daję z siebie wszystkiego.

- Niezły początek, moje gratulacje. - Eli westchnął i dołał wszystkim porto. -

Jeŝeli chcecie się kłócić, to się kłóćcie. Źle wam to nie zrobi. Sęk w tym, ŝe ŝadne z was nigdy nie zajmowało się czymś, co mu tak naprawdę nie odpowiadało.

Niewykluczone, ŝe poniesiecie poraŝkę, usiłując przekroczyć tę magiczną granicę.

Sophia wyprostowała się.

- Ja nie ponoszę poraŝek.

- Masz cały sezon, ŝeby to udowodnić. Chcesz wiedzieć, o co walczyacie?

Helen?

Helen postawiła teczkę na stole. Wyjęła akta, rozłoŝyła.

- Stawiam sprawę krótko i jasno. Eli i Tereza przeprowadzają fuzję swoich przedsiębiorstw, Œeby obniŒyć koszty i spowodować straty u konkurencji. KaŒde z was dostanie tytuł wiceprezesa spółki, dyrektora do spraw produkcji. JeŒli w ci¹gu roku nie zdołacie si¹ dostatecznie wykazaæ, spadniecie na niŒsze stanowiska. -

Wyci¹gn¹ła dwie grube umowy z teczek. - Ty, Tylerze, pozostaniesz jednak u MacMillana. A ty, Sophio, b¹dziesz musiała si¹ przeprowadziæ tutaj. Mieszkanie w San Francisco firma Giambelli utrzyma do twojej dyspozycji na czas załatwiania tam spraw słuŒbowych. A kiedy ty, Tylerze, b¹dziesz musiał si¹ tam udaæ, zadbamy takŒe o twoje lokum. Z castello we Włoszech moŒecie korzystaæ oboje. Jasne.

Podniosła oczy, uŒmiechn¹ła si¹.

- Mam nadziej¹, Œe nie zabrzmiało to zbyt groŒnie? A teraz marchewka.

Sophio, jeŒeli po roku si¹ sprawdzisz, dostaniesz dwadzieŒcia procent udziałów w firmie, połow¹ udziału w castello i tytuł wiceprezesa. Podobnie Tyler. RównieŒ i ty dostaniesz dwadzieŒcia procent, do tego zapis hipoteczny na dom, w którym obecnie mieszkasz, i tytuł wiceprezesa. Oboje dostaniecie po cztery hektary pól, Œeby stworzyæ w³asn¹ mark¹ lub, jeŒli wolicie, ich rynkow¹ równowartoŒæ.

Urwała na chwil¹ dla wzmocnienia podsumowania.

- Pilar równieŒ dostaje dwadzieŒcia procent. W przypadku Œmierci Elego lub Terezy, udział kaŒdego z nich przechodzi na wiceprezesa. W tym niefortunnym dniu, kiedy zabraknie obojga, ich czterdzieŒci procent zostanie rozdzielone jak nast¹puje: po pi¹tnaŒcie procent dla kaŒdego z was i dziesi¹ procent dla Pilar. A zatem z czasem kaŒde z was dostanie po trzydzieŒci pi¹c procent jednej z najwi¹kszych wytwórni win na Œwiecie.

Sophia odczekała, aŒ b¹dzie mogła mówiæ. Oto zamajaczyła przed ni¹ moŒliwoŒæ przekraczaj¹ca jej wyobraŒenia, a zarazem wymierzono jej klapsa jak dziecku.

- Kto b¹dzie decydował o tym, czy si¹ sprawdziliŒmy?

- Aby sprawiedliwoŒci stało si¹ zadoŒæ - powiedziała Tereza - oceniaæ was b¹dziemy razem: Eli. ja, a takŒe dyrektor generalny.

- A ktoŒ to, do pioruna, taki? - spytał Tyler.

- Nazywa si¹ David Cutter. Ostatnio pracował w Le Coeur i mieszkał w Nowym Jorku. PrzyjeŒdŒa tu jutro. - Tereza wstała. - A teraz zostawiamy was.

ŒebyŒcie przeczytali swoje umowy, omówili je, rozwaŒyli. - UŒmiechn¹ła si¹ serdecznie. - Helen, moja droga, napijesz si¹ kawy?

TONY Avano uŒmiechn¹ł si¹ z w³aciwym sobie wdzi¹kiem.

- Pilar, mógłbym cię prosić na słówko na osobności?

Tuzin wymówek przebiegło jej przez głowę. Pod nieobecność matki była tu gospodynią. W salonie roilo się od gości. Powinna zadbać o dolewkę kawy.

Ale to tylko wymówki.

- Oczywiście - szepnęła.

- Skorzystamy z biblioteki?

Przynajmniej nie wziął ze sobą kochanki. Ale kiedy mijali Rene, ta rzuciła jej harde, roziskrzone spojrzenie przypominające kamień na jej palcu.

Spojrzenie triumfatorki, pomyślała Pilar.

Tony ujął troskliwie, a zarazem prowokacyjnie jej rękę w swoje dłonie.

- Pilar, wiem, że myśl o rozwodzie jest dla ciebie trudna.

- Niby skąd?

- To przecieŜ jasne. - Uznał, że nie pójdzie mu z nią łatwo. - Posłuchaj, Pilar, nie wyszło nam, ale nie jestem wobec ciebie fair, że nie załatwiam tego na drodze prawnej. Przez mnie nie możesz rozpocząć nowego życia.

- Ale tobie to jakoś nie przeszkodziło, prawda? - Wyciągnęła rękę z jego dłoni, podeszła do kominka. Zapatrzyła się w ogień. Po co ona właściwie walczy? Jakie to ma znaczenie? - Bądźmy przynajmniej szczerzy. Przyjechałeś tu dzisiaj, żeby mnie prosić o rozwód. Nie mam zamiaru cię powstrzymywać. Zresztą i tak mijałoby się to z celem. Ale Rene nie da się tak łatwo zbyć jak ja - dodała, odwracając się do niego. -

MoŜe zresztą wyjdzie ci to na dobre.

Wychwyił tylko to, że nie będzie mu robiła trudności.

- Zajmę się szczegółami. Dyskretnie, ma się rozumieć...

- Masz więc juŜ to, po co przyjechałeś, Tony. Radzę ci zabrać Rene i wyjechać, zanim mama dokończy swoje porty. Chyba dość się juŜ dzisiaj wydarzyło niemiłych rzeczy.

- Pełna zgoda. - Ruszył do drzwi, zawahał się. - Źyczę ci wszystkiego najlepszego, Pilar.

- Nawet ci wierzę. Ja teŜ. mimo wszystko, Źyczę ci najlepszego. Źegnaj, Tony.

KIEDY zamknęła za nim drzwi, podeszła wolno do fotela i usiadła ostroŜnie, jak gdyby bała się potłuc. Przypomniała sobie, jak mając osiemnaście lat, była zakochana do szaleństwa, a w głowie

szumiało jej od planów i marzeń. Przypomniała sobie, jak miała dwadzieścia trzy lata i serce złamane męską zdradą. W wieku trzydziestu lat walczyła o to, żeby wychowywać dziecko, a zarazem utrzymać męża, zbyt aroganckiego, by bodaj udawać miłość.

A teraz rozumiała, co to znaczy mieć czterdzieści osiem lat, być samotną i pozbawioną złudzeń.

Uniosła głowę, przesunęła obrączkę do pierwszej kostki serdecznego palca.

Łzy zapiekły ją w oczach, gdy zsuwała obrączkę. Przecież to tylko pusty krąsek.

Idealny symbol jej małżeństwa.

Nigdy nie była kochana. Oparła głowę na fotelu. W końcu musiała uznać ten smutny fakt, nie miała co się dłużej oszukiwać. Śaden mężczyzna, wliczając w to męża, nigdy jej nie kochał.

Kiedy drzwi się otworzyły, zamknęła rękę na obrączce.

- Pilar - odezwała się Helen. Podeszła do malowanego kredensu, wyjęła karafkę z brandy. Nalała dwie lampki, usiadła na podnóżku przed fotelem przyjaciółki. - Wypij, kochana. Taka jesteś blada.

Pilar rozchyliła dłoń. Obrączka zaśniła w blasku kominka.

- Owszem, domyśliłam się, kiedy zamigotał ten kamyk stulecia. Warci są siebie. Bo na ciebie nigdy nie zasługiwał.

- Helen, co ze mnie za idiotka, że tak mnie wzięło. Ale to w końcu trzydzieści lat. - Podniosła obrączkę pod światło. - Niech mnie diabli, trzydzieści lat, jak obszył.

Ta kobieta była jeszcze w powijakach, kiedy poznałam Tony'ego.

- Wielkie mecyje! - Helen wzruszyła ramionami. - Ale pomyśl o tym inaczej.

Kiedy dożyje naszych lat, będzie go karmiła przecierami i zmieniała mu pieluchy.

Pilar zanosła się śmiechem.

- Nienawidzę się za to, ale nie wiem, jak się zmienić. Złośliwym broń.

- Bo nie jesteś typem wojowniczką. - Helen usiadła na poręczu fotela, objęła Pilar. - Jesteś piękną, inteligentną, dobrą kobietą, której los przykopał.

Pilar uśmiechnęła się słabo.

- Helen, i co ja, u diabła, pocznę z tym życiem, które mi raptem wciśnięto w garść?

- Coś wymyślimy.

ZACINAŁ paskudny, zimny kapuśniaczek. Pierzynka śniegu zamieniła się w błotnistą breję, a światło

brzasku w mazają na niebie. Krople skapywały z daszka czapki Tylera i ściekały mu za kołnierz. Ale nie zamierzał przerywać pracy, dopóki nie rozpada się na dobre.

Deszczowa zima była błogosławieństwem. Chłodna, mokra zima to podstawa znakomitych plonów.

Przyglądał się, jak Sophia brnie przez błoto w kaloszach za pięćset dolarów.

- Mówiłem ci, Œebyś przyszła tu w roboczym stroju.

AŒ parsknęła i przyjrzała się, jak deszcz pochłania ten obłoczek pary.

- To właśnie jest mój roboczy strój.

Zmierzył wzrokiem jej zgrabną skórzaną kurtkę, obcisłe spodnie, włoskie kalosze.

- Będzie roboczy, dopóki się nie wciągniesz.

- Miałam wraŒenie, Œe deszcz opóźnił przycinanie - zmieniła szybko temat.

- Jaki tam deszcz? To tylko kapuŒniaczek. Gdzie masz czapkę? Poirytowany, zdarł swoją czapkę i wcisnął jej na głowę. – Krzewy przycina się z dwóch powodów -

zaczął.

- Och, Tyler, wiem, Œe są powody, Œeby je przycinać.

- Tak? No to słucham.

- Chodzi o kultywację winoroŒli - powiedziała. - Ale skoro mam pobierać lekcje, moŒe weszlibyśmy do Œrodku, bo pod dachem jest ciepło i sucho.

- Nie, poniewaŒ winoroŒle są na zewnątrz. Przycina się, Œeby poprawić kultywację i plony, no i Œeby zapobiec chorobom.

- Tylerze...

- Cicho. W wielu winnicach stosuje się wspierające kratki zamiast przycinania ręcznego. My stosujemy obie metody. Kratki pionowe, tyczki genewskie w kształcie litery T oraz metodę tradycyjną. Drugi powód to równomierne rozprowadzenie gałęzi z owocami po całym krzaku, co pobudza jego płodność, a zarazem pozwala rodić owoce najwyższej klasy.

Wcisnął jej w ręce specjalne noŒyce i odsunął tyczkę, odsłaniając następną. Po czym poprowadził jej dłonie i razem z nią obciął pęd.

- Chcemy przez Œrodek zrobić przeŒwit. Œeby wszędzie docierało słońce.

- A mechaniczne przycinanie?

- TeŜ je stosujemy. Ale ty nie. - Zaprowadził ją do następnej tyczki. - Ty masz poprzycinać ręcznie krzew za krzewem. Szpaler za szpalerem.

Spojrzała na bezkresny ciąg winorośli. Wiedziała, Ŝe przycinanie potrwa do lutego. Pewnie znudzi ją to śmiertelnie jeszcze przed BoŜym Narodzeniem.

- Mamy przerwę w południe - przypomniała mu.

- O pierwszej. Bo się spóźniłaś.

- Nie aŜ tyle.

Odwróciła się, stał tuŜ nad nią. Pochylał się niemal ją obejmując, Ŝeby dalej ją uczyć. Poczwała, jak na nią działa. Ich oczy spotkały się. W jego malowało się rozdraŜnienie, w jej namysł. Poczwała, jak ciało mu się napina, a jej udziela subtelnej odpowiedzi. Nieznaczone przyspieszenie tętna, delikatny zapach w powietrzu.

- No, no - prawie wymruczała. - Kto by pomyślał?

- Przestań.

Wyprostował się, cofnął o krok, jak ktoś, kto raptem znajdzie się na skraju przepaści. Ona natomiast odwróciła się tak, Ŝeby ich ciała znów się otarły o siebie.

- Nie przejmuj się, MacMillan, raczej nie jesteś w moim typie.

- Ani ty w moim. I to na pewno.

Gdyby znał ją lepiej, wiedziałby, Ŝe odbierze to nie jak obelgę, lecz wyzwanie.

-Tak? A kto jest?

- Nie lubię zarozumiałych, agresywnych, odpicowanych kobiet. Uśmiechnęła się.

- To polubisz.

I odwróciła się do krzaków. Zdjął rękawiczki, podał jej.

- WłóŜ. Nabawisz się bąbli na tych swoich rączkach miejskiej paniusi. A jutro przyniesiesz własne. I włóŜ coś na głowę. Nie, nie tutaj - poprawił ją, kiedy zaczęła przycinać kolejny krzak.

Znów stanął za nią, położył rękę na jej dłoni i poprowadził noŜyce pod właściwym kątem. Ale nie zauwaŜył jej powolnego, triumfalnego uśmiechu.

PODRÓŜ z jednego wybrzeŜa Stanów na drugie nie trwała krótko. Pod pewnymi względami był to inny świat. Świat, w którym wszyscy byli obcy. Musiał

wyrwać korzenie tkwiące głęboko w nowojorskim betonie z nadzieją, że zapuści je tutaj, na wzgórzach północnej Kalifornii.

Gdyby wszystko sprowadzało się tylko do tego, David Cutter nie martwiłby się ani trochę. Za młodu chętnie podejmował niejedno ryzyko. Ale mężczyzna w wieku czterdziestu trzech lat, ojciec dwojga nastolatków, ma o wiele więcej do stracenia.

Gdyby mógł mieć pewność, że jego pozostanie w Le Coeur w Nowym Jorku wyjdzie dzieciom na dobre, na pewno by został. Dusiłby się dalej, schwytany w pułapkę aluminiowo-szklanego gabinetu. Ale stracił tę pewność, kiedy przyłapano jego szesnastolatka na drobnej kradzieży w sklepie, a czternastoletnia córka zaczęła malować paznokcie u nóg na czarno.

Tracił kontakt z dziećmi, a zatem i kontrolę. Gdy więc nadeszła oferta z firmy Giambelli-MacMillan, przyjął ją jak zbawienie.

- Przecież to jakaś dziura.

David spojrzął we wsteczne lusterko.

Każda dziura musi być w czymś. Z radością zauważył, że Theo wyszczerzył

zęby w grymasie. Ostatnio tylko tak u niego wyglądał uśmiech.

- Dlaczego musi padać?

Maddy wsunęła się głębiej w siedzenie i próbowała ukryć podniecenie malujące jej się na twarzy na widok ogromnej kamiennej rezydencji, pod którą zajechali.

- To się chyba jakoś wiąże z wilgocią zbierającą się w atmosferze...

- Oj, tato.

Córka roześmiała się, a David odebrał to dosłownie jak najpiękniejszą muzykę. Musi odzyskać tutaj dzieci, choćby nie wiadomo co.

- Chodźmy na spotkanie Signory.

- Musimy tak do niej mówić? - Maddy aż się skrzywiła. - To jakiś średniowieczny pomysł.

- Na razie może mówić pani Giambelli, a potem zobaczymy. Próbujmy udawać normalnych.

- Mądre nie da rady. Szurnięci nie potrafią udawać normalnych.

- Rąbnięci też nie.

Maddy wygramoliła się z samochodu w ohydnych czarnych buciorach na pięciocentymetrowych platformach. Stojąc w strugach deszczu, wydała się ojcu kimś w rodzaju ekscentrycznej księżniczki.

Pewno z powodu długich blond włosów i ust złoŝonych w ciup. Jej drobną sylwetkê szczelnie otulało kilka warstw czerni. Z

prawego ucha zwisały trzy srebrne łańcuszki.

Theo był jej mrocznym przeciwieństwem. Wysoki, niezgrabnie tyczkowaty.

Ciemne zmierzwione włosy spływały mu na kościste ramiona. Błękitne oczy jakŝe często zachmurzone i nieszczęśliwe. Człapał teraz w workowatych dŝinsach i w za duŝej kurtce.

To tylko ciuchy, mówił sobie w duchu David. Ciuchy i włosy, nic stałego. Ale wolałby, ŝeby dzieci ubierały się bardziej tradycyjnie.

Wszedł po szerokich wachlarzowatych schodach, stanął przed kunsztownie rzeźbionymi drzwiami rezydencji i przejechał ręką po gęstych ciemnoblonde włosach.

- Co jest, tato? Strach ciê obleciał? - zapytał syn z ironià w głosie, co dodatkowo rozdraŝniło Davida.

- Daj mi spokój, dobrze?

Theo juŝ miał odparować, ale pochwycił groźne spojrzenie swojej siostry.

- Hej. poradysz sobie - rzekł.

- Jasne. - Maddy wzruszyła ramionami. - To tylko starsza pani, prawda?

David ze śmiechem nacisnął dzwonek.

- Prawda.

- Zaczekaj, muszê przybrać normalnà minê. - Theo chwycił się za twarz, zaczął ugniatać, naciàgać skórê, przewracać oczami, wykrzywiać usta. - Nie mogê znaleźć.

David zarzucił mu rękê na ramiê, drugà objàł Maddy. Nie ma dwóch zdań, pomyślał. Wyjdà na ludzi.

- Mario, ja otworzê! - Pilar zbiegła do holu z naręczem białych róŝ. Otworzyła i zobaczyła w progu wysokiego męŝczyznê obejmujàcego dwójkê dzieci. Wszyscy troje się uśmiechali. - Słucham? Państwo do kogo?

śadna starsza pani, pomyślał David. puszczajàc dzieci. Po prostu piękna kobieta z zaskoczeniem w oczach i naręczem róŝ.

- Przyjechałem do pani Giambelli. Pilar się uśmiechnęła.

- Jest nas tu kilka.

- Chodzi mi o panią Terezę Giambelli. Moje nazwisko David Cutter.

- Aaa, pan Cutter, przepraszam. - Wyciągnęła do niego rękę. - Nie wiedziałam, że pan przyjeżdża dzisiaj. - Ani że ma pan rodzinę, pomyślała. Matka poskapiła jej szczegółów. - Zapraszam do środka. Jestem Pilar. Córka Signory.

- Państwo tak ją nazywają? - zainteresowała się Maddy.

- Czasami. Kiedy ją poznasz, sama przekonasz się, dlaczego.

- Madeline. moja córka. A to mój syn, Theodore.

- Theo - mruknął Theo.

- A ja Maddy, okay?

- Bardzo się cieszę, że was poznałam. Zapraszam do salonu. Tam się pali w kominku. Mam nadzieję, że podróż nie była dla was zbyt męcząca.

- Nie tak bardzo.

- Wlokła się niemiłosiernie - sprostowała Maddy. - Koszmar.

Ale już rozglądała się po pokoju. Zupełnie jak w pałacu, pomyślała. Takie bogactwo kolorów, antyki, przepych.

- O, nic wątpię. Dajcie mi kurtki.

- Są przemoczone - zaproponował David, ale ona zabrała mu je i przerzuciła sobie przez wolną rękę.

- Siadajcie, rozgoście się. Przyniosę wam coś gorącego do picia. Może kawy, panie Cutter?

- Bardzo chętnie, pani Giambelli.

- Ja też poproszę.

- Nie ma mowy - rzucił w stronę córki, która znów się nadała.

- To może z mlekiem?

- O, fajnie. To znaczy, tak, poproszę.

- Dla ciebie, Theo. też?

- Tak, poproszę.

- Za chwilę wracam.

- O rajušku. - Theo odczekał, aŜ Pilar wyjdzie z pokoju i rzucił się na fotel. -

Pewno są nieprzyzwoicie bogaci. Tu jest zupełnie jak w muzeum.

- Tylko nie kładź na tym butów - napomni ł go David.

- PrzecieŜ to podnóŜek - zdziwił się jego syn.

- Kiedy wsadzisz te swoje noŜyska w buciory, to automatycznie przestają być nogami.

- Spoko, tato. - Maddy poklepała go protekcyjnalnie. - PrzecieŜ jeste  tu dyrektorem naczelnym.

- Őwi te s wa. - Od wiceprezesa na dyrektora naczelnego po łączonych winnic jednym susem d ugo ci pi ciu tysi cy kilometr w. - Teraz jestem kuloodporny -

mruknał i urwał, usłyszawszy kroki.

JuŜ chcał przypomnieć dzieciom, Őeby wstały, ale nie by o potrzeby. Kiedy Tereza Giambelli wkraczała do pokoju, wszyscy zrywali si  na r wne nogi.

Zapomniał, Őe jest taka drobna. Dwa razy spotkali si  w Nowym Jorku. Ale zapami tał j  raczej jako posagow  amazonk  niŜ drobn , szczupl  kobiet , kt ra teraz kroczyła ku niemu. Podała mu małą, lecz siln  r k .

- Panie Cutter, witam w Willi Giambellich.

- Dzi kuj , Signora. Ma pani pi kny dom w cudownym otoczeniu. Wspaniale nas tu przyj to. Chciałbym przedstawić pani swojego syna Theodore'a i c rk  Madeline.

- Witamy w Kalifornii. - Kiedy podawała im r k , u miech zaigrał w k cikach jej ust. - Siadajcie, prosz . Pilar, doł czysz do nas?

- Z przyjemno ci . Pilar wr ciła do pokoju.

- Pewno jeste cie dumni z ojca - zwr ciła si  do dzieci Tereza. - I z jego dokonań.

-O... tak.

Theo nie miał zbytniego pojęcia o pracy ojca. Z jego punktu widzenia tata chodził do pracy, a potem wracał do domu. Gderał na temat odrabiania lekcji, podgrzewał obiad, zamawiał co  do jedzenia przez telefon.

- Theo bardziej interesuje si  muzyk  niŜ winem - skomentował David.

- Ach, rozumiem. Na czym grasz?

- Na gitarze. I na fortepianie.

- Musisz mi kiedyś zagrać. Kocham muzykę. Jaki gatunek najbardziej lubisz?

- Po prostu rocka. Najbardziej techno i alternatywę.

- A ty - zwróciła się Tereza do Maddy. - Także grasz?

- Pobierałam lekcje fortepianu. - Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Ale nic bardzo mnie to kręci. Chcę zostać naukowcem.

- Sztuka i nauka. - Tereza odchyliła się w fotelu. - Czyli talenty odziedziczyliście po ojcu. bo wino jest i jednym, i drugim. Pewno aklimatyzacja zabierze wam kilka dni - ciągnęła, kiedy wjechał wózek. - Nowe otoczenie, nowa szkoła, nowe zwyczaje w rodzinie.

Kiedy Pilar podawała kawę i ciastka, wdali się w niezobowiązującą pogawędkę. David w tonie narzuconym przez Terezę omijał sprawy słuŝbowe.

Jeszcze będzie czas, uznał, przejść do rzeczy.

Dokładnie po dwudziestu minutach Tereza wstała.

- Pilar, moja droga, pokaŝesz państwu Cutterom dom goŝcinny? Sprawdź, proszę, czy mają wszystko, co trzeba.

- Oczywiście. Tylko pójdę po kurtki.

No. ciekawe, zastanawiała się Pilar, sięgając po okrycia. Do tej pory zajmowała się wyłącznie sprawami domowymi, a teraz matka dorzuciła jej całą rodzinę.

Po powrocie jednak znów wciągnęła się w rolę gospodyni.

- To całkiem blisko. Przy dobrej pogodzie moŝna się nawet miło przespacerować.

- Deszcz jest dobry dla winoroŝli. David pomógł jej włoŝyć kurtkę.

- Owszem. Zawsze to słyszę, kiedy się skarŝę na pluchę. - Wyszła na dwór. -

Pana dom ma gorącą linię z naszym, wystarczy zadzwonić. Maria, nasza ochmistrzyni, potrafi wszystko. Dziękuję

dodała, kiedy David otworzył przed nią drzwi swojego vana.

- Mamy basen -powiedziała, odwracając się do dzieci, kiedy juŝ usiadły z tyłu.

- Oczywiście nie przy tej pogodzie, ale w basenie pod dachem moŝecie pływać juŝ

teraz.

- Kryty basen? - Theo się rozpromienił. - Super.

- Co nie znaczy, że może pływać, kiedy wam się żywnie spodoba -

zaznaczył ojciec. - Pani Giambelli, nie można im tak dawać wolnej ręki. Po tygodniu trafiłaby pani na terapię.

- My tu lubimy młodzie. I proszę do mnie mówić Pilar. Jestem David. Bardzo mi miło.

Za ich plecami Maddy odwróciła się do brata i teatralnie zatrzepotała rękami.

- Pierwsza w lewo. O, już widać dom.

- To ten? - Theo wyciągnął szyję. - Spory.

- Cztery sypialnie. Pięć łazienek. Piękny salon, ale kuchnia, mimo że wielka, jest chyba najprzytulniejsza. Ktoś z was gotuje?

- Tata udaje, że gotuje - wtrąciła Maddy. - A my udajemy, że jemy.

- Mądrała. A pani... a ty gotujesz? - David zwrócił się do Pilar.

- Nawet nieźle, ale rzadko. Myślę, że Sónie spodoba się ta kuchnia, jak dojedzie.

Kiedy zapadło grobowe milczenie. Pilar zaś się skuliła w sobie.

- Jestem rozwiedziony. - David podjechał pod dom. - Jest nas tylko troje. No, to rozejrzyjmy się. Rozpakujemy się później.

- Tak mi przykro - bąknęła Pilar. kiedy dzieci wyskoczyły z samochodu. -

Jakoś nie pomyślałam...

- Nie przejmuj się, Pilar. Przecież to normalne. - Otworzył przed nią drzwi. -

Na pewno zaraz wybuchnie kłótnia o sypialnie. Mam nadzieję, że nie przeszkadzają ci wrzaski.

- Jestem Włoszką - odpowiedziała zwięźle i wyszła na deszcz.

WŁOSZKA, pomyślał później David. W dodatku jaka piękna. Wyniosła, a zarazem pełna wdzięku. Rzadkie połączenie. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Już wcześniej wiedział co nieco o Pilar Giambelli. Wiedział, że była mężatką, ale ponieważ nie miała obrączki na palcu, domyślił się, że pewno małżeństwo z niesławnym Tonym Avano dobiegło końca albo znalazło się w powaśnych tarapatach.

Musi się dowiedzieć, która wersja jest prawdziwa.

No i że ma córkę. Wszyscy w tej branży znali Sopię Giambelli. Kobiętę przebojową, z klasą i wygórowanymi ambicjami. Ciekawe, jak przyjęła jego awans na dyrektora generalnego. Sięgnął po

papierosy. I wtedy przypomniał sobie, że rzucił

palenie trzy tygodnie i pięć dni temu.

Aż go coś ścisnęło w środku.

Myśl o czymś innym, nakazał sobie w duchu, i skupił się na ogłuszającej muzyce dobiegającej z nowego pokoju syna.

Oczekiwana walka o pokoje odbyła się bez większej zajadłości, bo wszystkie sypialnie w nowym domu były atrakcyjne. Niemal wzory doskonałości: lśniące kafelki i boazerie, luksusowe meble. Aż dostał gęsiej skórki na widok tego idealnego porządku, nie miał jednak wątpliwości, że dzieci niedługo się z nim rozprawią.

Maddy wyszła na korytarz. Starła się zachować powściągliwość, ale w głębi duszy aż była z radości. Po raz pierwszy w Syciu nie musiała dzielić łazienki z tym kretyńcem, swoim bratem. W dodatku dominowały w niej różne odcienie granatu i głębokich czerwieni. Dokoła pełno było rozłożystych roślin w donicach, toteż kąpiel będzie przypominała pływanie w czarodziejskim ogrodzie. A ponadto miała w sypialni ogromne łóżko z kolumnkami.

I wtedy przypomniała sobie, że nie będzie mogła ot, tak sobie, wpaść do przyjaciół ani skoczyć z nimi do kina. Ani robić niczego, co robiła w Nowym Jorku.

Poczuła przejmującą tęsknotę za domem. Właściwie mogła pogadać tylko z bratem.

Kiepska to perspektywa, ale jedyna.

Otworzyła drzwi i ogłuszył ją łoskot Chemical Brothers. Theo leżał na łóżku z gitarą na piersi i usiłował chwycić rif. W pokoju panował bałagan. Na pewno tak będzie, dopóki braciszek nie wyjedzie z domu na studia.

Bo jest takim flejtuchem.

Rzuciła się na jego łóżko.

- Tu nie ma nic do roboty.

- Dopiero teraz wyczyłaś?

- Może tacie się uprzykrzy i wrócimy do domu.

- Akurat! Widziałaś, jak się mizdrzył do tej starszej damy?

- Gadał jakby grał w filmie. - Przewróciła się na wznak. - A widziałeś, jak na nią wybałuszał gały?

- Na kogo?

- No, na tę całą Pilar.

- E, coś ty.

- Faceci niczego nie zauważają. Mówię ci, że ją badał.

- No i co z tego? - Theo nieznacznie wzruszył ramionami. - Przedtem też już gapił się na różne baby.

- Co ty powiesz? - skwitowała sarkastycznie, po czym zsunęła się z łóżka i podeszła do okna. Deszcz i winnice, winnice i deszcz. - Może gdyby się przespał z córką szefowej i na tym go przyłapali i wylali, to wrócilibyśmy do domu.

- Czyli dokąd? Jak tu straci robotę, to nie mamy dokąd. Czas dorosnąć.

Maddy.

- Szlag by trafił.

Aż się skuliła w sobie.

- Nie ująłbym tego lepiej.

W ODDALONYM nieco San Francisco Tyler MacMillan podobnie myślał o Syciu. Sophia przydusiła go o to spotkanie - burzę mózgow, jak je nazwała. Sypnęła lawiną nazwisk, przelatując przez dział reklamy, gestykulując, wydając polecenia i zbierając w locie informacje.

Na sali znajdowały się teraz jeszcze trzy osoby, wszystkie modnie ubrane, modnie uczesane, w okularach w wąskich drucianych oprawkach, z elektronicznymi notesami. Dwie kobiety i jeden mężczyzna, wszyscy młodzi i urodziwi. Za śadne skarby nie mógł zapamiętać, kto tu jest kim.

W ręce trzymał dziwną kawę. o którą wcale nie prosił. Wszyscy pogryzali biszkopty i gadali naraz.

- Nie, Kris. Szukam silnego wizerunku z emocjonalnym przesłaniem. Trace, naszkicuj coś takiego: młoda para około trzydziestki. Odpoczywają na ganku. Coś między nimi iskrzy, ale nieprzesadnie.

Ponieważ młodziwiec z blond grzywą wziął do ręki blok rysunkowy i ołówek, Tyler uznał, że to pewno Trace.

- Tak wiesz, a surowo.

- Koniec dnia - kontynuowała opis swojej wizji Sophia. - Zachód słońca.

Oboje pracują zawodowo, bezdziejni, pochłonięci karierą, ale ustabilizowani.

- Bujawka na ganku - podsunęła energiczna Murzynka w czerwonej kamizelce.

- Zbyt staroświeckie i prowincjonalne. Prissy. MoŜe wielki wiklinowy fotel -

podsunęła Sophia. - Kolorowe poduszki. Świece na stole. Ale takie grube, nie tradycyjne. - Zajrzała Trace'owi przez ramię, zamruczała z zadowoleniem. - Nieźle, ale niech patrzą na siebie, moŜe niech ona połoŜy mu nogę na kolanach. Serdeczna intymność. Niech on ma podwinięte rękawy, a ona spodnie khaki.

- Koniecznie musi być woda. - Ruda, która przed chwilą wydawała się zdenerwowana, teraz stłumiła ziewnięcie. - Takie podmiejskie sceny mnie nudzą.

Woda dodaje przynajmniej szczyptę niezbędnej zmysłowości.

- Kris proponuje wodę. - Sophia skinęła głową. - Niezły pomysł. Staw, jezioro.

Refleksy światła. No, spójrz, Tylerze. Co ty na to?

- Bo ja wiem? Ładny rysunek.

- Człowiek patrzy na reklamy - przypomniała mu Sophia - nawet jeŜeli świadomie nie rejestruje ich przesłania. Co ci to mówi?

- Ze siedzą na ganku i popijają wino. Ganek zwykle kojarzy się z domem. A moŜe by im dodać dzieci?

- Nie wolno wprowadzać dzieci do jakiegokolwiek reklamy napoju alkoholowego - oznajmiła Kris Drake. - Paragraf sto pierwszy ustawy o reklamie.

- W takim razie jakiś ślad dzieci. ChociaŜby zabawki na ganku. Wtedy wiadomo, Őe ci ludzie tworzą rodzinę, Őe są juŜ od jakiegoś czasu razem, a nadal chętnie pod wieczór siadają na ganku, Őeby się napić wina. To przemawia do zmysłów.

Kris juŜ miała otworzyć buzię, ale ją zamknęła.

- Brawo - pochwaliła Sophia. - Rozrzuc zabawki na ganku. Ale nie za duŜo.

Oto swojska, lecz nowoczesna para mieszkająca w dzielnicy willowej. Podziwiającie zachód słońca - mruknęła. - To wasza chwila. Chwila relaksu z winem Giambelli. To wasze wino.

- Bardziej swojska niŜ nowoczesna - mruknęła Kris.

- Őeby pokazać nowoczesnych, pokaŜemy parę w wielkim mieście. Przyjaciele zebrani na wspólny wieczór. Za oknem światła tego miasta.

- Stolik do kawy - wtrąciła Prissy, która juŜ zaczęła szkicować. Para siedzi na podłodze, pozostali na kanapie.

- Świetnie, wspaniale. Dziś wtorek. Őyj chwilą. Te same etykiety.

- Niby dlaczego ma być wtorek? - zainteresował się niespodziewanie Tyler.

- Bo na wtorek człowiek nigdy nie robi większych planów. - Sophia założyła nogę na nogę. - Dopiero na weekend. A my chcemy, żeby sięgano po butelkę naszego wina pod wpływem impulsu.

- Wina Giambelli-MacMillan. Pokiwała głową.

- Zgadza się. Musimy zaznaczyć również tę zmianę w naszej firmie.

Świątujcie razem z nami ten mariaż. Szampan, kwiaty, wspaniała para.

- Miesiąc miodowy bardziej chwyta. - Tracę poprawił swój poprzedni szkic. -

Te same rekwizyty, tyle że w bajeranckim pokoju hotelowym. Suknia ślubna wisi na drzwiach, a nasza para całuje się namiętnie na tle szampana w kubku lodu.

- Skoro się tak całują, to nie będą myśleli o picciu - zauważył nieśmiało Tyler.

- Słuszna uwaga. No, to nie całują, ale reszta świetnie pomyślana. Pokaż mi... -

Sophia zaczęła gestykulować. - Oczekiwanie. Oczy /warte ze sobą zamiast ust.

Popracuj nad tym przez kilka godzin.

Jej drużyna się rozeszła.

- No, no, nieźle, MacMillan.

- To świetnie. Możemy iść do domu?

- Nie. mam tu sprawy do załatwienia. Zapatrzyła się przed siebie.

- Będę gotowa za pół godziny. Podskocz może do Armaniego, tam się spotkamy.

- Do Armaniego?

- Trzeba cię jakoś ubrać.

Byłby się sprzeciwił, ale nie chciał marnować czasu. Im prędzej pojedą na północ, tym będzie szczęśliwszy.

- Gdzie jest Armani?

Wytrzeszczyła oczy. Ten człowiek mieszka od lat godzinę drogi od San Francisco i nie wie?

- Zapytaj moją asystentkę. Ona ci powie, jak dojechać.

- Ale tylko jeden garnitur - uprzedził Tyler, kierując się do drzwi.

- Mhm. - To się jeszcze okaże, pomyślała. Ale zanim się zacznie zabawa, musi trochę popracować. Wzięła telefon. - Kris, mogłabyś wpaść na chwilę? Tak, teraz.

Dosyć się spieszę.

Wiedziała, jaka zazdrość zserała Kris Drake, kiedy Sophia zaraz po studiach objęła stanowisko dyrektora do spraw promocji. Toteż teraz Kris musiał dosłownie trafiać szlag.

Nic na to nie poradzi, uznała w duchu. Musi się z tym pogodzić.

Krótkie pukanie, weszła Kris.

- Sophio, mam mnóstwo roboty.

- Wiem, zabiorę ci tylko pięć minut. Sama zwijam się jak w ukropie. Nie będzie łatwo pogodzić biura z polami w Napa.

- Wcale nie wyglądasz, jakbyś była w ukropie.

- Bo nie widziałas, jak przycinałam dziś krzewy o świcie. - Sophia spojrzała Kris prosto w oczy. - Jeśli sądzisz, że bawi mnie śonglowanie ukochaną pracą przeplatane mordęgą w winnicach, to rozum ci odebrało. A jeśli sądzisz, że Tyler marzy o posiadaniu tu w biurze, to się grubo mylisz.

- Wybacz, ale on nie musi marzyć, ma już posiadanie tu w biurze.

- Tyle że sama masz na nią chrapkę, co? Wiedz, że to sytuacja przejściowa.

Tyler piastuje tę funkcję tylko na papierze. Nic nie wie na temat promocji i nawet nie chce wiedzieć.

- Trochę wie, bo komentował dziś rano.

- A co? Miał milczeć jak ryba? Zrzucano go ze skały bez spadochronu, to jakoś próbuje sobie radzić. Ucz się od niego.

Kris zacisnęła zęby. Pracowała u Giambellich blisko dziesięć lat i miała dosyć tego, że zawsze u nich zwycięża linia krwi.

- I on ma spadochron, i ty. Urodziłaś się z nim. Jeśli któreś z was nawali, i tak ratujecie skórę. Reszty to nie dotyczy. Ale będę wykonywała swoją pracę. - Kris odwróciła się na pięcie, otworzyła drzwi. - I twoją też.

- No cóż - mruknęła Sophia, kiedy drzwi trzasnęły. - To by było na tyle.

O DRUGIEJ nad ranem Pilar już niemal zasypiała, kiedy zadzwonił telefon.

Wyskoczyła z łóżka, chwyciła słuchawkę, serce podskoczyło jej do gardła. Wypadek?

Śmierć? Tragedia?

- Tak, słucham.

- Ty głupia dziwko. Myślisz, że mnie przestraszysz?

- Co? Kto mówi?

Wymacała ręką włącznik światła, po czym zamrugła, gdy nagle rozbłysło.

- Wiesz, do cholery, kto mówi. Masz czelność dzwonić i mnie straszyć...

Zamknij się, Tony. Powiem, co mam do powiedzenia.

- Rene? - Pilar usiłowała zebrać myśli. - Co się stało? O co chodzi?

- Nie udawaj niewiniątka. Tony mógł się nabrać, ale nie ja. Wiem swoje, kochana. To ty jesteś dziwką, nie ja. I kłamczucha. Jeśli jeszcze raz tu zadzwonisz...

- Nie dzwoniłam. W ogóle nie wiem, o czym mówisz.

- Albo ty, albo ta twoja zdzira córuchna, mnie tam wszystko jedno. Wbij sobie do głowy, że to dla ciebie koniec. Jesteś zimną, zasuszoną atrapą kobiety.

Pięćdziesięcioletnią dziewicą. Saden facet na ciebie nie spojrzy.

- Rene... Rene! Przestań. - Pilar usłyszała głos Tony'ego. - Pilar, przepraszam cię. Ktoś tu zadzwonił i nawrzucał obrzydliwie Rene. Zdenerwowała się. - Musiał

przekrzykiwać wrzaski. - Mówiłem jej, że to absolutnie do ciebie niepodobne, ale...

zdenerwowała się - powtórzył. - Muszę kończyć.

Pilar usłyszała buczenie w słuchawce.

Odrzuciła koc. Dygotała na całym ciele, wkładając szlafrok. Z głębi szuflady wygrzebała ukrytą tam rezerwową paczkę papierosów. Wsadziła ją do kieszeni, wyszła na taras.

Byle na powietrze. Byle zapalić. Byle się uspokoić.

Wyszła przez ogród, trzymając się w cieniu, żeby przypadkiem nikt nie zobaczył jej przez okno. Ech, te pozory, myślała, wściekła, że ma mokre policzki. Za wszelką cenę trzeba zachować pozory. Co by to było, gdyby ktoś ze słaby zobaczył

panią Giambelli palącą w środku nocy w krzakach. Nie do pomyślenia, by ktoś się dowiedział, że pani Giambelli próbuje odrobiną tytoniu załagnąć załamanie nerwowe.

Sto różnych osób mogło dzwonić do Rene, pomyślała zgryźliwie. Sądząc z głosu Tony'ego, chyba

nawet podejrzewał, kto to mógł być. Ale cóż, łatwiej kazać wierzyć Rene, że to porzucona Sona niż obecna kochanka.

Lepiej, żeby Pilar oberwała ciosy i obelgi.

- Wcale nie mam pięćdziesięciu lat - mruknęła z zawziętością w głosie, wojując z zapalniczką. - Ani nie jestem dziewczyną.

- To tak samo jak ja.

Aż się skuliła w sobie. Zapalniczka z cichym brzękiem upadła na kamienie. Z

cienia wyłonił się David Cutter.

- Przepraszam, Pilar, jeśli cię przestraszyłem. - Schylił się po zapalniczkę. -

Uznałem, że lepiej będzie się ujawnić.

Gdy błysnął płomyk, dostrzegł jej zalane łzami policzki.

- Nie mogłem zasnąć - tłumaczył się. - Nowe miejsce, nowe łóżko.

Wyszedłem na spacer. Przejdziesz się ze mną?

Walczyła z upokorzeniem. Najchętniej uciekłaby do domu, naciągnęła koc na głowę, ale podreptała posłusznie u jego boku.

- Już się zadomowiliście trochę? - spytała.

- Jakoś się aklimatyzujemy. Syn trochę sobie napytał biedy w Nowym Jorku.

Ot, takie szczenięce wybryki, ale zaczęły się powtarzać.

- Wyciągnął chusteczkę z kieszeni dżinsów i podał jej w milczeniu.

- Jutro szykuję się na zwiedzanie winnic. Pięknie się teraz prezentują przy księżycu, jak pociągnięte szronem.

- Niezły jesteś - mruknęła. - Dobrze ci idzie udawanie, że nie natknąłeś się w środku nocy na histeryczkę.

- Nie wyglądasz na histeryczkę. Tylko na kobietę rozgniewaną. I piękną, pomyślał.

- Rozstroił mnie nocny telefon.

- Komuś coś się stało?

- Nikomu poza mną, ale to moja wina.

Stała, wdeptała z pasją niedopałek w ziemię. Po czym podniosła wzrok na Davida i dobrze mu się przyjrzała.

Ładna twarz, uznała. Mocny podbródek, przejrzyste oczy. Niebieskie, o ile dobrze pamięta. I przypomniawszy sobie, jak się uśmiechał, kiedy tulił do siebie dzieci.

MęŜczyzna kochający dzieci budził zaufanie Pilar.

Tak czy owak, trudno było zachować pozory, kiedy się tak stało w środku nocy, boso i w szlafroku.

- Będziesz prawie mieszkał z naszą rodziną - powiedziała - to i tak się dowiesz. Od lat Œyję w separacji z męŜem. Niedawno zawiadomił mnie o rozwodzie.

Jego przyszła wybranka jest młoda. Piękna, ostra. I... bardzo młoda - powtórzyła, na wpół się śmiejąc.

- Sytuacja zarazem dziwna i trudna.

- Jemu byłoby chyba znacznie dziwniej i trudniej, gdyby się dobrze przyjrzał, co traci.

Dopiero po chwili chwyciła ukryty komplement.

- Miły jesteś.

- Œaden miły. Jesteś piękna, interesująca i masz klasę.

I nie przywykła do wysłuchiwania takich rzeczy, uzmysłowiła sobie, patrząc na niego. Co równieŜ było interesujące.

- Sporo tego, Œeby, ot tak, wypuszczać z ręki. Rozwód to cięŜki orzech - dodał.

- Coś w rodzaju śmierci, zwłaszcza jeŜeli traktuje się małŜeństwo poważnie.

- Œebyś wiedział.

Poczuła się pokrzepiona na duchu.

Dotknął jej ramienia, musnął delikatnie palcami tam, gdzie wyczuł napięcie, cofnął rękę.

- Dienne prawa przestają obowiązywać o trzeciej nad ranem, pozwól, Œe powiem wprost. Jestem pod twoim urokiem. Po uszy.

Poczuła Œciśnięcie w dołku.

- Bardzo mi pochlebiasz.

- To nie Œadne pochlebstwo. - Z jego oczu, ciemnych w tym cieniu, tchnął

spokój, powaga. - Kiedy mi dziś otworzyłaś drzwi, zupełnie jakby mnie piorun poraził. Dawno czegoś podobnego nie czułem.

- Poczekaj, Davidzie... - Cofnęła się o krok. - Prawie się nie znamy. A ja jestem...

Pięćdziesięcioletnią dziewczyną. Nie, do diabła, pomyślała, nie mam tyle. Ale niewiele brakuje.

- To prawda. Trochę się pospieszyłem. Ale taka piękna kobieta w ogrodzie, w księżycową noc. Nie możesz wymagać od mężczyzny, żeby potrafił się temu wszystkiemu oprzeć. Zresztą, będziesz miała o czym myśleć.

- O, to na pewno. Muszę już iść.

- Dasz się zaprosić na kolację? W niedługim czasie?

- Sama nie wiem. Ja... Dobranoc.

Puściła się biegiem ścieżką w stronę domu, a serce waliło jej jak oszalałe.

KIEDY odebrał telefon, w Nowym Jorku właśnie minęła północ. Osobę po drugiej stronie traktował jedynie jako narzędzie, którym można się posłużyć.

- Jestem gotów. Gotów do następnej fazy.

- Ech, długo się namyślałeś.

Z uśmiechem nalał sobie kolejną lampkę brandy.

- Mam sporo do stracenia. Reorganizacja wcale tego nie zmieniła.

- Przejściowo. Ale teraz na scenę wkroczył sam David Cutter. Weźmie pod lupę całą firmę Giambellich. I może wykryć pewne... rozbieżności.

- Zachowałem ostrożność.

- Na przykład, trując starszego pana?

- To był wypadek. Twierdziłeś, że od tego się tylko rozchoruje. Skąd mogłem wiedzieć, że ma słabe serce?

Strach, nieco skamłający ton rozmówcy kazały mu się uśmiechnąć. Wszystko szło jak z płatka.

- Nazywasz to wypadkiem?

- Nie jestem mordercą.

- Pozwolę sobie być innego zdania. Zabiłeś. Jeśli oczekujesz ode mnie pomocy i wsparcia finansowego, to na początek dostarcz mi kopii wszystkich papierów, umów, planów kampanii

reklamowej na stulecie firmy, archiwum winnicy, w Wenecji i w Dolinie Napa.

- Muszę mieć pieniądze. Nie zdobędę tego, o co prosisz, bez...

- Daj mi najpierw coś uŜytecznego.

- TO SĄ winorośle. Wielka mi rzecz.

- Winorośle - oznajmił David naburmuszonemu synowi - zapracują na twoje hamburgery i frytki w przewidywalnej przyszłości.

- A na samochód?

David zerknął we wsteczne lusterko.

- Nie przesadzaj, brachu.

- Tato, w takiej dziurze nie da się Őyć bez bryczki. David skręcił do Winnic MacMillana.

- Z chwilą gdy tylko przestaniesz oddychać, zajrzę do najbliŜszego autokomisu.

Ojcu aŜ podskoczyło serce, kiedy Theo w odpowiedzi chwycił się za gardło, postawił oczy w słuŕp i niby to osunął się, cięŜko dysząc.

- Wiedziałem, Őe powinniśmy byli zrobić ten kurs pierwszej pomocy - rzucił

David od niechcienia.

- Nic nie szkodzi. Jak on padnie, będzie więcej frytek dla nas - pocieszyła ojca Maddy.

- Pięknie tu.

David zatrzyma! się i wysiadł, Őeby rozejrzeć się po polach. W ten mroźny poranek robotnicy przycinali w miarowym tempie winorośle.

- I to wszystko, moje dzieci - powiedział, obejmując ich, kiedy do niego podeszli - nigdy nie będzie wasze.

- MoŜe któryś z właścicieli ma córkę. OŜenię się z nią, a wtedy będziesz pracował u mnie.

David przeszedł dreszcz.

- PrzeraŜasz mnie, Theo.

TYLER zauwaŜył trio zbliŜające się między rzędami i zaklął pod nosem.

Turyści, pomyślał. Nie miał czasu na pogawędki.

Podszedł do Sophii i zauważył niechętnie, że robi swoje, i to całkiem nieźle.

- Przyplątali się jacyś turyści - powiedział. - Może odpocznij chwilę i zaprowadź ich do winiarni?

Sophia wyprostowała się i powoli odwróciła w stronę przybyszów. Ojciec i syn nie różnili się ubiorem od masowej klienteli firmy wysyłkowej L.L. Beana, uznała, a córka prezentowała w każdym calu styl punkowy.

- Bardzo chętnie. Ale gdyby przedtem rzucili okiem na pola i usłyszeli o przycinaniu, może tatuś chętniej kupiłby w winiarni kilka butelek.

- Jeszcze tego brakowało, żeby mi się tu ktoś pałętał po polu.

- Nie bądź taki nieznosny.

Uśmiechnęła się promiennie, złapała Tylera za rękę i pociągnęła w stronę nadchodzącej rodziny.

- Dzień dobry! Witamy w Winnicach MacMillana. Jestem Sophia, a to jest Tyler. Coś państwa u nas interesuje? Zwiedzają państwo dolinę?

- Można by tak powiedzieć. - Ma oczy Signory, pomyślał David. Ten sam kolor i ta sama głębia. Oczy Pilar są cieplejsze, miłsze, pobłyskują złotem. - Miałem nadzieję spotkać was oboje. Nazywam się David Cutter. A to moje dzieci, Theo i Maddy.

- Ach.

Sophia szybko się połapała. Podała rękę Davidowi.

- Witajcie zatem raz jeszcze. Wejdziecie do winiarni czy wstąpicie do domu?

- Chętnie rozejrzę się po winnicy. Dość dawno nie oglądałem przycinania. -

David zwrócił się do Tylera. - Piękna ma pan winnicę, panie MacMillan. Wypuszcza doskonały produkt.

- W pełni się z panem zgadzam. Ale teraz, proszę wybaczyć, muszę wracać do pracy.

- Musi pan wybaczyć Tylerowi. Nie ma smykałki do ścicia towarzyskiego.

Prawda, MacMillan?

- Winorośle nie potrzebują pogawędek.

- Wszystko lepiej rośnie przy stymulacji dźwiękowej. - Maddy nawet nie mrugnęła na marsową minę Tylera. - Dlaczego przycinacie w zimie? - spytała. - A nie wczesną wiosną?

- Przycinamy, kiedy jeszcze pnącza śpią.

- Dlaczego?

- Maddy - zmiłgował ją ojciec.

- W porządku. - Tyler przyjrzał się lepiej dziewczynie. MoŜe i ubiera się jak uczennica wampira, ale twarz ma inteligentną.

- Przycinanie w zimie zmniejsza plenność. Przerośnięte winorośle rodzą zbyt wiele poślednich gron. Nam zaleŜy na jakości, a nie na ilości.

- PokaŜe mi pan, jak się to robi? - poprosiła Maddy Tylera. -Boja wiem...

- Ja wam chętnie pokaŜę - zaproponowała wesoło Sophia.

- Chodźcie ze mną.

I wyprowadziła dzieci nieco dalej. Tyler westchnął.

- No dobrze, Cutter, oczyśćmy od razu atmosferę. Nie Ŝyczę sobie, Ŝeby mi tu ktoś zagłąda! przez ramię i stawiał stopnie. Nie obchodzi mnie, jak to się odbywało w Le Coeur. To moja winnica. Ja tu rządę.

- Panie MacMillan, nie mam zamiaru wchodzić panu w paradę. To pan jest tu hodowcą. Ale ja muszę sprawdzić wszystkie fazy produkcyjne.

- Pan trzęsie sprawami w biurze. Ja na polu.

- Niezupełnie. Zatrudniono mnie, bo znam się na winoroślach. Nie jestem wyłącznie garniturowcem, zresztą, prawdę powiedziawszy, trochę mi się ta rola znudziła. MoŜna?

Wyjął noŜyce z futerału przy pasie Tylera. Gołą ręką uniósł tyczkę, obejrzał, podciął. Szybko, sprawnie, właściwie.

- Znam się na winoroślach - powtórzył, oddając narzędzie Tylerowi - przez co bynajmniej nie nabywam praw własności.

Tyler, rozdraŜniony, odebrał narzędzie, wsadził do futerału jak szpadę do pochwy i odszedł.

Hardy, zacięty, okopany, pomyślał David. Zapowiada się nie lada walka.

Ruszy! w stronę Sophii zabawiającej jego dzieci. JuŜ z daleka zauwaŜył, jak obecność młodej, atrakcyjnej kobiety działa na jego syna: Theo był pobudzony i energia aŜ go rozsadzała. I przez to, pomyślał ze znuŜeniem David, moŜe sobie napytać biedy.

SEDZINA Helen Moore wpadła do jej pokoju.

- Przepraszam cię, kochana, Ŝe trochę się spóźniłam.

- Nic nie szkodzi - uspokoiła ją Pilar. - Doceniam, że zechciałaś mi poświęcić chwilę. Wiem, jaka jesteś zajęta.

Helen zdjęła płaszcz i powiesiła go.

- Jeśli zrzucę kiedyś siedem kilo, zacznę chyba nosić pod nim bikini.

Ale teraz miała stonowany brązowy kostium. Postarza się tym strojem, pomyślała Pilar. I, niestety, pogrubia. Cała Helen.

- Mamy dwie godziny. - Helen opadła na krzesło za biurkiem i zrzuciła buty. -

Skoczmy na lunch?

- Nie bardzo. Posłuchaj, Helen. Tony postanowił zalegalizować naszą sytuację.

Czułabym się znacznie lepiej, gdyby wszystko poszło czysto i gładko.

- Ech, szkoda - nachmurzyła się Helen. - Bo ja najchętniej dałabym mu po uszach. Musisz mi udostępnić swoje papiery finansowe - zwróciła się do Pilar, wyciągając swój notatnik. - Na szczęście już przed laty namówiłam cię na rozdział

finansów, ale on może składać roszczenia. Na nic się nie będziesz zgadzała.

- To nie jest kwestia pieniędzy.

- Może dla ciebie nie. Ale on będzie chciał utrzymać wysoki poziom życia. Ile mu podsypałaś przez ostatnich dziesięć lat?

Pilar z zakłopotaniem zmieniła pozycję. -Helen...

- A no właśnie. Pożycy, których nigdy nie spłaca. Dom w San Francisco, dom we Włoszech. Oba nieźle urządzone. A wiem też, że zakosił sporo twojej biżuterii.

- Kochałam go, więc wydawało mi się, że jeśli będzie mnie potrzebował, to będzie mnie też kochał. Ale wiesz, coś się wydarzyło wczorajszej nocy. - Pilar wstała i opowiedziała Helen o nocnym telefonie. - Kiedy słuchałam tych jego przeprosin, kiedy przerwał rozmowę Rene, żeby załagodzić sytuację po jej napaści, to poczułam obrzydzenie. A kiedy ochłonęłam, zrozumiałam, że już go nie kocham. I pewno od lat nie kochałam. Jestem śmiała.

- No, właśnie już nie jesteś. - Helen podniosła słuchawkę. - Carl? Zamów mi dwie kanapki z kurczakiem, dwie sałatki, dwie kawy capuccino i dużą butelkę wody gazowanej. Dziękuję. - Odłożyła słuchawkę. - A teraz, kochanie, wyjaśnię ci, co musimy zrobić.

NIEDZIELA zasklepiła ten tydzień niczym balsam nałóżony na świerzbące miejsce. Sophia nie musiała od świtu w zgrzebnych ciuchach przycinać pędów. Mogła skoczyć do miasta na szalowe zakupy, z kimś się spotkać. Ale najpierw chciała namówić mamę na rozkoszny babski dzień.

Zapukała do drzwi pokoju matki i otworzyła je. Łóżko było już pościelone, przez rozsunięte zasłony wpadało światło. Z łazienki obok wyszła Maria.

- Mama?

- Och, pani dawno już wstała. Chyba jest w oranżerii.

- Wiesz, Mario, prawie jej nie widziałam od tygodnia. Dobrze się czuje?

Maria zacisnęła usta.

- Nie śpi najlepiej. Je jak ptaszek, i to tylko wtedy, jak ją pani zmusi. Twierdzi, że to gorączka przedświąteczna. Jaka znowu gorączka? - Maria podniosła ręce do góry. - Mama panią uwielbia Boże Narodzenie.

- Zaraz jej poszukam, Mario.

O właśnie, święta, pomyślała Sophia, zbiegając na dół. Doskonały pretekst.

Poprosi mamę, żeby jej pomogła przy zakupach przedświątecznych. Rozejrzała się po domu. Poinsecje mamy, czerwone i białe gwiazdy w tuzinach srebrnych doniczek, mieszały się w holu z miniaturowymi ostrokrzewami. Soczysta zieleń nad drzwiami przeplatana sznurami białych lampek.

Na długim refektarzowym stole w salonie wystawiono trzy aniołki Giambellich. Tereza, Pilar i Sophia - ich rzeźbione główki w wieku dwunastu lat wpatrzone w siebie. Zawsze miłe dla oka. Sophia przyjęła przed laty tego swojego aniołka z wielkim przejęciem. Pozowała bez ruchu.

Rozejrzała się po pokoju. Świece w srebrnych i złotych świecznikach, misterne zielone stroiki. Pod oknem stała wielka choinka z cennymi świecidełkami z Włoch. Pod nią już pyszniły się wspaniałe prezenty.

Świąteczne przyjęcie za pasem, pomyślała z wyrzutami sumienia. A ona w niczym nie pomogła.

Wyszła bocznymi drzwiami, zbiegła wąską krętą kamienną dróżką, skręciła w lewo, puściła się pędem do oranżerii.

W środku było parno, ale przytulnie.

- Mamo?

- Tu jestem, Sophio. Zobacz, jak mi się udały prymulki. Jakie piękne. Jakie ozdobne.

Pilar przystanęła, spojrzała na córkę. Sophia pocałowała mamę w policzek.

- Mamo, spóźniłam się z zakupami. Wybierz się ze mną do miasta. Zaproszę cię na obiad.

- Sophio. - Pilar, kiwając głową, podniosła długą skrzynkę narcyzów. - Zakupy świąteczne zrobiłaś

w październiku. Jak co roku, Sębyśmy wszyscy mogli cię za to nienawidzić.

- No dobra, przyłapałaś mnie. - Sophia oparła się o ladę. - Ale marzę o tym, Sęby skoczyć do miasta i się rozerwać. Ten tydzień dał mi w kość. Wyrwijmy się stąd na cały dzień.

Pilar nachmurzyła się.

- Sophio, czy to te nowe porządki narzucone przez babcię tak ci dojadły?

Codziennie zrywasz się o świcie, a potem godzinami przesiadujesz tu w gabinecie.

- Uwielbiam działać pod presją. Przydałaby mi się asystentka, ale ponieważ

nie przyznam się babci ani MacMillanowi, Sę trochę mam tego za duSo, moSę byś mi pomogła. Przy archiwizowaniu i wklepywaniu danych.

Pilar westchnęła, zdjęła rękawiczki.

- Wymyślasz mi zajęcia, tak jak Maria goni mnie do jedzenia.

- Poniekąd - przyznała, wzdychając, Sophia. - Ale gdybym przerzuciła trochę pracy na ciebie, mogłabym znów się zacząć umawiać w tym dziesięcioleciu.

- No dobrze, ale nie zwalaj potem na mnie, jeśli nie będziesz mogła niczego znaleźć - odparła Pilar ze śmiechem. - Ostatnio zajmowałam się pracą biurową w wieku szesnastu lat, bo wtedy mama mnie wyrzuciła.

- No dobra, to jedźmy. A po dniu w mieście zabierzemy się do roboty.

W RODZINIE Giambellich obowiązywała przeszło półwieczna tradycja hucznych przyjęć gwiazdkowych w ostatnią sobotę przed świętami. Dom otwierał swe podwoje dla rodziny i przyjaciół, a winiarnia dla pracowników. Współpracownicy, stosownie do zajmowanej pozycji, bawili się tu albo tam.

Zaproszenia do rezydencji były na wagę złota, często stanowiły symbol pozycji albo sukcesu. Ale Giambelli nie oszczędzali również na przyjęciu w winiarni.

Jedzenie podawano wykwintne, wino lało się strumieniami, dekoracje i rozrywki były w najlepszym stylu. No i mniej się tam bawiło irytujących członków rodziny.

Sophia słyszała, jak pociechy jej kuzynki Giny wrzeszczą na drugim końcu korytarza. Niesłusznie łudziła się nadzieją, Sę Don ze swoim stadkiem zostanie we Włoszech. Ale nawet ich przyjazd poprzedniego dnia nie rozdraSnił jej tak bardzo, jak przyjazd ojca z Rene.

Pocieszała się, Sę zaproszono ich tylko do winiarni.

Przypięła brylantowe łożki, cofnęła się, z oddali oszacowała efekt w staroświeckim lustrze.

Mieniąca się srebrna suknia z krótkim dopasowanym Śakiecikiem prezentowała się nieźle. Wycięty w szpic dekolot stanowił odpowiednią oprawę dla brylantowego naszyjnika. Sophia dostała ten komplet od swojej prababki.

Odwróciła się, sprawdziła jeszcze, czy suknia dobrze leŚy, odpowiedziała

„proszę” na pukanie do drzwi.

- Co za widok! - pochwaliła Helen. Piękna i przysadzista w pogrubiających róŚach.

- Nie przesadziłam z tymi brylantami?

- Kochanie, z brylantami nie da się przesadzić. Szkoda, Śe Linc nie moŚe cię teraz zobaczyć. W przyszłym miesiącu zdaje egzamin na aplikację adwokacką.

- Na pewno zda. PrzecieŚ to twój syn, musiał odziedziczyć zdolności. - Sophia puŚciła do Helen oko.

Lincoln Moore był dla Sophii niemalŚe bratem. Przyjaźń ich matek sprawiła, Śe Śadne z nich nie czuto się jedynakiem.

- O, na pewno - potwierdziła Helen. - Posłuchaj, chciałam zamienić z tobą słowo. Niechętnie o tym mówię, ale Pilar wspomniała mi, Śe Tony ma tu być z Rene.

- Tak, a o co chodzi?

- Wczoraj odbył się wreszcie rozwód.

- Rozumiem. - Sophia podniosła torebkę wieczorową, otworzyła, po chwili zamknęła. - Powiedziałaś juŚ mamie?

- Przed chwilą. Nieźle to przyjęła. Albo dobrze udaje. Wiem, Śe to dla niej waŚne, abyś i ty się trzymała. — UŚcisnęła rękę Sophii. - Nie daj Rene tej satysfakcji, Śeby zobaczyła którąś z was zranioną.

- O to się nie bój.

- To świetnie. A teraz muszę juŚ zejść i poasystować swojemu ślubnemu.

Po jej wyjściu Sophia głośno westchnęła. Następnie podeszła do lustra.

Otworzyła torebkę, wyjęła szminkę i pomalowała usta krwistą czerwienią.

DAVID, wmieszany w tłum, który zapełnił kamienne mury winiarni, sączył

mocnego merlota. Usiłował znieczulić się na gorące rytmy zespołu, którym właśnie podniecał się jego syn, i szukał wzrokiem Pilar.

Wiedział, że Giambelli się postarają. Zapoznano go zawczasu ze świątecznym protokołem. Miał kursować między przyjęciem w winiarni i w rezydencji, do której zaproszenie było zaszczytem, a przybycie obowiązkiem.

W mig się zorientował, że prawie każde zajęcie tutaj zasługuje na te miana.

Ale nie narzekał. Wszystko, co widział przez ostatnie tygodnie w firmie Giambelli-MacMillan, przypominało mu rodzinny statek. Pieniądze szanowano, ale to nie one stanowiły cel. Celem było wino.

- O, David, miło cię znowu widzieć.

Odwrócił się, zaskoczony widokiem uśmiechniętej twarzy Jeremy'ego DeMorneya.

- Nie sądziłem, że zjawi się tu ktoś z Le Coeur.

- Staram się nie omijać dorocznego balu u Giambellich. Signora ma ten gest, że zaprasza przedstawicieli konkurencji.

- Bo to prawdziwa dama.

- Jedyna w swoim rodzaju. Jak ci się u niej pracuje?

- Za wcześnie na oceny, ale przeprowadzka się udała. Cieszę się, że wywozłem dzieciaki z miasta. Co tam w Le Coeur?

- Jakoś leci. Szkoda, że cię straciliśmy, Davidzie.

- Nic nie trwa wiecznie. Jest tu jeszcze ktoś stamtąd?

- Duberry przyleciał z Francji. Zna seniorkę rodu od stu lat. Pearson reprezentuje miejscowych producentów. Jest też kilku dyrektorów wytwórni najlepszych marek. W ten sposób wszyscy możemy skosztować jej win i trochę powęszyc. Doszły cię jakieś plotki na mój temat?

- Już mówiłem, że jeszcze za wcześnie. Ale przyjęcie bardzo udane. Wybacz, proszę, przyszedł właśnie ktoś, na kogo czekałem.

Może przez całe moje życie, pomyślał.

Była ubrana na granatowo. W granatowej aksamitnej sukni z długim sznurem pereł. Wyglądała ciepło i monarszo. Podniosła głowę, zobaczyła go. I, niech go kule biją, spłonęła rumieńcem. A w każdym razie twarz jej się ożywiła. Aż oszalał na myśl, że może za jego sprawą.

- Szukałem cię. - Wziął ją za rękę, zanim zdążyła się cofnąć. - Wiem, wiem, że musisz czynić honory domu, ale chciałem tylko na słówko.

Zupełnie jakby ją omyła ciepła fala. -Davidzie...

- Zaraz będziemy rozmawiali o pracy, o pogodzie. Ale muszę powtórzyć ci kilkadziesiąt razy, Śe ślicznie wyglądasz.

Zdjął smukły kieliszek szampana z tacy.

- Nie nadąŜam za tobą.

- Bo ja sam nie nadąŜam za sobą. Wiem, Śe cię peszę. Ale byłbym nieszczerzy, gdybym cię zaczął za to przepraszać. Chyba najlepiej zacznijmy nasz związek od szczerości, prawda?

- Nie. Tak. Przestań. - Usiłowała się roześmiać. W czarnym smokingu, z grzywą blond włosów połyskującą w świetle, wyglądał jak bywały w świecie rycerz. -

Dzieci juŜ są?

- Tak. Najpierw błagały, Śeby ich tu nie ciągnąć, a teraz bawią się jak szalone.

Pięknie wyglądasz. Chyba juŜ wspominałem, Śe będę ci to powtarzał?

- Owszem, chyba tak.

- Pewno nie dałabyś się zaciągnąć w jakieś ustronie na odrobinę pieszczot?

- Z całą pewnością nie.

- No, to musisz ze mną zatańczyć.

I co miała począć? Powiedzieć? Poczuć? Wzięła głęboki oddech.

- Davidzie, jesteś wprawdzie bardzo pociągający...

- Tak? - Dotknął jej włosów, nie mógł się oprzeć. Tak go to urzekło, Śe zwijają się w pierścionki przy jej policzku. - A mogłabyś się wyrażać jaśniej?

- I bardzo miły... - dodała. - Ale się nie znamy. Poza tym...

- Odsunęła się od niego. - O, witajcie, Rene, Tony.

- Pilar, ślicznie wyglądasz. - Tony pocałował ją w policzek.

- Dziękuję. Pozwólcie, David Cutter. Tony Avano i Rene Foxx.

- Od dzisiaj Rene Foxx-Avano - sprostowała z godnością Rene. Uniosła rękę, Śeby zamigotał brylant w pierścionku.

To nie był cios w serce, uświadomiła sobie z ulgą Pilar. ChociaŜ coś ją zakłuło, coś targnęło.

- Moje gratulacje.

Rene wzięła Tony'ego pod rękę.

- TuŜ po świętach lecimy na Bimini. Pilar, tobie teŜ by się przydały wakacje, jakoś blado wyglądasz:.
 - Dziwne, bo właśnie myślałem, jak Pilar cudownie dziś wygląda. - David uniósł rękę Pilar i ucałował jej palce. - Urzekająco. Cieszę się, Tony, Őe zdąŜyłem cię poznać jeszcze przed wyjazdem. Bo nie mogłem się z tobą skontaktować. Zostaw swoje plany podróŜy u mnie w gabinecie. Musimy omówić pewne sprawy.
 - Moi pracownicy znają moje plany.
 - Najwyraźniej moi ich nie znają. - David objął Pilar w pasie.
 - A teraz wybaczcie. Musimy udać się do rezydencji.
 - To nie było zbyt uprzejme - szepnęła Pilar.
 - No i co z tego? - Gdzieś ulotnił się ton flirtu. - Poza tym, Őe facet mi się w ogóle nie spodobał, jestem tu dyrektorem, a on unika moich telefonów.
 - Nie przywykł opowiadać się przed nikim.
 - Będzie musiał przywyknąć. - David zauwaŜył Tylera. - Podobnie jak inni.
- MoŜe pomóŜ mi odrobinę i przedstaw niektórym ludziom, którzy łamią sobie głowy, co ja tutaj, u diabła, robię.
- Postaram się - odparła Pilar.
- Tyler usiłował się poruszać jak w czapce-niewidce. Muzyka była dla niego za głoŝna, w winiarni panował zbyt duŜy tłok, jedzenie było zbyt obfite. JuŜ ukuł w głowie plan. Godzinę spędzi tutaj, godzinę w rezydencji. A potem wymknie się do domu, chwila przy telewizorze, i pójdzie spać.
- Dlaczego pan tu tak stoi sam jak palec? Tyler spojrzał krzywo na Maddy.
 - Bo mi się tu nie podoba.
 - Więć dlaczego pan tutaj przyszedł? PrzecieŜ jest pan dorosły. MoŜe pan robić, co się panu podoba.
 - Och, moŜesz się na takim myśleniu srodze zawieŝć.
 - Chyba pan się lubi złoŝić.
 - Nie. Po prostu taki jestem. Wydęła usta.
 - No dobra, mogę skosztować od pana wina? -Nie.

- W Europie dzieci uczy się smakować wino.

Powiedziała to tak wyniośle i prezentowała się tak komicznie w tyłu warstwach czerni, w tych koszmarnych butach, że Tyler omal się nie roześmiał.

- No, to jedź do Europy. Tutaj panuje przekonanie, że to sprowadza młodzieżą na manowce.

- Byłam w Europie, ale bardzo słabo pamiętam ten pobyt. Chyba muszę wybrać się tam znowu. Może pomieszkać trochę w Paryżu. Rozmawiałam z panem Delvecchio, producentem wina. Twierdził, że wino to prawdziwy cud, ale przecież to tylko wynik reakcji chemicznej, prawda?

- I jedno, i drugie. A jednocześnie coś więcej.

- Coś musi być. Mam zamiar zrobić eksperyment. I pomyślałam, że pan mógłby mi w tym pomóc.

Tyler wytrzeszczy! oczy na tę piękną, fatalnie ubraną dziewczynę o jakże dociekliwym umyśle.

- Ja? Dlaczego nie zwrócisz się do własnego ojca?

- Bo pan jest producentem wina. Mam zamiar włożyć po garści winogron do dwóch naczyń i zrobić eksperyment. W jednym pozostawić je samym sobie, to będzie cud pana Delvecchia. W drugim zastosować różne środki i techniki. Uruchomić reakcję chemiczną. I wtedy się przekonamy, co lepiej działa.

- Nawet przy tej samej odmianie winogron wystąpią różnice między dwiema próbkami.

- Dlaczego?

- Bo o tej porze roku winogrona mogą być tylko kupne. Mogą nie pochodzić z tej samej winnicy. A jeśli nawet, będą się różniły. Zależnie od typu gleby, nawozu, nawodnienia. Miejsca zebrania i sposobu zebrania. Nie da się zbadać gron na krzakach. Gdyby nawet pozostawić je w obu naczyniach same sobie, moszcz w obu naczyniach też będzie się bardzo różnił.

- Co to jest moszcz?

- Sok. - Wino z miski, pomyślał. Ciekawy pomysł. - Ale jeśli chcesz go skosztować, musisz użyć drewnianych mis. Drewno nada moszczowi charakteru.

Niewiele, ale jednak.

- A widzi pan? Reakcja chemiczna — powiedziała Maddy z uśmiechem. -

Nauka, a nie religia.

- Kotku. Wino to coś znacznie więcej.

I, niewiele myśląc, podsunął jej swój kieliszek. Wzięła do ust łyk, tylko zerknęła kątem oka, czy tata nie patrzy. Kontrolnie przesunęła na języku, zanim przełknęła.

- Niezłe.

- Niezłe? - Wziął kieliszek z powrotem. - To markowe pinot noir. Tylko barbarzyńca poprzestałby na określeniu „niezłe”.

Uśmiechnęła się rozkosznie, bo wiedziała, że ma go już w garści.

- Pokaż mi pan kiedyś beczki i tłocznie?

- Pokażę.

- SOPHIA. Olśniewająca jak zawsze.

- Witaj, Jerry. Wesołych świąt. - Ucałowała go w oba policzki. Jak interesy?

- Le Coeur miało fenomenalny rok. I spodziewamy się kolejnego podobnego.

Coś mi się obilo o uszy, że planujecie rewelacyjną kampanię promocyjną.

- Coś za bardzo te ptaszyny ćwierkają. A mnie się obilo o uszy, że wypuszczacie na rynek amerykański nową markę.

- Może ktoś będzie musiał wreszcie te ptaszyny odstrzelić. Widziałem w piśmie „Vino” zachwyty na temat waszego cabernetu rocznik osiemdziesiąty czwarty.

No i aukcja poszła dobrze. Przykro mi, że wystawiłaś mnie wtedy w Nowym Jorku.

- Naprawdę nie mogłam. Ale to spotkanie nie ucieknie nam.

- Liczę na to.

Był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, przystojnym, niemal bez skazy. Szczypta siwizny na skroniach dodawała mu tylko godności, nieznaczny dołek w brodzie -

uroku.

Żadne z nich nie zająknęło się o jej ojcu ani o źle strzeżonym sekrecie niewierności Sony Jerry'ego. Rozmawiali w lekkim, niemal flirciarskim, przyjacielskim tonie.

Rozumieli się wyśmienicie. Chociaż rywalizacja między winnicami Giambellich i Le Coeur przybierała czasem morderczą wręcz postać. A Jeremy DeMorney potrafił sięgać do najbardziej skrajnych metod. Imponował jej tą umiejętnością.

- Nawet skusiłabym się na obiad - powiedziała mu. - Z winem Giambelli-MacMillan. Bo przecie

chodzi nam o najlepszą markę, prawda?

- Okrutna z ciebie kobieta, Sophio.

- A z ciebie groźny mężczyzna, Jerry. Co u twoich dzieci?

- Dziękuję, świetnie. Ich matka wywiozła je szczęśliwie na ferie do St.Moritz.

- Pewno za nimi tęsknisz.

- Jasne.

Dostrzegła kątem oka jakiś ruch.

- Jerry - przeprosiła go - miło cię tu widzieć. Ale mam teraz pewną sprawę do załatwienia.

RENE przytrzymała drzwi, żeby wejść do toalety damskiej tuż za Pilar.

- Miętko wylądowałaś, co?

- Masz, czego chciałaś, Rene. - Chociaż Pilar musiała opanować drżenie rąk, otworzyła torebkę i wyjęła szminkę. - Nie powinnaś robić sobie więcej kłopotu z mojego powodu.

- Byłe Sony zawsze sprawiają kłopot. Powtarzam, nie będę tolerowała twoich telefonów i neurotycznych obelg.

- To nie ja dzwoniłam.

- Jesteś kłamczucha. Ja gram w otwarte karty. Jeżeli sądzisz, że wypuszczę z rąk Tony'ego, bo skamiesz przed całą rodziną, to jesteś w błędzie. Nie wyrwiesz mi go, a gdybyś próbowała... pomyśl, ile ciekawych informacji mogłabym przekazać konkurencji.

- Szantaż wobec mojej rodziny lub firmy nie umocni pozycji Tony'ego. Ani twojej.

- To się jeszcze okaże. Teraz ja jestem panią Avano. I państwo Avano zjawia się dziś w Willi na przyjęciu rodzinnym.

- Tylko narobisz sobie wstydu.

- Wstyd nie przychodzi mi tak łatwo.

Zachowując powściągliwość, Pilar odwróciła się do lustra i powoli, starannie umalowała sobie usta.

- Jak długo, twoim zdaniem, potrwa, zanim Tony zacznie cię zdradzać?

- Nie odważy się nigdy. - Pewna swego, Rene uśmiechnęła się. - Nie jestem bierną, cierpliwą Soną. A ty, jeżeli chcesz trzymać Cuttera na smyczy, przekaż go swojej córce. Bo wygląda mi na taką,

która umie zabawić męszczyznę w łóŜku.

W tym momencie Sophia otworzyła drzwi.

- Och, jak miło. Takie babskie pogaduszki? Rene, moja miła, odważna jesteś, Ŝe się zdecydowałaś na ten odcień zieleni przy swojej kolorystyce.

- Odchrzań się, Sophio.

- Mamo, czekają na ciebie w Willi. Rene z pewnością nam wybaczy, prawda?

- Przeciwnie, to ja was zostawię, Ŝebyś mogła potrzymać matkę za rękę, kiedy rozplynie się we łzach bezradności. Ja jeszcze nie skończyłam, Pilar - dodała, otwierając drzwi. - Ale ty jesteś skończona.

- Zabawna osóbką. - Sophia przyjrzała się matce. - Wcale nie wyglądasz, jakbyś miała płakać z bezradności ani z jakiegokolwiek innego powodu.

- Nie, juŜ się z nimi uporałam. - Pilar wrzuciła szminkę do torby. - Sophio, twój ojciec dzisiaj się z nią oŜenił.

- Niech idą do diabła. - Sophia westchnęła, podeszła, objęła matkę, położyła głowę na jej ramieniu. - Wesołych świąt.

SOPHIA czekała na sprzyjający moment. Chciała złapać ojca na osobności, a nie z Rene oplecioną, jak zwykle, wokół niego jak trujący bluszcz. Wpatrywała się w tłum, raz zatańczyła z młodym Cutterem. Kiedy zauwaŜyła Rene na parkiecie z Jerrym, ruszyła natychmiast do dzieła.

Wcale jej nie zdziwił widok ojca przy stoliku w kącie, zajętego flirtowaniem z Kris Drake. Trochę ją to zniesmaczyło, ale bynajmniej nie zaskoczyło, Ŝe w dniu własnego ślubu roztacza pawie ogon przed inną kobietą. Kiedy podeszła bliŜej, kilka subtelnych niuansów - delikatne muśnięcie, zalotne spojrzenie - podszeptęło jej, Ŝe to coś więcej niŜ flirt.

- Kris, przepraszam, Ŝe przeszkadzam wam w tej intymnej chwili, ale muszę porozmawiać z ojcem.

- O, miło mi cię widzieć. Tak dawno nie byłaś u mnie w gabinecie, Ŝe zapomniałam prawie, jak wyglądasz.

- Z tego, co mi wiadomo, nie muszę ci się meldować, ale prześlę zdjęcie.

- No, no, księżniczko - odezwał się Tony.

- Nie naciskaj, Kris. - Sophia dodała chłodno. - Spotkamy się, kiedy będę miała wolną chwilę. Na razie ciesz się, Ŝe to ja cię zobaczyłam, nie zaś Rene. A teraz chciałabym zamienić słowo z ojcem w sprawach rodzinnych.

- JeŜeli przejmiesz ster w firmie, to juŜ pozostaną wam tylko sprawy rodzinne.

Kris podniosła się, przejechała palcem po dłoni Tony'ego i odeszła.

- Sophie, wierz mi, Œe źle oceniasz sytuację. Kris i ja popijaliŒmy sobie niezobowiążujaco.

Obcięła go wzrokiem jak brzytwą.

- Zostaw te tłumaczenia dla Rene. Ja cię znam trochę dłuŒej. I nie przerywaj mi - poprosiła, zanim zdąŒył otworzyć usta. - Nie zabiorę ci duŒo czasu. Podobno powinnam ci złoŒyć gratulacje.

- Och, Sophio. - Wstał, wyciągnął do niej rękę, ale uchyliła się. - Wiem, Œe nie przepadasz za Rene...

- Guzik mnie obchodzi Rene, zresztą ty akurat teraz teŒ. Spojrzał na nią szczerze zdziwiony, wręcz zraniony. Zastanowiło ją to, czy ćwiczycie takie miny w lustrze przy goleniu.

- Chyba cię poniosło. Przykro mi, Œe jesteŒ taka zdenerwowana.

- Przykro? Jest ci przykro, Œe cię dopadłam.

- KsięŒniczko...

- Daj spokój. Przyszedłeś na przyjęcie rodzinne, przywlokłeś teŒ nową Œonę i kolejną flamę na dokładkę. Wykazałeś zatem gruboskórnoŒć, to po pierwsze. I nie miałeś na tyle przyzwoitoŒci, Œeby uprzedzić o tym mamę. To po drugie.

Podniosła glos, aŒ kilka osób się obejrzało. Tony, stropiony, wziął ją pod rękę.

- MoŒe wyjdźmy stąd, to ci wszystko wyjaŒnię. Nie musimy tutaj robić scen.

- Och, oczywiŒcie, Œe musimy. Bo przesadziłeś. NapuŒciłeś tę kobietę na mamę. - Sophia dźgnęła go palcem w pierŒ. - Pozwalasz, Œeby Rene ją atakowała, ubliŒała jej, a ty tu sobie siedzisz i Œlinisz się do innej kobiety. To po trzecie. Niech cię diabli! I na tym koniec. Trzymaj się od mamy z daleka i przypilnuj swoją Œonę. Bo zaręczone ci, Œe poleje się krew.

Odeszła, zanim się zdąŒył pozbierać. I wtedy ktoś chwycił ją za rękę, wciągnął

w tłum.

- Kiepski pomysł - skomentował spokojnie Tyler. - Naprawdę, nie najlepszy pomysł, Œeby mordować pracowników firmy na uroczystym przyjęciu gwiazdkowym.

Jak dotąd zabawiłaŒ tylko garstkę gości, ale za chwilę zrobisz widowisko przed całym tłumem. MoŒe pójdziemy do Willi?

OGRODY wokół Willi Giambellich mieniły się feerią czarodziejskich Œwiateł.

GoŒcie wysypywali się grupami na tarasy, Œeby rozkoszować się blaskiem gwiazd i muzyką sączącą się przez okna i drzwi z sali balowej.

Sophia pociągnęła Tylera po schodach tarasu udekorowanego kwiatami i ozdobnymi krzewami.

- Uśmiechnij się, MacMillan - poprosiła zalotnie.

- Dlaczego?

- Bo zaraz zatańczysz ze mną.

- Dlaczego? - Stłumił ziewnięcie, kiedy wzięła go za rękę. - Przepraszam. Za długo przebywałem z Maddy Cutter. Ta mała nie przestaje zadawać pytań.

- Widzę, Œe jednak nawiązałeś z nią delikatną nić porozumienia. Gratuluję.

Słuchaj, lepiej by nam poszedł ten taniec, gdybyś mnie najzwyczajniej objął.

- A, racja. - Położył jej rękę na kibici. - To ciekawa i bystra dziewczyna.

Widziałaś mojego dziadka?

- Nie. A dlaczego pytasz?

- Bo chciałem pokazać się jemu i Signorze. Wtedy uznam, Œe odbębniłem swoje i Œe mogę iść do domu.

- AleŒ z ciebie towarzyskie zwierzę. - Przesunęła ręką po jego ramieniu i zwichrzyła mu wesoło włosy. Gęste i w nieładzie. - Rozerwij się trochę, Tyler. Mamy BoŒe Narodzenie.

- Jeszcze nie. Do świąt zostało sporo do zrobienia, a teraz muszę przejrzeć jeszcze pewne wykresy i diagramy. Tak cię to śmieszy? - zapytał, bo parsknęła śmiechem.

- Zastanawiałam się, jaki byś był, gdybyś się trochę wyluzował. Dzikus z ciebie, MacMillan.

- Wyluzuję się, nie ma obawy - mruknął.

- Powiedz mi coś. - Przejechała mu palcami po szyi. - Cokolwiek, co nie ma nic wspólnego z winem ani z pracą.

- A jest w ogóle coś takiego?

- Coś ze sztuki, literatury, jakąś anegdotę z Œycia, marzenie.

- Moim marzeniem jest się stąd wyrwać.

- Postaraj się. Powiedz coś, co ci przychodzi do głowy.

- Chciałbym zdrzeć z ciebie tę suknię. Odczekał.

Przekrzywiła głowę, przyjrzała mu się.

- MoŜe poszlibyśmy do ciebie?

- To dla ciebie takie łatwe?

- Mogłoby być.

- A dla mnie nie. Wracam do domu. Ale jeŜeli zaleŜy ci na szybkim numerku, na pewno znajdziesz tu wielu amatorów.

Cofnął się i odszedł.

Trzeba było prawie dziesięciu sekund, Őeby się pozbierała, a potem jeszcze trzy, zanim wezbrała w niej furia i się wściekła. ZdaŜył juŜ opuścić pokój i zejść po schodach, zanim go dogoniła.

- Nawet się nie waŜ - syknęła mu pod nosem, po czym zawróciła. - Chodź tutaj.

Weszła do saloniku, zamknęła drzwi.

- Przepraszam, Sophio, poniosło mnie.

Przeprosiny zabrzmiały dość blado. Chciał jej zaleźć za skórę, tak jak ona jemu.

- Czyli twoim zdaniem jestem dziwką, bo myślę o seksie tak samo jak meŜczyźni. Jestem tandetna, bo jestem szczera.

- Nie. Nie powinienem był tego mówić. Jesteś piękna, olśniewająca, dla mnie niedosięŜna. Dotąd trzymałem się z dala od ciebie, to i teraz wytrzymam.

- Tak cię wystawiam na próbę? I w odpowiedzi wymierzyłeś mi policzek?

- Przeprosiłem.

- Mnie to nie wystarczy. Spróbujmy inaczej.

I rzuciła się na niego, zanim kiwnął palcem. Usta miała gorące, miękkie, wprawne, ciało dorodne, gładkie. Natychmiast do niego przywarła.

Poczuł pustkę w głowie. Przyciągnął ją za blisko, juŜ nie mógł się powstrzymać.

Owinęła się wokół niego i poczuła, Őe jest gotów na wszystko.

- A teraz się z tym uporaj. - Oskoczyła od niego, po czym znów otworzyła drzwi.

- Niech to diabli, zaczekaj.

Złapał ją za rękę, okręcił wokół osi. Po czym zobaczył kompletne zaskoczenie na jej twarzy. Zanim

zdał się zareagować, skoczyła w stronę stołu refektarzewego.

- Dio! Madonna, kto mógł coś takiego zrobić?

I wtedy spojrział na trzy aniołki Giambellich. Z ich rzeźbionych drobnych twarzy spływała czerwień niczym krew z zadanych ran. Na każdym popiersiu widniał

zjadliwy napis: Dziwka 1, Dziwka 2, Dziwka 3.

BYŁO już bardzo późno, gdy Tony znalazł się w apartamencie. Zastanawiał się, czy ktokolwiek wie, że mimo upływu lat zachował klucz.

Z własnej piwniczki przyniósł butelkę wina - barolo będzie stosowne.

Rozmowy w sprawach interesów - bo określenie „szanta” nigdy by mu nie powstało w głowie - zawsze powinno się prowadzić w kulturalny sposób.

Odkorkował butelkę w kuchni, zostawił wino na ladzie, żeby poddychało, wybrał dwa kieliszki. Chociaż zasmucił go brak świeżych owoców w lodówce, pocieszył krąsek sera brie.

Nawet o trzeciej nad ranem liczył się efekt.

Przede wszystkim chodziło o pieniądze. Giambelli chcieli go raz na zawsze odsunąć od Słobu. Teraz był już tego absolutnie pewien. Ale on miał inne możliwości.

I to niejedną. Pierwsza miała tu się /jawić lada chwila.

Uśmiechnął się, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

CZEŚĆ DRUGA

Czas wzrastania

- NIE wiem, po co musimy tu wracać.

- Bo muszę zabrać stąd kilka rzeczy. - Właściwie mogła to odłożyć, ale niby dlaczego, będąc w San Francisco, nie miałyby wstąpić do swojego mieszkania. - Daj spokój, Tyler. Nie mam czasu na kłótnie z tobą. Zaparkowała pod domem, zaciągnęła hamulec.

- Przecież stanowimy drużynę.

Wyszła z auta, trzasnęła drzwiami, wrzuciła kluczyki do teczki.

- Co cię tak gryzie? Nadal się przejmujesz tamtymi aniołkami? - spytał współczująco.

- Nie. Przecież je zmyłam. Czerwony lakier do paznokci. Nie zostało ani śladu. Wiesz, co mnie gryzie? Nie znoszę wstawać codziennie o świcie, snuć się zziębnięta po polach, a potem wracać do wyuczonej pracy. A moja zastępczyni nie tylko spała z moim ojcem, lecz w dodatku jest gotowa do buntu.

- No, to ją wyrzucić.

- Niezły pomysł. - W jej głosie słychać było pogardę. - Œe teŒ mi to nie przyszło do głowy. MoŒe dlatego, Œe jesteŒmy w trakcie wielkiej promocji i nie mam sprawnego pracownika, który przejąłby jej obowiązki. Tak, chyba dlatego. A teraz nie mogę się dodzwonić do ojca, który od dwóch dni jest rzekomo w pracy. Muszę z nim porozmawiać o jednym z naszych głównych kontrahentów.

Weszli do windy.

- PrzyciŒnij go.

- Jak go przyciskam, to on wychodzi na... Niech to szlag! To dureŒ. Taka jestem zła, Œe mnie w coŒ podobnego wmanipulował.

UpuŒciła złoŒci, wyszła z windy, włoŒyła klucz do zamka. Otworzyła drzwi, weszła i zamarła.

- Tato?

Widziała go tylko przez chwilę, ledwo jej mignął, bo zaraz Tyler zatrzasnął

przed nią drzwi. Ale tylko to miała teraz przed oczyma. Ojca skulonego w fotelu, z siwizną połyskującą na skroniach, torsem koszuli zaschlým, ciemnym. I te jego piękne, przejrzyste oczy, teraz zasnutę mgłą, zapatrzone przed siebie.

- Tato. On jest... ja muszę... To mój ojciec... Zbladła jak płótno, zaczęła się trząŒć.

- Sophio, posłuchaj. ZadzwoŒ z komórki. Dziewięćset jedenaŒcie. Teraz.

- Ja muszę do niego.

- Nie. Jemu juŒ nie pomoŒesz.

Pociągnął Sopię na podłogę, otworzył jej torbę, wyjął telefon. Sophia skuliła się, kiedy Tyler podawał policji niezbęde dane.

- Nic mi nie jest - powtarzała cicho. - Wiem, Œe on nie Œyje. Muszę do niego iŒć.

- Nie. - Usiadł obok niej, objął ją mocno ramieniem. - Sophio, lak mi przykro.

Ale nic juŒ nie moŒesz zrobić.

I przyciągnął ją do siebie, aŒ złoŒyła mu głowę na ramieniu.

- Ktoś zabił mojego ojca.

Głos jej się załamał, trysnęły łzy

- NIE mam pojęcia, co robił u mnie w mieszkaniu - powtórzyła Sophia.

Usiłowała wybadać twarz przesłuchującego ją mężczyzny. Ale jego rysy raz po raz traciły ostrość, podobnie jak wciąż jej umykało jego nazwisko. Lamont? Claremont?

- Czy pani ojciec często korzystał z tego mieszkania? Nazywał się Claremont.

Alexander Claremont.

- Nie... dałam mu klucze zaraz po wprowadzeniu się. Urządzał własne mieszkanie, a ja akurat wyjechałam z kraju. Zaproponowałam, żeby się tu zatrzymał.

Chyba nigdy nie oddał mi tych kluczy. Nawet się nad tym nie zastanawiałam.

Ale czasami po powrocie z podróży czuła, że ktoś tu był. Po jakichś poprzekładanych drobiazgach.

- Pani Giambelli?

- Przepraszam. O co pan pytał?

- Kiedy po raz ostatni kontaktowała się pani z ojcem?

- Dwa dni temu. W sobotę wieczór. Na dorocznym przyjęciu gwiazdkowym w Winnicy.

- O której wyszedł?

- Nie mam pojęcia. Nie pojechał się ze mną.

- Czy ojciec miał znanych pani wrogów?

- Nie. Nie znam nikogo, kto mógłby chcieć go zabić.

- Kiedy pani rodzice się rozwiedli?

- Wyrok chyba się uprawomocnił w przeddzień ślubu ojca z Rene. - Wstała, chociaż nogi miała jak z waty. - Przepraszam, muszę zawiadomić rodzinę. Nie chcę, żeby się dowiedzieli z telewizji. Czy mogę wiedzieć, jakie są dotychczasowe ustalenia?

- Moja koleżanka pracuje z sekcją kryminalną. Ustalenia przekażemy najbliższej osobie z rodziny.

- Jestem jedynym dzieckiem swojego ojca.

- W świetle prawa najbliższą osobą z rodziny jest jego małżonka. Sophia otworzyła usta i zaraz zamknęła.

- Rozumiem. Muszę wracać do domu.

ALEXANDER Claremont lubił francuskie wina, włoskie buty i amerykańskiego bluesa. Jako średni syn z dobrej rodziny zamierzał zostać adwokatem, ale okazał się urodzonym gliniarzem.

Dla adwokata prawo jest po to, żeby je obchodzić. Dla gliniarza jest święte.

Claremont opowiadał się za tą drugą koncepcją.

Teraz, dwie godziny po przybyciu na miejsce zbrodni, zastanawiał się nad tym.

Za kierownicą siedziała jego koleżanka.

- Co sądzisz o córce?

- Bogata - powiedział pomału. - Z klasą. Twarda sztuka.

- Bo to wielka, wpływowa rodzina. A zarazem wielki, soczysty skandal.

Maureen Maguire stanęła na światłach. Postukiwała rytmicznie palcami w kierownicę.

Miała trzydzieści sześć lat, była o cztery lata starsza od Claremonta, szczęśliwie zamężna, podczas gdy on pozostał zatwardziałym kawalerem. Ona mieszkała w dzielnicy willowej, on dopiero piął się po szczeblach kariery.

- Po oględzinach ciała powiedziałabym, że nie żyje co najmniej od trzydziestu sześciu godzin. Miał trzysta dolarów w kieszeni. Złoty rolex, złote spinki. W

mieszkańiu było mnóstwo łatwych do wyniesienia przedmiotów. Dwa kieliszki do wina, tylko jeden nosi ślady - jego ślady. śadnych oznak szamotaniny. Zważywszy na kąt nachylenia strzałów, zabójca siedział na kanapie. Miłe przyjęcie z winem i serem, a wtem bang, bang, bang. I już po człowieku.

- W dniu rozvodu facet powtórnie się ośenił. Czyby źle poszło romantyczne interludium?

- Może. - Maguire zaparkowała, spojrzała na elegancki budynek. - Dziwne, że świeżo poślubiony mąż nie wraca do domu, a młoda żona nie zgłasza zaginięcia.

- Dowiedzmy się, dlaczego.

Sophia rozejrzała się po wielkim holu jak ktoś obcy. Nic się w domu nie zmieniło. Jak to możliwe? Patrzyła, jak Maria idzie korytarzem.

- Mario, gdzie jest mama?

- Na górze. Pracuje w gabinecie panienci.

- A Signora?

- Jest w polu z panem MacMillanem.

- Mogłabyś po nich posłać?

Maria wyszła szybko, a Sophia skręciła na schody. Słyszała muzykę dobiegającą z jej gabinetu. Lekką, zwiewną. Od progu zobaczyła mamę pochyloną nad klawiaturą komputera.

- Mamo?

- Och, chwała Bogu, Œe jesteś. Sophio, wiesz, coś zrobiłam i nie wiem co.

Jakąś nieprawidłową operację. JuŜ ślęczę tak od godziny i sobie nie radzę.

Pilar odsunęła się od biurka, spojrzała na córkę... i zastygła.

- Co się stało? Kochanie, co ci jest?

Teraz wszystko się zmieni, pomyślała Sophia. Kiedy padną te słowa, nic juŜ nigdy nie będzie takie samo.

- Mamo, tata nie Œyje.

WIEŚĆ się rozeszła. Przekazywano ją sobie szeptem na koktajlach, w sensacyjnych notatkach w prasie. Nie tylko w kraju, bo trafiła nawet za ocean. Tony Avano nie Œyje.

Obecna Œona Anthony'ego Avano nieco zbladła, kiedy oficer śledczy Maguire poinformowała ją o śmierci małŒonka.

- Czy to był wypadek?

- Nie, proszę pani. Kiedy ostatnio widziała pani męża? Rene patrzyła hardo na funkcjonariuszkę.

- W sobotę wieczór, w niedzielę o Œwicie.

- I nie martwiła się pani, Œe się nie odzywa?

- Pokłóciliśmy się. Tony często się tak potem dąsał. Co się stało? Mam prawo wiedzieć.

- Anthony Avano zginął od kuli.

Zbladła, ale prawie natychmiast kolory wróciły jej na twarz.

- A ostrzegałam go, Œe ona zrobi coś szalonego.

- Kto taki, pani Avano?

- Jego Œona. - Wciągnęła powietrze, odwróciła się, pochyliła, Œeby wziąć kieliszek. - Jego była

Sona, Pilar Giambelli. Ta dziwka go zabiła. Albo ta jej córuchna, lafirynda.

DONATO Giambelli siedział w gabinecie na parterze swojego domu, popijał

brandy i zastanawiał się nad nową sytuacją.

Spotkanie zaplanowane nazajutrz rano z Margaret Bowers na pewno trzeba będzie odłożyć. W ten sposób zyska na czasie. Wolał załatwiać interesy z Tonym. Bo wiedział, na czym stoi.

Teraz, po śmierci Tony'ego, zaczną się gadki, plotki, opóźnienia. Musi to wykorzystać na swoją korzyść.

Musi, oczywiście, wrócić do Kalifornii. żeby okazać wsparcie Signorze i zapewnić ją, że zrobi wszystko, aby utrzymać produkcję Giambellich.

A przez ten czas się zastanowi, co i jak powinien przedsięwziąć.

Biedny Tony, pomyślał, unosząc kieliszek brandy. Niech spoczywa w pokoju.

Przez całą długą zimę winorośle spały. Rozległe hektary pól piły tylko deszczówkę, tęsały skute mrozem, ponownie spulchniały się, otulone ciepłem.

W styczniu Sophia zajmowała się zabójstwem ojca niczym sprawą słuśbową.

Wydzwaniała, spotykała się, wypytywała, sama odpowiadała na pytania i pilnowała matki jak sępa.

Policja wciąż odpowiadała tak samo - śledztwo w toku. Sprawdzają wszystkie tropy.

W jej odczuciu policja traktowała ją jak podejrzaną.

Gabinet Terezy znajdował się na drugim piętrze Willi Giambellich. Signora siedziała teraz przy starym, dębowym biurku swego ojca, pełnym przepastnych szuflad. To była tradycja. Na biurku stał telefon z dwiema liniami i znakomity komputer. To był postęp. Pod biurkiem chrapała cicho stara Sally. To był dom.

Wierzyła święcie we wszystkie trzy składniki.

Z tego powodu zaprosiła teraz do swojego gabinetu męża i wnuka, a także córkę, wnuczkę, Davida Cuttera i Paula Borellego. Deszcz bębnił cicho o płytki dachu.

Tereza splotła ręce.

- Przykro mi - zaczęła - że nie mogliśmy się spotkać wcześniej. Śmierć ojca Sophii opóźniła pewne sprawy. Potem choroba Elego.

Spojrzała teraz w jego stronę. Nadal wydawał się jej mizerny. Zwyczajne przeziębienie szybko przerodziło się w grypę.

- Nic mi nie jest - powiedział Eli, Œeby zapewnić bardziej j niŒ reszt. -

Jeszcze mnie troch telepie, ale dochodz do siebie.

UŒmiechn si, bo to na niej wymg, ale nadal z niepokojem such cichego rzŒenia w jego piersi.

- Sophio, dostaam twoje plany kampanii jubileuszowej. Chciaabym, ŒebyŒ wszystkich z nimi teraz zapoznaa.

- Bardzo prosz.

Sophia wstaa, otworzya teczk ze szkicami, a takŒe drobiazgowym opracowaniem przesania, statystyki konsumentw oraz akcji promocyjnych.

- Pierwszy etap rozpocznie si w czerwcu - powiedziaa, rozdajc zebranym pakiety reklamowe. - Kampania pjdzie w trzech kierunkach.

Mwia, ale Tyler nie sucha. Pozna te wszystkie etapy. Zamiana rl uŒwiadomia mu wprawdzie przydatnoŒ jej pracy, lecz nie potrafi wzbudzi w sobie prawdziwego zainteresowania.

W lutym ulewne deszcze opzniy cykl przycinania. Dugoterminowe prognozy pogody zapowiaday ocieplenie, ale jego zbyt szybkie nadejŒcie mogby przedwczeŒnie wyrwa niektre odmiany z uŒpienia. Musi bacznie wypatrywa, czy nie zaczynaj juŒ puszcza pkw, czy w miejscach przycie nie wystpuj soki.

- Widz, Œe nawet Tyler si obudzi - skomentowaa Sophia z wdzikiem.

- Niezupenie. Ale skoro juŒ mnie wyrwaaŒ z drzemki, drugi etap obejmuje udzia szerszej publicznoŒi. Degustacje win, wycieczki po winnicach, aukcje, gale -

zarwno tutaj, jak i we Woszech - w celach reklamowych. Sophia zna si na rzeczy.

- A na polu? - spytaa Tereza. - TeŒ si zna?

- Niele sobie radzi na stau.

- Och, Tylerze, zawstydzasz mnie tymi komplementami.

- To Œwietnie - pochwalia Tereza. - Davidzie? Masz jakieŒ uwagi na temat kampanii?

- Mdra, przemyŒlana. Obawiam si tylko jako ojciec nastolatkw, Œe reklamy przewidziane dla przedziau wiekowego dwadzieŒcia jeden-trzydzieŒci mog zaadto zachci modziŒ. PowinniŒmy moŒe doda jakieŒ zastrzeŒenie...

- ZastrzeŒenia s nudne i rozmywaj przesanie - odparowaa Sophia, ale Œciana usta i usiada znowu. - Chyba Œe wymyŒlimy coŒ dowcipnego, mdrego, odpowiedzialnego, co wtopi si w

informację. Zastanowię się nad czymś takim.

- Świetnie. A teraz Paulie.

Sophia mogła się teraz wyłączyć, kiedy szef produkcji wypowiadał się na temat winorośli i sprawdzania roczników leŹakujących w beczkach.

Pauliemu podziękowano i poproszono Davida. Sophia spodziewała się danych na temat marketingu, analiz kosztów, prognoz sprzedaŹy, ale babcia odłoŹyła raport pisemny na bok.

- Proszę nam przedstawić swoją ocenę szefów firmy.

- Signora, złoŹyłem odnoŹne raporty.

- Owszem - potwierdziła i uniosła tylko brwi.

- No dobrze. Tyler. Nie potrzebuje mnie w winnicach na polu i dobrze o tym wie. ChociaŹ nasz kontakt naleŹy do jego obowiŹzków, nadal stawia opór, co nam obu utrudnia współpracę. Poza tym Winnice MacMillana są prowadzone bez zarzutu.

Nie gorzej od Winnic Giambellich. Świetnie uporał się z fuzją obu firm i koordynacją obu załóg. Sophia doskonale spisuje się w winnicy, chociaŹ nie jest to jej najmocniejsza strona. Wystąpiły pewne trudności w biurach w San Francisco.

- Jestem ich w pełni Źwiadoma - skomentowała Sophia.

- Sophio, masz rozjuszonŹ, zbuntowanŹ podwładnŹ, która od wielu tygodni usiłuje podwaŹyć twój autorytet. Chcesz wiedzieć, jak dalece Kristin Drake posunęła się w swoim buncie? Przez ostatnie dwa tygodnie rozesłała swój raport na pół tuzina biur. Jeden z moich informatorów w Le Coeur twierdzi, Źe sypie na prawo i lewo oskarŹeniami, najczęściej pod twoim adresem.

Sophia przełknęła tę zdradę i tylko pokiwała głowŹ.

- Poradzę sobie z niŹ.

- Bądź tak dobra - zakończyła temat Tereza. - A Pilar?

- Moim zdaniem, źle ją pani wykorzystuje, Signora.

- Co takiego?

- Pani córka lepiej sprawdziłaby się jako rzeczniczka korporacji. Wówczas jej elegancja i wdzięk nie poszłyby na marne. Zastanawiam się, dlaczego nie zatrudnia pani Pilar przy wycieczkach i degustacjach. Doskonale czyniłaby honory domu, Signora. A zdecydowanie gorzej czuje się w roli urzędniczki.

- Chce pan powiedzieć, Źe nie powinnam oczekiwać od córki, aby nauczyła się prowadzić firmę?

- Właśnie - potwierdził David. Eli aŜ się rozkasłał.

- Przepraszam, przepraszam. - Eli zamachał ręką, a Sophia zerwała się, Őeby podsunąć mu szklanke wody. - Zachłysnąłem się, bo chciałem stłumić śmiech, a nie powinienem. Terezo, wiesz dobrze, Őe on ma rację. - Popił wody. - On się nie lubi mylić i faktycznie rzadko się myli. Sophio, jak twoja mama sprawdza się w roli asystentki?

- Jeszcze za wcześnie... Och, faktycznie okropnie - przyznała Sophia i wybuchnęła śmiechem. - Mamo, tak mi przykro, ale chyba potwierdzisz, Őe nienawidzisz ślęczeń u mnie w biurze.

- Próbuję się wciągnąć. Najwyraźniej z miernym skutkiem - przyznała uraŜona Pilar, wstając. - Mamo...

- Nie, nic nie szkodzi. Szczerokość ponad wszystko. Ułatwię sprawę wszystkim zainteresowanym. Odchodzę. A teraz wybaczenie, posiedzę gdzieś sobie, roztaczając elegancję i wdzięk.

- Porozmawiam z nią - zaczęła Sophia.

- Nie teraz. - Tereza uniosła rękę. - Zakończmy spotkanie. Bardzo jej się to spodobało, Őe córka wykazała odrobinę humoru i odwagi. Wreszcie.

Z POMOCĄ Marii David wytropił Pilar w oranŜerii. Siedziała uzbrojona w rękawice ogrodnicze i fartuch, i fachowo przesadzała rośliny.

- Masz chwilę?

- Czasu mam w bród - powiedziała bez krztyny serdeczności.

- Nic przecieŜ nie robię.

- Nie robiłaś w biurze nic, co sprawiałoby ci satysfakcję albo prowadziło do osiągnięć. Przepraszam, jeśli cię tą oceną uraziłem, ale...

- Ale to są interesy.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- Owszem, interesy. Pilar, czy ty naprawdę tak lubisz tę papierkową robotę?.

- Chciałabym być potrzebna. - Őciągnęła rękawice, rzuciła je na ziemię. -

Znudziło mi się być piątym kołem u wozu. Jakbym nie miała niczego do zaoferowania. Ani zdolności, ani rozumu.

- No, to źle mnie słuchałaś.

- Przeciwnie, bardzo dobrze. Mam roztaczać elegancję i wdzięk. Zaczęła go odpychać, odtrąciła jego

rękę, kiedy ją objął, po czym tylko patrzyła ze zgrozą, jak przytrzymuje jej drugą rękę siłą.

- Zabieraj ręce.

- Za chwilę. Najpierw musisz mnie wysłuchać. Wdzięk to talent. Elegancja to dar. Jeśli sądzisz, że obsługa turystów i klientów podczas degustacji to kaszka z mleczkiem, grubo się mylisz. Jeśli zdobędziesz się w ogóle na to, żeby spróbować.

- Nie musisz mi mówić...

- Najwyraźniej muszę.

Przypomniała sobie, jak się rozprawił z Tonym na przyjęciu. Teraz tak samo chciał się obejść z nią.

- Przypominam ci, że ja dla ciebie nie pracuję.

- A ja ci przypominam, że w gruncie rzeczy pracujesz. Chyba że czmychniesz jak rozkapryszony dziecko.

- Va'al diavolo.

- Na przejażdżki do piekła nie mam czasu - odparł pojednawczo. - Proponuję, żebyś wykorzystała swoje zdolności na odpowiedniej arenie. Marnujesz się, co doprowadza mnie do szału.

- Nie masz prawa tak do mnie mówić. Twoja pozycja w firmie Giambellich wcale cię nie upoważnia do okrucieństwa.

- Moja pozycja nie daje mi równieś uprawnień do tego - powiedział i przyciągnął ją do siebie. - Ale robię to całkiem prywatnie.

Była za bardzo wstrząśnięta, żeby go powstrzymać, by zdobyć się na najdrobniejszy bodaj sprzeciw. Kiedy jego usta dotknęły jej warg, przestała o czymkolwiek myśleć.

Krew uderzyła jej do głowy. Całe ciało, serce, jakby wezbrały na fali rozkoszy.

Poczuła, że nogi majak z waty, a jednocześnie wszystko zerwało się w niej do życia.

- Co my wyprawiamy? - spytała bez tchu.

- Zastanowimy się później.

Musiał jej dotknąć. Już ściga! jej sweter. Deszcz zacinał w szklane ściany, w środku było ciepło i parno, pachniało kwiatami. Drżała przy nim... jakby ją przechodziły ciarki. I mrucała upojnie. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł takie poświadczenie.

- Pilar, pozwól... - Zmagał się z guzikiem przy jej spodniach.

- Pilar, pragnę cię. Odsunęła się od niego.
- Davidzie, nie jestem na to gotowa. - W ślad za poczuciem przyjemności nadszedł strach. - Jestem...
- Przestań. - Powiedział to łagodnie. - Tylko mi nie mów, Œe ci to schlebia.
- Oczywiście, Œe schlebia, ale... - Ale nie mogła myśleć jasno, kiedy jej dotykał. - Proszę cię. Zostaw mnie. Chyba to nas oboje zaskoczyło.
- Pilar, nie jesteśmy dziećmi.
- Istotnie. Ja mam czterdzieści osiem lat, a ty... No cóŜ, a ty nie... Nie sądził, Œe w tej sytuacji coś go doprowadzi do śmiechu, a jednak był szczerze rozbawiony.
- Chyba nie będziesz się wymawiała tą drobną różnicą lat.
- To nie Œadna wymówka. Tylko fakt. Poza tym bardzo krótko się znamy.
- Dwa miesiące. - Przejechał jej palcami po włosach. Pilar nie odrywała od niego wzroku. - Nie zamierzam zdzierać z ciebie ubrania wśród twoich kwiatów doniczkowych. Wolisz zachować konwenanse? Podjadę po ciebie o siódmej na kolację.
- Davidzie, mój mąż nie Œyje od kilku tygodni. Wziął ją za ramiona.
- Pilar, Tony Avano przestał zapewniać ci strefę ochronną. Czas, Œebyś do tego przywykła. - Pocałował ją znowu, mocno i długo.
- O siódmej.

MADDY przyglądała się ojcu złośliwie, kiedy poprawiał krawat. To był jego krawat na pierwszą randkę, szary w granatowe prążki. Twierdził, Œe wybiera się z panią Giambelli na kolację w sprawach słuŜbowych, ale tym krawatem się zdradził.

Musiała przemyśleć, co to dla niej znaczy.

Ale na razie postanowiła załatwić swoją sprawę.

- To jest symbol własnej ekspresji.
- To niehigieniczne.
- To prastara tradycja.
- Ale nie prastara w rodzinie Cutterów. Nie ma mowy, Œebyś przekłuwała sobie nos. Madeline. Szkoda słów.

Westchnęła i nadąsała się. W gruncie rzeczy nie zamierzała wcale przekłuwać nosa. chciała tylko

zrobić sobie trzecią dziurkę w lewym uchu. Taką natomiast obrała strategię.

- To moje ciało.

- Do ukończenia osiemnastego roku życia niezupełnie.

Przewróciła się na wznak na łóżku ojca, wyciągając nogi w stronę sufitu. Jak zwykle była ubrana od stóp do głów na czarno, ale zaczynało jej się to nudzić.

- To może się wytatuować?

- Niezły pomysł. W weekend pójdziemy wszyscy zafundować sobie tatuaże.

Odwrócił się wziął ją na ręce i wyniósł z pokoju, wierzgając ostro nogami. Z

dzieciństwa pamiętała, ile to jej zawsze sprawiało uciechy.

- Skoro nic mogę sobie przekłuć nosa, to może bym sobie zrobiła jeszcze jedną dziurkę w lewym uchu?

- Jeśli już musisz koniecznie dziurawić sobie całe ciało, to się nad tym zastanowię.

Stał pod drzwiami syna, zapukał.

- Spadaj, potworze.

David spojrzał na Maddy.

- Pewno to do ciebie. - Otworzył drzwi i zobaczył syna wyciągniętego na łóżku, ze słuchawką telefoniczną przy uchu. Targnęły nim sprzeczne uczucia. Złość, że Theo z pewnością nie odrobił jeszcze lekcji, i ulga, że już zyskał nowych przyjaciół

w szkole.

- Oddzwonię - mruknął Theo i odłożył słuchawkę. - Właśnie zrobiłem sobie chwilę przerwy.

- Słuchajcie, w domu jest mnóstwo jedzenia na jakąś błyskawiczną kolację.

śladnych kłótni, śladnych nagusów biegających po domu, śladnego alkoholu. Odróbcie lekcje. śladnych telefonów ani telewizji, dopóki nie skończycie. O czymś zapomniałem jeszcze? - Ucałował Maddy w głowę, po czym postawił ją na ziemię. -

Wrócę przed północą.

- Tato, muszę mieć samochód.

- Aha. A ja willę na południu Francji. Zgaście światło o jedenastej - dodał na odchodnym.

- Muszę mieć brykę - zawołał za nim Theo i zaklął pod nosem, słysząc, że ojciec schodzi już po schodach. Rzucił się znów na wznak, żeby nadal kontemplować sufit.

Maddy pokiwała tylko głową.

- Co z ciebie za głąb, Theo.

- A z ciebie ohyda, Maddy.

- Nigdy nie dostaniesz tego auta, jak będziesz mu wiercił dziurę w brzuchu.

Jeśli ci pomogę, będziesz musiał podrzucić mnie dwanaście razy do centrum bez szemrania.

- Jak byś mi niby mogła pomóc, kretynko?

Maddy nie straciła rezonu.

- Najpierw umowa. Potem omówimy warunki.

LOCHY zawsze przywodziły Sophii na myśl raj dla przemytników. Wielkie, dudniące echem pieczary pełne ogromnych beczek leśakującego wina. Od małego lubiła tu przychodzić. Nawet w dzieciństwie pracownicy sadzali ją przy małym stoliku i pozwalali wypić kieliszeczek.

Bardzo wczesnie nauczyła się rozpoznawać różnicę między winem markowym a stołowym. Wychwytywać niuanse pozwalające zaszeregować wino do jednej z kategorii.

Teraz jednak nie myślała o winie, chociaż wyjęto je, a także kieliszki do degustacji. Tylko o mężczyznach.

- To ich trzecia randka w ciągu dwóch tygodni. - Mhm.

Tyler obejrzał kieliszek czerwonego wina w blasku ognia na kominku. Dał mu dwa punkty za kolor i klarowność, zapisał w wykresie.

- Mówię o mojej mamie i Davidzie. - Sophia szturchnęła go lekko w ramię.

- No i co z tego?

- Znów wychodzą razem wieczorem. Trzeci raz w ciągu dwóch tygodni.

- A mnie co do tego?

Wstrzymała oddech.

- Jest taka bezbronna. Nie mogę powiedzieć, że go nie lubię, bo lubię. Chociaż trochę się przed tym broniłam.

- Sophio, moŜe cię to zdziwi, ale ja teraz pracuję, a w ogóle nie mam zamiaru omawiać spraw osobistych twojej mamy.

Obrócił delikatnie wino, powąchał, skupił się.

- Nie kochali się jeszcze.

Zamrugał. I umknął mu bukiet zapachowy wina.

- Do cholery. Sophio.

- Gdyby uprawiali seks, to by znaczyło, Ŝe to tylko silny pociąg fizyczny. Ale chyba jest coś więcej. Zresztą, na ile tak naprawdę znamy Davida? MoŜe być kobieciarzem albo koniunkturalistą. W końcu wystartował do mamy juŜ po tym, jak ojciec...

Tyler powąchał wino jeszcze raz, zapisał swoją ocenę.

- UwaŜasz, Ŝe twoja mama nie mogłaby mu się podobać?

- Wcale tego nie mówię. - Oburzona Sophia porwała kieliszek merlota, obejrzała go pod światło. - Jest piękna, inteligentna, urocza, ma wszystko, czego męŜczyzna moŜe chcieć od kobiety.

Tyle Ŝe akurat nie to, na czym zaleŜało jej ojcu. Zaznaczyła stopień zmętnienia wina. po czym pociągnęła łyk i pozostawiła na języku, Ŝeby sprawdzić słodycz.

Dopiero po chwili pozwoliła mu się rozlać w ustach, dzięki czemu mogła oszacować kwaśność i zawartość garbnika.

Odczekała chwilę, posmakowała bukiet, wypluła.

- Jeszcze nie dojrzało.

Tyler skosztował.

- Tak, musi jeszcze poleŜeć. Sporo rzeczy na tym świecie zyskuje z wiekiem.

- CzyŜby to była twoja filozofia?

- Chcesz usłyszeć czyjeś zdanie, czy wolisz, Ŝeby się z tobą wiecznie zgadzać?

Wziął do ręki następny kieliszek, ale nie odrywał wzroku od Sophii. Miałby z tym zresztą trudności. Znajdowali się sam na sam w chłodnym, wilgotnym lochu, ogień trzaskał na kominku, wokół zapachy dymu i drewna, tańczące na ścianach cienie.

Ktoś by powiedział - romantyczny nastrój. Ktoś. ale nie on. Napominał się w duchu, Ŝe Sophia jest przede wszystkim jego współniczką. Tyle Ŝe się teraz zamartwiała. MoŜe szukała dziury w całym, ale z całą pewnością wiedział jedno - Ŝe Sophia bezbrzeŜnie kocha matkę.

- ŝona rzuciła i jego, i dzieci.

Sophia podniosła na niego wzrok znad kieliszka.

- Rzuciła?

- No tak. uznała, ŝe ŝwiat jest taki duŝy i ona ma do niego prawo. Nieczęsto się z nimi kontaktuje.

- Skąd wiesz?

- Bo rozmawiam z Maddy. Theo w coś się wplątał, dlatego Cutter skorzystał z tej okazji, ŝeby go wywieźć z miasta.

- Czyli jest dobrym ojcem. Co nie znaczy, ŝe musi być dobrym partnerem dla mojej matki.

- Ale to ona ma o tym zdecydować, prawda? Jak będziesz się tak dopatrywała skaz w kaŝdym męŝczyźnie, to je na pewno znajdziesz.

- Wcale tego nie robię.

- Właŝnie ŝe robisz.

- A ty prawie w ogóle nie szukasz. Łatwiej się zagrzebać w winnicach, niŝ

zaryzykować pogrzebanie w drugim człowieku.

- Czyŝbyśmy rozmawiali o moim ŝyciu erotycznym? Bo zgubiłem krok.

- Nie masz takowego.

- Zwłaŝcza w porównaniu z twoim. - Odstawił kieliszek, ŝeby zapisać swoje noty. - Ale kto by ci dorównał? Kroisz męŝczyzn jak ser. Nie moŝesz oczekiwać tego samego od Pilar.

- Rozumiem. - Zranił ją tym do ŝywego. Znów ją upokorzył. Podobnie jak robił to ojciec. - Ciebie jeszcze nic pokroiłam, prawda. Tyler? Nawet nie wbiłam noŝa. Boisz się zaczynać z kobietą, która dotrzymuje męŝczyznom kroku w podejŝciu do seksu?

- Nie chciałbym zaczynać z kobietą, która do czegokolwiek ma męskie podejŝcie. Pod tym wzgłędem mam klapki na oczach.

- A moŝe byś tak rozszerzył horyzonty? - Spojrzała mu prosto w oczy. -

Miałbyś odwagę? - spytała zuchwale.

- Nie jestem zainteresowany.

Bardzo ją to ubodło.

- Nie możesz zwyczajnie powiedzieć, że mnie pragniesz?

- Owszem, mogę. Pragnę tak, że czasem aż mnie boli, kiedy się zaszłam. Ale kiedy wezmę cię do łóżka, nie będzie to kolejna przygoda, kolejny mężczyzna, sama się przekonasz.

- Dlaczego w twoich ustach brzmi to jak pogłoski?

- Bo tak to należy traktować.

Odsunął się od niej, podniósł kolejny kieliszek wina i wrócił do pracy.

ZA DWADZIEŚCIA minut David Cutter miał spotkanie z szefami działów, a musiał jeszcze przejrzeć notatki. Dlatego wcale się nie ucieszył, że przeszkadza mu policja.

- Czym mogę służyć?

- Proszę nam poświęcić kilka minut - poprosił Claremont.

- No dobrze, bo więcej nie mogę. Proszę, siadajcie państwo.

Rozłóżte skórzane fotele, zauważyła Maguire. W dużym przytulnym narożnym gabinecie z oszłamiającym widokiem na San Francisco. Urządzonym w kolorystyce beżowo-wiśniowej, ze szklistym mahoniowym biurkiem.

- Rozumiem, że sprawa dotyczy Anthony'ego Avano.

- Owszem, jeszcze nie zamknęliśmy śledztwa. Czy mógłby nam pan powiedzieć, co pana łączyło z panem Avano?

- Nic - odparł David lakonicznie.

- Obaj panowie pracowali w tym budynku.

- Bardzo krótko. Firma Giambelli zatrudniła mnie niecałe dwa tygodnie przed śmiercią pana Avano. Odbyliśmy tylko jedną rozmowę, na przyjęciu w przeddzień jego zabójstwa. I tylko wtedy się z nim spotkałem.

- Dlaczego pan się z nim nie spotkał wcześniej?

- Nie mogliśmy zgrać terminów - odparł beznamiętnie.

- Pańskich czyjego?

David nie przejmował się tokiem przesłuchania ani jego skutkami.

- Raczej jego. Od mojego przyjazdu tutaj aż do swojej śmierci Avano ani razu nie zjawił się u mnie ani nie oddzwonił.

- Musiało to pana denerwować - skomentowała Maguire.

- Owszem. Podczas naszej krótkiej rozmowy w winiarni dałem mu do zrozumienia, że musi znaleźć czas na spotkanie ze mną. Co, jak wiadomo, nigdy nie nastąpiło.

Claremont wstał.

- Ma pan pistolet.

- Nie mam. Źadnej broni nie trzymam w domu. - David mówił opanowanym głosem. - Rozumiem, że musicie państwo sprawdzić różne tropy. Ale chyba już

wyczerпалиście wszystkie możliwości, skoro we mnie upatrujecie potencjalnego zabójcy.

- Spotyka się pan z jego byłą żoną.

- Nic sędzę, bym uchybiał tym prawu bądź moralności.

- Wiedział pan o kłopotach finansowych Avana?

- To nie była moja sprawa. Więcej nie mogę powiedzieć bez zasięgnięcia rady adwokata.

- Ma pan takie prawo. - Maguire wstała i wyciągnęła swoją atutową kartę. -

Dziękuję, że poświęcił nam pan czas, panie Cutter. Przepytałyśmy Pilar Giambelli na okoliczność finansów jej byłego męża.

David wsadził ręce do kieszeni

- Ona wie o tych sprawach mniej niż każdy z państwa. - Ale na myśl o niej David zmienił decyzję. - Avano co najmniej od trzech lat systematycznie defraudował

pieniądze Giambellich. Fałszował wydatki, zawyżał wyniki sprzedaży, pobierał diety za nie odbyte wyjazdy. W ten sposób wyprowadził z kasy przeszło sześćset tysięcy.

Wyciągał z różnych kieszeni, toteż uchodziło mu to na sucho. Nikt tego nie wykrył.

Claremont pokiwał głową.

- Poza panem.

- Wychwyciłem niektóre z tych przekrętów w dniu przyjęcia, przy powtórным sprawdzaniu wykryłem pewną prawidłowość. Przekonałem się, że robił to od dłuższego czasu. Poinformowałem Terezę Giambelli i Elega MacMillana.

- Dlaczego nie ujawnili tej informacji?

- Pani Giambelli nie chciała sobie upokarzać wnuczki rozpowszechnianiem wieści o zachowaniu jej

ojca. Ten człowiek już nie żył, toteż nie warto było rozdmuchiwać skandalu, ukazując go jako złodzieja i szantażystę.

Panie Cutter - zwrócił uwagę Claremont. - Kiedy dochodzi do zabójstwa, nie ma rzeczy niewartych sprawdzenia.

LEDWO David zamknął drzwi, kiedy znowu się otworzyły. Sophia weszła bez pukania.

- Czego chcieli? Zgarnął notatki.

- Pytali o różne rzeczy, Sophio. Węszą wszędzie.

- Dlaczego nie mnie albo innych pracowników firmy w tym budynku?

Przecież ledwo znałeś ojca. Co mogłeś im powiedzieć poza tym, co już powiedziałeś?

- Niewiele. Przepraszam, ale musimy odłożyć tę rozmowę. Ludzie czekają.

- David, proszę, nie zbywaj mnie. Przyszli wprost do ciebie.

Nie odezwał się, ale przyjrzał jej się badawczo. Po czym podniósł słuchawkę telefonu.

- Pani Giambelli i ja spóźnimy się kilka minut na spotkanie - powiedział

asystentce. I wskazał Sophii głową krzesło. - Siadaj.

- Postoję. Może zauważyłeś, że nie jestem taka znów słaba.

- To prawda - przyznał. - Twój ojciec okradał firmę. Na drobne sumy rozłożone w czasie, dlatego tak długo nikt tego nie zauważył.

Zbladła.

- Nie ma mowy o pomyłce?

- Potwierdziłem to w dniu, kiedy odbywało się przyjęcie. Miałem zamiar spotkać się z nim i poprosić go o rezygnację. Zgodnie z zaleceniem twojej babci, miałby szansę spłacić wszystko i zrezygnować. Wszystko przez wzgląd na ciebie.

Ogromnie mi przykro.

Skinęła głową, odwróciła się, rozcierając nerwowo ramiona.

- Doceniam twoją szczerość.

- Sophio...

- Nie przepraszaj, błagam. Nic mi nie będzie. Czy to nie dziwne? Teraz okazuje się, że kradł

pieniądze, a to mniej istotne od okradzenia kogoś z godności, bo tak postąpił z moją mamą. Ale muszę się z tym pogodzić, Źe był bezwartościowym człowiekiem. No nic, spotkamy się na konferencji.

- Oczekaj kilka minut.

- Nie. Już i tak zajął mi więcej czasu, niż było to warte.

A kiedy wychodziła z gabinetu, pomyślał, Źe jednak bardzo przypomina własną babkę.

MARGARET Bowers wypatrzyła Tylera MacMillana w winiarni. Po powrocie z Wenecji odbyła już kilka ważnych i owocnych spotkań. Jej kariera dobrze się rozwijała. Margaret nabierała ogłady, zgodnie zresztą z przekonaniem, Źe zagraniczne wojaże dodają kobiecie blasku.

Na czas pobytu tutaj wyznaczyła sobie jeszcze tylko jeden cel - zdobyć Tylera MacMillana.

- Tyler, kiedy przyjedziesz zwizytować winnice we Włoszech? Sądzę, Źe byś się nie zawiódł.

- Owszem, słyszałem. Przykro mi, ale na razie nie mogę.

W lutym w przemyśle winiarskim zwykle panował zastój, co nie oznaczało wcale braku pracy. Na wieczór Sophia zaplanowała przyjęcie degustacyjne na jego terenie. Nie było mu to wprawdzie w smak, ale wiedział, Źe musi dopilnować przygotowań.

- Wyobrażam sobie. Przeglądałam plany kampanii z okazji stulecia firmy.

Świetnie się spisałeś.

- Raczej Sophia.

Margaret ruszyła za nim na salę degustacyjną.

- Jesteś za skromny.

- Słyszałem, Źe i ty jesteś zapracowana.

- Bo uwielbiam swoją pracę. Chociaż nadal wyczuwam pewne opory ze strony niektórych klientów zaprzyjaźnionych z Tonym Avano. Jeszcze chyba nie przywykli, Źeby popijać grappę i palić cygara ze mną.

Uśmiechnął się do niej.

- Niezły obrazek.

- Muszę wracać pod koniec tygodnia. Miałam nadzieję, Źe się spotkamy.

Przygotowałabym kolację.

- To by... - Urwał na widok wchodzącej Maddy. Ta dziewczynka zawsze wprawiała go w dobry nastrój. - Witam naszą szaloną panią naukowiec.

Maddy, rozradowana w duchu, na zewnątrz się nadęła.

- Mam swój tajny przepis.

I podniosła dwa słoje z ciemnym płynem.

- Groźnie to wygląda.

Tyler przechylił jeden, patrzył, jak płyn się kolebie.

- MoŜe wystawiłbyś je wieczorem. Ciekawe, co ludzie powiedzą.

- Hmm - JuŜ sobie wyobraŜał komentarze snobów po skosztowaniu wina kuchennego Maddy i aŜ zachichotał na tę myśl. - Kapitalny pomysł.

- Tyler, przedstawisz mnie swojej przyjaciółce?

- O, przepraszam. Margaret Bowers, Maddy Cutter.

- Ach, czyli córeczka Davida. Właśnie dziś spotkałam się z twoim ojcem.

- Coś takiego. Mogę zostać na degustacji? Skoro mam złoŜyć sprawozdanie o tym winie, chciałabym chociaŜ poprzyglądać się trochę i tak w ogóle.

- Nie ma sprawy.

Otworzył stój, powąchał.

- Posłuchaj, Tyler, a jutro wieczorem?

- Co jutro?

- No, nasza kolacja. - Margaret starała się zachować niedbały ton. - Mamy sporo do omówienia w sprawie produkcji we Włoszech: Liczę na to, Ŝe coś zaradzisz na moje słabe punkty. Naprawdę przydałaby mi się rozmowa z anglojęzycznym fachowcem.

- Rozumiem.

Poszedł za bar po kieliszek.

- No, to o siódmej? Przywiozłam ze sobą wybornego merlota.

- Doskonale.

Płyn, który Tyler nalał do kieliszka, nigdy nie zasłuŜy na miano wybornego.

- No, to do zobaczenia. Miło mi cię było poznać, Maddy.

- Aha.

Dziewczyna aś prychnęła po wyjściu Margaret.

- Ale z ciebie kłoda.

- Słucham?

- Baba na ciebie leci, a ty w ogóle nie reagujesz.

- Wcale nie leci i nie wolno ci w ten sposób mówić.

- A właśnie, Őe leci. - Dziewczyna usiadła na stołku. - Kobiety mają nosa do takich rzeczy.

- No dobra, niech ci będzie. - Nie chciał się wdawać w takie rozmowy.

Potrzymał wino na języku. Mówiąc oględnie, było niewyszukane, czyli bardzo cierpkie i za słodkie. Ale i tak tej dziewczynie udało się wyprodukować wino w kuchni. Kiepskie bo kiepskie, ale nie o to chodzi.

- Próbowalaś?

- MoŐe. - Postawiła przed nim na ladzie drugi słój. - A to produkt cudu.

Niczego nie dodawałam.

Jako męŐczyzna odwaŐny z natury, nalał sobie odrobinę, powąchał, pociągnął.

- Ciekawe. Mętne, niedojrzałe, cierpkie, ale jednak wino.

- Przeczytasz moje sprawozdanie, kiedy skończę?

- Jasne.

- To świetnie. - Zatrzepotała rżesami. - Przygotuję ci kolację.

PILAR wybrała prosty kostium koktajlowy w kolorze jasnej zieleni, z ałtasowymi wyłogami. Uznała, Őe będzie idealny dla gospodyni takiej degustacji.

Weszła w tę rolę, Őeby się sprawdzić przed rodziną, przed Davidem, nawet przed sobą samą. Przez tydzień oprowadzała wycieczki, przechodziła szkolenie -

nader wyrozumiałe, jak teraz pomyślała. Personel traktował członków rodziny w jedwabnych rękawiczkach. AŐ ją poraziło, jak mało wie o winiarni, winnicach, procesie produkcyjnym, o kontaktach z klientelą i sprzedaŐy detalicznej. Tydzień nie wystarczył, Őeby nauczyła się oprowadzać wycieczki, ale chyba poradzi sobie podczas degustacji.

Musi się nauczyć radzić sobie z wieloma rzeczami, w tym z własnym Ściem.

Zapomniała na przykład, jak to jest siedzieć przy stole w blasku świec z mężem i rozmawiać, po prostu rozmawiać. Doświadczając tego znowu z Davidem, poczuła, jakby ofiarowano jej łyk orzeźwiającej wody. Aczkolwiek nadal przerażała ją myśl o intymnym związku. Przerażała i pobudzała.

Przerażona i pobudzona, stała się kłębkim nerwów.

Usłyszawszy jednak pukanie do drzwi, przybrała pewną siebie, we własnym mniemaniu, minę.

- Proszę.

Oddechnęła głęboko, kiedy w drzwiach zobaczyła Helen.

- Chwała Bogu, Ście to ty. Tak mam już dość udawania kobiety dwudziestego pierwszego wieku.

- Ale na taką wyglądasz. Bajeczny strój.

- Cieszę się, Ście ty i James przyjechaliście na degustację. Helen usiadła na stylowym szezlongu, poklepała miejsce obok.

- Siadaj. Odetchnij i opowiedz mi o romansie z Davidem Cutterem. Ponieważ

mnie stuknęła w małżeństwie prawie trzydziestka, chcąc nie chcąc, muszę Ściem bogobojnie.

- E, to niezupełnie romans... Miło spędzamy ze sobą czas.

- Jeszcze nie poszliście do łóżka?

- Helen. - Ale Pilar dała za wygraną i usiadła na szezlongu. - Jak miałabym z nim pójść do łóżka?

- Jeśli zapomniałaś, jak to się robi, jest trochę dobrych książek na ten temat.

Oczy jej zatańczyły za szklami.

- Przestań. - Ale się roześmiała. - David ma do mnie iście anielską cierpliwość, lecz nie poprzestanie na drobnych pieszczotach na werandzie...

- Na pieszczotach? Przestań się wymigiwać, dawaj mi tu wszystkie szczegóły.

- Powiem ci tylko, Ście nieziemsko całuje. Od razu przypomniało mi się, co to znaczy mieć dwadzieścia lat.

- Och. - Helen powachlowała się. - No tak.

- Ale nic mam dwudziestu lat. A już na pewno nie ma ich moje ciało. Jak mogłabym mu się pokazać nago, Helen?

- Kochanie. Jamesowi jakoś to nie przeszkadza.
- To co innego. Razem przechodziliście zmiany. Co gorsza. David jest młodszy ode mnie.
- Co gorsza? Mogę sobie wyobrazić znacznie gorsze rzeczy.
- Spróbuj się wczuć w moją sytuację. On ma czterdzieści trzy lata. Ja czterdzieści osiem. To olbrzymia różnica. Mężczyźni w jego wieku zwykle spotykają się z młodszymi kobietami.
- Pilar, ale on się spotyka z tobą. Jeśli peszy cię własne ciało, to pamiętaj, żeby za pierwszym razem zgasić światło.
- Bardzo mi pomogłaś.
- żebyś wiedziała. Masz z nim ochotę na łóżko? Tak czy nie?
- Tak.
- No to kup sobie jakąś szalową bieliznę i cała naprzód. Pilar zagryzła usta.
- Już kupiłam.

BLISKO dobieg po degustacji Tyler nadal śmiał się w duchu na pewne wspomnienie. Dwa tuziny nadętych, gładkolicych członków klubu doznało wstrząsu po skosztowaniu wina nazwanego przez niego Vin de Madeline.

- Niewyszukane - cytował swoich klubowiczów, zwijając się ze śmiechu - ale szlachetne. Szlachetne! Skąd do diabła, oni biorą takie określenia?
- Przestań się śmiać. - Sophia usiadła za biurkiem w swoim gabinecie w Willi i przeglądała zdjęcia modelek wybranych przez Kris do reklam. - Będę ci zobowiązana, jeśli następnym razem uprzedzisz mnie o wprowadzeniu tajemniczej marki.
- Decyzja zapadła w ostatniej chwili. Chodziło o dobro nauki. Sophia spojrzała na niego, machnęła ręką na jego uśmiezek. - No dobra, może i było śmiesznie, może podchwyci to ktoś z prasy.
- Czy w twoich słuchach płynie reklama, a nie krew?
- żebyś wiedział. I ciesz się. bo niektórzy obraziliby się, gdyby nie było mnie na miejscu, żeby rzecz załagodzić.
- Chyba tylko nadęci idioci.
- Owszem, ale ci nadęci idioci kupują od nas mnóstwo wina i rozprawiają o tym na przyjęciach. Następnym razem uprzedź mnie o podobnym eksperymencie.

Wyciągnął nogi. Odprężył się. Giambelli.

- I to mówi król zwierząt salonowych. - Podniosła fotos dwadzieścia na dwadzieścia pięć. podała mu. - Co o niej sądzisz?

Wziął do ręki, przyjrzał się blondynce z oczami łani.

- To idzie z jej numerem telefonu?

- Tak jak sądziłam. Jest nazbyt sexy. Mówiłam Kris, Œe zaleŒy mi na osobach z klasą. - Sophia zapatrzyła się przed siebie. - LekcewaŒy moje polecenia, inni teŒ się Œalą. - Westchnęła. - Ale gdybyśmy ją wyrzucili, na nas spadłoby więcej roboty.

- Mnie by to tylko ucieszyło.

- Chciałam nawet spytać Thea, czy nie szuka dorywczej pracy.

- Œwietny pomysł. A potem mógłby obsługiwać cię juŒ regularnie.

- Codzienny kontakt pomógłby mu opanować burzę hormonów.

- Tak sądzisz?

- Tyler, czy to jakiś zawołowany komplement, czy tak niezdarnie chcesz mi powiedzieć, Œe cię podniecam?

- Ani jedno, ani drugie. - Obejrzał jeszcze raz zdjęcie. - Podobali mi się blondynki o rozmarzonych oczach i nabrzmiałych ustach.

- Tlenione, nafaszerowane kolagenem.

- No i co z tego?

- BoŒe, uwielbiam facetów. - Wstała, podeszła, ujęła jego twarz w obie ręce i pocałowała siarczyście w usta. - Taki jesteŒ milusi.

Jednym szarpnięciem pociągnął ją na kolana. Natychmiast przelała się śmiać, serce zaczęło jej walić jak szalone.

Pocałował ją z takim Œarem, a zarazem Œarłocznością, jak gdyby nie mógł się nią nasycić. Przeszedł ją dreszcz - zaskoczenia, obrony, reakcji. Przegarnęła mu palcami włosy.

Jeszcze, pomyślała. Och, niech nic przestaje. Kiedy się odsunął, ona osunęła się na niego, objając się o twarde uda, chociaŒ on juŒ przerwał pocałunek.

- I co to było?

- Impuls chwili.

- Rozumiem. A teraz to powtórz. I pociągnęła go na podłogę.

Szybko. Wyobraŝał sobie, ŝe zrobi to szybko, mocno, zapamiętane. Taka bezrozumna kopulacja, ŝarliwa, po ciemku. Tego właśnie chciała. Tego chcieli oboje.

Zamknął jej usta swoimi.

Wtem drzwi gabinetu otworzyły się z impetem.

- Tylerz. muszę... - Eli zastygł w pół kroku. - Och. przepraszam.

Stanął w pąsach.

Kiedy drzwi trzasnęły, Tyler kołysał się na piętach. W głowie mu szumiało, całe ciało aŝ tętniło.

- No pięknie. Pięknie.

- Jak to załatwimy?

- Nie mam pojęcia. Będę z nim musiał pogadać.

- Och, Tyler, tak strasznie mi przykro. Za nic w świecie nie chciałabym zdenerwować Elego ani zepsuć stosunków między wami.

- Wiem.

Pochylił się, pomógł jej wstać.

- Chcę się z tobą kochać - szepnęła.

Jego rozstrojone ciało przechodziło katusze.

- Chyba to jasne, czego chcemy oboje. Nie mam pojęcia, co teraz z tym fantem pocniemy. Muszę z nim porozmawiać.

TYLER dogonił dziadka zmierzającego ku winnicom. Nie odzywał się przez dłuŝszą chwilę, bo nie wymyślił jeszcze, co powie. Po prostu zrównał z nim krok.

- Trzeba uwaŝać na ten mróz - powiedział Eli. - To ocieplenie rozdraŝniło tylko uprawy.

- Wiem, uwaŝam. Juŝ prawie czas bronowania.

- Mam nadzieję, ŝe deszcze go nie opóźnią. - Eli szukał w głowie właściwych słów. - Powiniennem być zapukać.

- Nie, to nie twoja wina. Tak się stało.

- Niech to diabli, Tyler. - Eli odchrząknął. - Nie wiedziałem, ŝe ty i Sophie?

- Tak się stało. Nie powinienem był. To się nie powtórzy.

- To moja sprawa. Tylko... prawie wychowaliście się razem. Wiem, że nie łączą was więzy krwi i że nic was nie powstrzyma. Zwyczajnie, zaskoczyło mnie to.

- Chyba wszystkich - przyznał Tyler. Eli szedł dalej w milczeniu.

- Kochasz ją?

Tylera ścisnęło w dołku dziwne poczucie winy.

- Dziadku, nie zawsze w grę wchodzi miłość.

Teraz Eli przystanął, odwrócił się, spojrzał na Tylera.

- Wiem, że nic zawsze w grę musi wchodzić miłość, chłopcze. Tylko zapytałem.

- Tak nas naszło. Jeśli ci nic przeszkadza, wolałbym tego tematu nie ciągnąć.

- Oboje jesteście dorośli. A następnym razem po prostu zamknij te cholerne drzwi.

DOCHODZIŁA szósta, kiedy Tyler dotarł do domu. Był zmordowany, wściekły na siebie. Sięgnął po zimne piwo i zobaczył karteczkę przyklejoną do drzwi lodówki: Kolacja u M... godzina 7.

- Niech to szlag.

Ale przycisnął czoło do lodówki. Nie miał na nic siły. Nic miał też ochoty na omawianie interesów, nawet przy dobrej kolacji w miłym towarzystwie.

Rozejrzał się za komórką, musiał ją gdzieś wsadzić. Zaklął, otworzył lodówkę i znalazł telefon, wetknięty między butelkę piwa Corona a karton z mlekiem.

Kiedy indziej spotka się z Margaret.

NIE słyszała dzwonka telefonu. Głowę miała pod prysznicem, śpiewała. Przez cały dzień czekała tylko na wieczór, przekładała spotkania, pisała sprawozdania, a

wreszcie w drodze do domu wstąpiła po wielki stek i dwa ogromne ziemniaki. W

cukierni kupiła szarlotkę, którą zamierzała podać jako swój wypiek.

Mężczyźni nic muszą wiedzieć wszystkiego.

Wyszła spod prysznicza, wsunęła na siebie seksowną jedwabną bieliznę.

Wyjęła wino, które wybrała na len wieczór. Zauważyła światelko wiadomości zostawionej na sekretarce automatycznej kuchennego telefonu.

..Margaret? Mówi Tyler. Posłuchaj, musimy przelożyć kolację. Powinienem być zadzwonić wcześniej, ale coś mi wypadło. Bardzo i cię przepraszam. Zadzwonię jutro".

Gapiała się w to urządzenie, walcząc ze łzami rozczarowania. A niech go diabli! MęŜczyźni? Tego złota to pół świata! Pół świata, powtórzyła w duchu, wysuwając ruszt, Őeby upiec stek. Ma sporo interesujących propozycji we Włoszech.

Po powrocie postara się którąś z nich przyjąć.

Na razie jednak otwierała to cholerne wino, Őeby się chociaŐ porządnie upić.

PILAR podąŜała do domku goŐcinnego od strony tylnych drzwi. Taki był

domowy zwyczaj. Poczwała, Őe juŐ pozyskała przyjaźń Thea. Najwyraźniej lubił jej towarzystwo, kiedy wpadał do rezydencji, Őeby popływać w basenie albo pograć na fortepianie. Maddy była jakby z innej gliny. Układna, ale powŐciagliwa. Obserwowała bacznie wszystkich i wszystko.

Pilar poprawiła torbę na ramieniu, maszerując podjazdem. To Őaden okup, upewniła się przed sobą, tylko drobiazgi. I wyjdzie, kiedy poczuje, Őe komukolwiek przeszkadza, chociaŐ w skrytoŐci liczyła na to, Őe przygotuje im obiad.

Zapukała do drzwi kuchennych, juŐ miała przywdziać na twarz uŐmiech.

Mina jej jednak zrzędła, kiedy otworzył David. Miał na sobie elegancką koszulę, dŐinsy, a w ręce filiŐankę z kawą.

- Ooo, to mi odpowiada. - Pochwycił jej rękę wciągając do Őrodka. - WłaŐnie o tobie myŐlałem.

- Nie sądziłam, Őe cię tu zastanę.

- Dzisiaj pracuję w domu.

- Och, kiedy zobaczyłem, Őe nie ma vana...

- Theo i Maddy przyparli mnie do muru. Cała szkoła ma dziś labę. Koszmar dla rodziców. No więc, naciągnęli mnie na poŐyczenie auta. Pojechali do centrum, do kina na cały dzień. Dlatego Őwietnie trafiłaŐ.

- CoŐ takiego? - Cofnęła rękę, zaczęła bawić się rzemykami torby. -

Naprawdę?

- Przynajmniej nie będę siedział sam jak palec i zachodził w głowę, co teŐ moi młodzi mogą zmalować. Napijesz się kawy?

- Nie. Nie powinnam... Wpadłam, Őeby podrzucić coŐ dzieciom. Maddy tak się interesuje produkcją wina. uznałam więc, Őe moŐe zechce przeczytać dzieje firmy Giambellich w Kalifornii. – Pilar

wyciągnęła książkę z torby. - A dla Thea przyniosłam nuty, może mu się spodoba klasyka.

- „Sergeant Pepper” z repertuaru Beatlesów. - Uśmiechnął się. Skąd jesteś to wytrzasnęła?

- Sama to grywałam, czym doprowadzałam mamę do szału.

- Nosilaś koraliki na szyi i spodnie dzwony? - spytał.

- Jasne. Sama uszyłam sobie odlotową parę.

- Tyle masz ukrytych talentów. A mnie nic nie przyniosłaś?

- Nie sądziłam, że cię zastanę. - Roześmiała się niby od niechcenia. Muszę już

wracać. O wpół do piątej pomagam przy wycieczce.

- Mhm. - Spojrzał na zegar w kuchni. - To jeszcze masz półtorej godziny.

Ciekawe, jak by tu wykorzystać ten czas? - Objął ją w pasie i pomaleńku wciągnął do środka. - Sami w domu, ty i ja - szepnął. - Bo przyznasz, jaka to skomplikowana sytuacja. Moja sympatia mieszka z matką. A ja z dziećmi.

- Och, Davidzie, jest biały dzień.

- Biały dzień. - Stał przy schodach. - Ale nadarza się okazja. Ja nie lubię marnować okazji, a ty?

Szła z nim po schodach, chociaż graniczyło to z cudem, bo serce jak jej waliło, jak gdyby już wspięła się na szczyt. - Nie sądziłam... nie jestem przygotowana.

- Kochana, ja się wszystkim zajmę.

Czym się zajmie? Jak zorganizuje jej seksowną bieliznę albo obróci bezlitosne światło dnia w dyskretne cienie nocy? Jak miałby... I wtedy zrozumiała, że chodzi mu o zabezpieczenia.

- Davidzie, nie jestem już taka młoda.

- Ja też nie. - Zwolnił nieco kroku pod drzwiami sypialni. - Pilar, moje uczucia do ciebie są nader złożone. Ale jedno nie ulega wątpliwości. że cię poślądam. Całą.

Zaczęła się trząść z nerwów i z podniecenia.

- Davidzie, musisz wiedzieć, że Tony był moim pierwszym i ostatnim mężczyzną. I to dość dawno temu.

- To mi tylko pochlebia, Pilar. - Musnął ją ustami. - Podnieca. - W jego pocałunku wyczuła szczyptę uwodzicielstwa i szczyptę stanowczości. - Chodź ze mną do łóżka. - Zsunął z niej śakiet. Nie spuszczać oczu, rozpiął jej bluzkę, a palcami przemawiał czule do jej obnażonego ciała. - Połóż mi

ręce na ramionach. Zrzucić buty.

Drżała na całym ciele, on też.

Późne zimowe słońce omywało światłem okna. W ciszy domu słyszała dosłownie swój oddech. Jego palce muskały ją lekko.

- Gładka, ciepła, cudna.

Robił wszystko, żeby uwierzyła jego słowom. I wcale nic przeszkadzało mu, że rozpinając guziki jego koszuli roztrzęsionymi palcami.

Aż jej się zbierało na płacz, tak chciała, żeby jej jeszcze dotknął.

Najnaturalniej na świecie położyła się na jego łóżku i dała mu się przygnieść całym ciałem.

W tym uniesieniu zapomniała o świetle dnia i o wszystkich niedociągnięciach, które ono może ujawnić. On nie miał wcale zamiaru się spieszyć, ale to jej wahanie tylko go rozogniło. Zapomniał o całej cierpliwości i o wszystkich wątpliwościach, które chciał rozwiązać.

Jej wilgotna miękka skóra pachnąca wiosną, subtelne krągłości. Chciał osiąść to wszystko, dać jej wszystko, co ma. Ruszała się w jego rytmie, wychodząc mu naprzeciw. Wyciągała ręce, jakby zawsze trzymała go w ramionach. Tonęła w jego oczach, kiedy unosił się nad nią. Kołysali się razem w świetle dnia, w coraz szybszym tempie, w pulsującym poświadczeniu.

Wreszcie krzyknęła, tłumiąc jęk na jego szyi, kiedy serce dosłownie wyrwało jej się z piersi.

W SAN Francisco również świeciło słońce, ale wzmagało jedynie ból głowy Sophii. Popatrzyła na Kris siedzącą za biurkiem, wzięła głęboki oddech.

- Posłuchaj. Kris, nic czujesz się u nas najlepiej. Jasno to dałaś do zrozumienia swoim uporczywym lekceważeniem polityki firmy i stosunkiem do zwierzchników.

- To znaczy do ciebie.

- Proszę, oto wymówienie. Owszem, Kris, jestem oficjalnie twoją zwierzchniczką.

- Bo nazywasz się Giambelli. Gdyby Tony był, to ja siedziałabym za tym biurkiem.

Sophia przełknęła smak goryczy w gardle.

- Właśnie obietnicą tej posady zaciągnął cię do łóżka? On był sprytny, ty - głupia. Ojciec nie miał tu nic do powiedzenia.

- Już tyś się o to postarała. Wy... trzy kobiety Giambellich.

- Nie. Sam się o to postarał. Ale to już bez znaczenia. Faktem jest, że zostałam dyrektorem tego działu, a ty już w nim nie pracujesz. Dostaniesz standardową odprawę. Do końca dnia pracy zabierz z biura rzeczy osobiste.

- I bardzo dobrze. Mam inne oferty.

- Obyś dostała coś na swoją miarę w Le Coeur - odparła Sophia i patrzyła, jak Kris szczęka opada. - Tu nie ma żadnych tajemnic. Ale ostrzegam, żebyś pamiętała o klauzuli dyskrecji, którą podpisałaś przy zatrudnieniu w firmie.

- Nie muszę niczego zdradzać. Twoja kampania jest źle pomyślana i nietrafna.

Wstyd i hańba. Jedna wielka senada.

- W takim razie masz szczęście, że nie będziesz w niej uczestniczyła. - Obie wstały. Sophia podeszła do drzwi, otworzyła. - Chyba wszystko już sobie powiedziałyśmy.

Razem ze mną odejdą inni. Zobaczymy, jak daleko zajedziesz z tym swoim wieśniakiem. - Kris urwała na chwilę. - Nabijałam się z Tonym z was obojga.

- Zdumiewa mnie, że traciliście w ogóle czas na rozmowy.

- On mnie szanował - odgryzła się Kris. - Dziwko numer trzy.

Sophia chwyciła Kris za ramię.

- Czyli to byłaś ty.

- Wezwij gliny... a potem spróbuj mi coś udowodnić. To się na koniec jeszcze uśmieję.

Wyrwała rękę i wyszła.

Sophia podeszła do jej biurka i wezwała straż. Poprosiła, żeby wyprowadzono Kris Drake z budynku. Wcale jej nie zdziwiło, że to Kris zbezczeszczyła aniołki. Nie mogła nic zrobić w sprawie dokumentów już skopiowanych i wyniesionych przez Kris, ale mogła dopilnować, żeby nie wyniosła niczego więcej w ostatniej chwili.

Daleka od zadowolenia wezwała Prissy i Trace'a.

Kiedy przemierzała nerwowo pokój, wszedł Tyler.

- Widziałem Kris pędzącą korytarzem - powiedział i usiadł swobodnie w fotelu. - Uznałem, że coś poszło nie tak, bo zobaczyłem języki ognia buchające z jej oczu.

- Nazwała mnie dziwką numer trzy.

- Co? - Chwycił ją za rękę.

- Czyli to ona. Wypałała aniołki Giambellich lakierem do paznokci. I twierdziła, że ojciec miał jej pomóc objąć moją posiadłość. Wyobrażasz sobie?

Tyler patrzył na nią.

- Przykro mi.

- Ech, chyba zasługiwali na siebie. Muszę ochłonać, muszę ochłonać -

powtarzała, jakby klepała mantrę. - Już po wszystkim, życie toczy się dalej. Muszę pogadać z Prissy i Trace'em, zaczniemy kampanię od nowa, a potem mam spotkanie z Margaret.

Poczuł się lekko niepewny.

- Miałem się z nią spotkać wczoraj wieczorem. A dziś nie mogę jej złapać. Od rana nie zjawiała się już na dwóch spotkaniach.

- To do niej niepodobne. Zadzwoń do domu.

- Wybrałabyś się na kolację, gdyby ona miała ochotę?

- Jasne, ale chyba nie byłoby jej to w smak. Nie wyczuwasz sytuacji? -

zapytała Sophia.

Ech, te kobiety, pomyślał Tyler, kiedy wyszukiwał numer w indeksie telefonicznym Sophii. Tylko dlatego, że źle się dogaduje z Margaret.

Ale zaraz się szybko ocknął, kiedy po trzecim dzwonku odebrał mężczyzna.

- Chciałbym prosić Margaret Bowers.

- Kto mówi? - Tyler MacMillan.

- A, dzień dobry. - Chwila przerwy. - Tu mówi oficer śledczy Claremont.

- Claremont? Przepraszam, musiałem źle wybrać numer. - Nic. bynajmniej.

Jestem właśnie w mieszkaniu pani Bowers. Ona nie żyje.

CZEŚĆ TRZECIA

Czas kwitnienia

MARZEC przetoczył się przez dolinę na grzbiecie rześko galopującego wiatru.

Wiatr smagał ziemię i grzechotał nagimi pędami winnych krzewów. Poranne mgły kasały niemal do kości.

Martwiono się o straty, jeżeli zaraz nie nadejdzie prawdziwa, ciepła wiosna.

Martwiono się zresztą o różne rzeczy.

Sophia zatrzymała się przy winnicach. Było jej przykro, że Tyler nie przechadza się razem z nią między rzędami, obserwując krzewy w poszukiwaniu pierwszych pączków. Jeśli tylko pogoda pozwoli, niebawem zacznie się bronowanie.

Robotnicy bronami tar-i /owymi spulchnią i rozdrobnią ziemię. Worają w ziemię górczycę wraz z jej dobroczynnym azotem.

Uznała, że pewno Tyler rozmyśla u siebie w gabinecie, toteż skrzyła w stronę domu. Pewno ślęczy nad wykresami, notatkami i duma. Czas to ukrócić.

Zamierzała zapukać. Ale nie, zmieniła zdanie, kiedy ktoś puka. i o można go odprawić. Otworzyła zatem bezceremonialnie drzwi i weszła.

- Tyler?

- Jestem bardzo zajęty. - Nawet nie podniósł wzroku.

- Wyglądasz koszmarnie.

- Dzięki.

- Policja się jeszcze nie odezwała?

- Do ciebie odezwą się tak samo jak do mnie.

Już minął prawie tydzień, odkąd znaleziono ciało Margaret. Na podłodze obok stołu zastawionego na dwie osoby, obok nietkniętego steku na talerzu i pustej butelki merlota.

- Rozmawiałam dzisiaj z jej rodzicami. Zabiorą ciało i pochowała w Columbus. - Gdybym nie odwołał...

- Skąd wiesz, czy to by coś zmieniło? - Stała za nim, zaczęła mu masować ramiona. - Ta wada serca, o której nikt nie wiedział, mogła ją dopaść w każdej chwili.

- Była za młoda na jakiś cholerny zawał. I przestań mi pchać pod nos statystyki. Policja bada sprawę, ale nie ujawnia wyników. To coś znaczy.

- Słuchaj, Tyler dopóki niczego się nie dowiemy, trzeba traktować i o jak przypadek. - Niewiele myśląc, zarzuciła mu ręce na ramiona przytuliła policzek do jego głowy. - Zejdźmy na dół. Ugotuję ci zupę. Zajmiemy się czymś, zamiast się tak zadręczać myśleniem. I będziemy czekali.

Pociągnęła go, zadowolona, że jej usłuchał. Na dole, u podnóża schodów, odwrócił się do niej. Niedbałym ruchem palca uniósł jej brodę.

- Nie jesteś taka zła.

- Och, potrafię być zła. - Wyraz jej oczu się zmienił, kiedy on w nie spojrział. I krew się w niej wzburzyła. - Tyler.

Wyciągnęła rękę do jego twarzy, kiedy się nad nią nachylił. Ale zakłęła, bo usłyszała pukanie do drzwi.

- Na miłość boską! Aleś my mamy pecha. Zapamiętaj, proszę, ten moment, dobrze?

- Ech, chyba założyłem go zakładką.

Podszedł do drzwi, otworzył i poczuł, jak go coś ściska w dołku.

- Panie MacMillan... - Claremont stał za panią Maguire. - Możemy wejść?

OGLĄDAŁ wieczorne wiadomości. „Firma Giambelli-MacMillan, potentat na rynku sprzedający wina, przechodzi kolejny kryzys. Potwierdzono, że butelka zatrutego wina spowodowała śmierć Margaret Bowers, która należała do kadry kierowniczej spółki. Policja prowadzi dochodzenie, w grę wchodzi możliwość sfałszowania produktu. Od czasu fuzji dwóch Winnic Giambellich i MacMillana w grudniu zeszłego roku...”.

No i ładnie, pomyślał. Pięknie. Oczywiście, że się z tego wygrzebiają. Już się wygrzebują. Ale jakie skojarzenia pozostaną w opinii publicznej?

Giambelli. Śmierć. Wino.

Zawartość butelek zostanie wylana do zlewu. Reszta pozostanie nie sprzedana na półkach. To ich zabol. Do żywego. Polecą zyski.

Zginęli ludzie, ale nawet kiedy policja wreszcie znajdzie winowajcę, uszczerbek na imieniu rodziny Giambellich pozostanie.

Tymczasem on będzie czekał na właściwą chwilę. Będzie przyglądał się temu widowisku. A kiedy uzna za stosowne, wykona kolejny anonimowy telefon.

Tym razem nie do mediów. Lecz na policję.

RODZINA zebrała się w głównym salonie. David przy oknie rozmawiał przez telefon. Eli snuł się nerwowo przed kominkiem. Dosłownie powłóczył nogami, minę tę miał nietęgą. Tereza siedziała prosta jak struna, popijała kawę. Skinęła głową, kiedy weszli Sophia i Tyler. gestem wskazała im fotele.

- Pan Cutter rozmawia teraz z Włochami, usiłuje oszacować straty. - Spojrzała na Davida, który odsunął telefon od ucha. - I co?

- Sprawdzamy. Robimy przegląd całego rocznika dziewięćdziesiąt dwa merlota z Castello di

Giambelli. Wkrótce ustalimy, z której beczki pochodziło wino w tej butelce. Rano tam jadę.

- Nie. Eli i ja pojedziemy. - Tereza uniosła rękę. - To robota dla nas. Tobie i Tylerowi powierzamy sprawdzenie wszystkiego tu, w Kalifornii.

- Paulie i ja zajmiemy się winiarniami - zaproponował Tyler. David może sprawdzić butelkowanie.

David potwierdził skinieniem głowy.

- Przejrzymy wszystkie akta personalne.

Sophia już miała notatnik na kolanach.

- Za godzinę będę miała wszystkie wycinki prasowe, zarówno anglojęzyczne, jak i włoskie. Zbiore wszystkie szczegóły. Wyszukamy artykuł, z jaką pieczołowitością dbamy o proces produkcji wina. Jaki jest bezpieczny. Musimy wpuścić ekipy telewizyjne do naszych winnic i winiarni. Babciu, skoro wybierasz się z Elim do Włoch, pokażemy, że Signora nadal osobiście dogląda produkcji.

- Osobiście doglądam wszystkiego - powiedziała głucho Tereza. Ale nie rób nic, dopóki nie spotkam się z Jamesem Moorem. - Mąż Helen Moore był najbardziej wziętym adwokatem od spraw kryminalnych w Kalifornii. - Sophio, napisz szkic artykułu. I daj Jamesowi do przejrzenia. Wszystkie inne materiały zresztą też.

Najboleśniej ugodziło to jej dumę. Naruszono dobre imię, zagrożono jej własności. Jedna sfałszowana butelka wina zbrukała dzieło jej Sycia. Myśli Terezy krążyły w kółko.

Musi więc teraz powierzyć innym obronę swojej spuścizny.

- GLIKOZYDY, także digitoksyna, pochodzą z trującej byliny - naparstnicy purpurowej.

Maddy wiedziała, bo to sprawdziła.

- Co takiego?

David spojrział na nią z roztargnieniem. Na biurku piętrzył mu się stos papierów pisanych po włosku. Znacznie lepiej porozumiewał się w tym języku niż

czytał.

- Czyby hodowali naparstnice przy winnicach? Tak jak się hoduje gorczyce?

Moim zdaniem, ten ktoś wiedział, że w liściach naparstnicy są trujące glikozydy. Ale czy można zarazić winorośle, dokonując tylko worania w ziemię?

- Nie mam pojęcia. Maddy, to nie twoje zmartwienie.

- Dlaczego? Przecież ty się martwisz.

- Za to mi płacą.

- Mogłabym ci pomóc.

- Kochanie, jeśli chcesz mi pomóc, to zrób mi tu miejsce. Idź, odrób lekcje.

Wydeła usta.

- Odrobiłam.

- No, to pomóż bratu. Albo co tam chcesz.

- Ale jeśli glikozydy...

- Maddy - aś podniósł głos, bo go poniosło. - To nie jakiś eksperyment. Tylko prawdziwy problem. Znajdź sobie coś do roboty.

- Świetnie.

Zatrzasnęła za sobą drzwi do jego gabinetu. Dyszała z wściekłości. Na pewno Pilar Giambelli tak by nie splawił.

TYLER przez cały czas nie włączał radia ani telewizora. Potrafił kontrolować własną reakcję jedynie na prasę, a najlepiej, jak do niej teś nie zaglądał. Przynajmniej przez kilka godzin.

Przetrząsał już wszystkie papiery. Mógł z całą odpowiedzialnością zaręczyć, że MacMillan jest bezpieczny.

Obecny kryzys odciągnie jego czas i energię od winnic w okresie w którym absolutnie nie mógł sobie na to pozwolić. Długoterminowe prognozy zapowiadały przymrozki. Beczki wina czekały na butelkowanie. Bronowanie już się zaczęło.

Nie miał czasu zajmować się śledztwem policji, ewentualnymi sprawami sądowymi. Ani kobietą. Tyle że kobietę najtrudniej mu było wyrzucić z głowy.

Bo przeniknęła go do szpiku kości. I będzie tam tkwiła, drażniąc go do sywego, dopóki jej stamtąd nie usunie. Myślenie o Sophii męciło mu umysł, powodowało napięcie całego ciała, komplikowało i tak już niezbyt łatwe stosunki w pracy.

Dlaczego więc nie pójdzie do Willi, nie wparuje po schodach od strony tarasu i raz na zawsze się z tym nic rozprawi?

Wiedział, jakie to śałosne i samolubne myślenie. Ale uznał, że nic go to nie obchodzi.

Chwycił kurtkę, podszedł do frontowych drzwi, otworzył z impetem. I tam ją zastał, jak gdyby wyszła mu naprzeciw.

- Nie lubię drażliwych macho - powiedziała, kiedy zatrzasnął za nią drzwi.

- A ja nie lubię władczych, agresywnych kobiet.

Skoczyli do siebie.

Rzucił ją na ścianę, zaczął z niej zdzierać sweter. Cisnął na bok i przypiął się do miękkiej wypukłości piersi falującej nad stanikiem.

Zapomniała, gdzie jest, kim jest. Ręce zdzierały ubranie, usta parzyły ciało.

Wszystko jej się zamazało. W obłądnym galopie krwi słyszała tylko własne jęki, błagania, śądania, szaloną pieśń zlewającą się z jego oddechem. Słyszała jego dyszący, załamujący się oddech, przejęta, że ma nad nim władzę.

- Teraz. - Wczepiła mu się we włosy, wstrząsnął nią dreszcz. - Te-i az, teraz.

Rozkosz przeniknęła jej ciało, ogłuszyła ją, zdruzgotała.

Tyler nie wypuścił jej z objęć, kiedy oboje osunęli się na podłogę.

SPORO czasu minęło, pomyślała Sophia, odkąd zdarzyło jej się wrócić ukradkiem do domu o drugiej nad ranem. Zmieniła światła na postojowe, żeby nie rozbłysły w oknach i zwolniła nieco na zakręcie, wjeżdżając do garażu.

Wyszła w chłodną noc, stanęła pod jasnym kołem gwiazd. Była straszliwie zmęczona, a zarazem cudownie ożywiona.

Ho, ho. Tyler MacMillan, pomyślała w duchu, to mężczyzna pełen niespodzianek.

O dziwo, dumiała, obchodząc cicho dom od tyłu, chciała tam z nim zostać. A potem zasnąć wtulona w jego długie, ciepłe ciało. Bezpieczna, swojska, pewna.

Przez lata nauczyła się wyłączać emocje po seksie. Na męską modłę, jak lubiła myśleć. żeby nie komplikować sobie życia.

Ale teraz musiała wprost na sobie wymóc, żeby opuścić przytulne łóżko Tylera.

Może podobał jej się, może pociągał ją bardziej niż ktokolwiek, kim dotąd była. No i co z tego? Tylko dlatego... że jest nowy. Po jakimś czasie blichtr nowości się wytrze, i koniec pieśni.

Bo zawsze tak jest, pomyślała, przemykając wśród krzewów.

Jeśli szuka się miłości na całym świecie, zawsze się trafia na rozczarowanie.

Znacznie lepiej żyć chwilą, przeć naprzód.

Wychodząc z ostatniego zakrętu w ogrodzie, niemal zderzyła się z matką.

Spojrzały na siebie w niemym zdumieniu, puszczając z ust obłoczki pary.

- Piękna noc... - odezwała się w końcu Sophia.

- Owszem. Wiesz, właśnie... David... - Pilar machnęła ręką w stronę domu gościnnego. - Musiałam mu pomóc w tłumaczeniu.

- Rozumiem. - Sophia próbowała opanować śmiech. - Jeśli mamy się wemknąć po cichu do domu to chodźmy.

- Naprawdę tłumaczyłam. - Pilar podeszła szybko do drzwi kuchennych, przekręciła gałkę. - Tylko musiałam...

- Och. mamó. - Sophia nie mogła się jednak powstrzymać. - Przestań się przechwalać.

- Ja tylko... - Pilar, brnąc w wyjaśnieniach, przegarnęła palcami włosy.

Doskonale wiedziała, jak wygląda - rozplomieniona, zdyszana. Jak kobieta, która właśnie wyszła z łóżka mężczyzny. Lub w tym przypadku z kanapy w salonie. I wtedy uznała, że lepiej przejść do ataku. - Późno wracasz.

- Aha, ja też tłumaczyłam. Z Tylerem. - Sophia otworzyła lodówkę. - Ale nie dostałam kolacji. Czy ja i Tyler to dla ciebie jakiś problem?

- Nie. Tak. Nie - jąkała się Pilar. - Nie wiem, nie mam pojęcia, jak się teraz zachować.

- Zjedźmy sobie szarlotkę. - Sophia wyciągnęła resztki ciasta. - Ślicznie wyglądasz, mamó.

Pilar znów przeczesała palcami włosy.

- Nie gadaj.

- Naprawdę ślicznie. - Sophia postawiła ciasto na ladzie, sięgnęła po talerze. -

Bo sama miałam drobne wątpliwości co do ciebie i Davida. Ale kiedy nakryłam cię w środku nocy, wślizgując się ukradkiem do domu, i widzę, jak ślicznie wyglądasz... -

Sophia ukroiła dwie duże porcje. - Mam za sobą długi, męczący dzień. Miło, że tak się skończył.

- Tak. Ale przed domem myślałam, że padnę z wrażeń.

- Przeze mnie? No, to wyobraź sobie moje zaskoczenie. Przeżywam uniesienia nastolatki i nagle wpadam na rodzoną matkę.

Sophia zaniósła talerze na kuchenny stół, Pilar wyjęła z kredensu dwa widelczyki.

- Nastolatki? Naprawdę?

- Ech, po co wracać do przeszłości? - Sophia z szatańskim uśmiechem zlizwała szarlotkę z kciuka. - David wygląda na namiętnego męszczyznę,

- Sophio.

- I to bardzo. Trafił ci się niezły łup, mammo.

- To Saden łup. I mam nadzieję, że o Tylerze też tak nie myślisz, bo jest...

- Ooo, babcia?

Pilar upuściła widelczyk.

- Mammo, co ty tu robisz o tej porze?

- Sądźcie, że nie wiem, kiedy ktoś mi tu wchodzi po nocy do domu? -

Elegancka jak zwykle, w grubym kordonkowym szlafroku i rannych pantoflach, Tereza wkroczyła do kuchni. - Co? Tak bez wina?

- My tylko... zgłodniałyśmy - wyjąkała Sophia.

- Ha. Nic dziwnego. Bo seks wyczerpuje, jeśli się do niego przyłożyć. Sama zgłodniałam.

Sophia przyłożyła rękę do buzi, ale za późno. Zanosła się radosnym śmiechem.

- Ech, ten Eli.

Tereza po prostu wzięła sobie ostatni kawałek szarlotki.

- Uważam, że sytuacja aż się prosi o wino. Pilar, nie rób takiej zdziwionej miny.

Z kuchennego stojaka wybrała sauvignon blanc, odkorkowała.

- Ciężkie czasy. - Nalała trzy kieliszki. - Aprobuję Davida Cuttera, jeśli ktokolwiek tu się liczy z moim zdaniem.

- Och. dziękuję. Jasne, że się liczy.

Następnie odwróciła się do Sophii.

- A ty, jeśli skrzywdzisz Tylera, to okropnie mnie zgniewasz i rozczarujesz.

Bo bardzo go kocham.

Z Sophii jakby uszło powietrze. Odłożyła widelczyk na talerz.

- Niby dlaczego miałabym go skrzywdzić?

- Zapamiętaj moje słowa. Jutro zaczynamy walkę o byt, o nasz majątek. A dzisiaj... - Uniosła w górę kieliszek. - Dzisiaj świętujemy. Salute.

WOJNA toczyła się jednocześnie na kilku frontach. Sophia rozgrywała ją na falach eteru, w prasie i przez telefon. Godzinami dyktowała wiadomości do prasy, zapewniała klientów. Codziennie na nowo odpierała fałszywe pogłoski i domysły.

Martwiła się, jak dziadkowie radzą sobie na froncie we Włoszech. Codziennie napływały doniesienia. Nieubłaganie sprawdzano wino, butelka po butelce, dokonywano analizy próbek.

Kiedy chciała się na chwilę wyrwać z tego kołowrotu, stawała przy oknie i patrzyła, jak robotnicy bronują ziemię. W winnicach zapowiada się wyjątkowy rocznik dla wina. mówiła sobie w duchu. Byle ten rok przetrwali.

Podskoczyła na dźwięk dzwonka telefonu, chociaż najchętniej by go zignorowała.

- Sophia Giambelli, słucham.

Dziesięć minut później odłożyła słuchawkę, po czym dała upust oburzeniu, rzucając przekleństwa po włosku.

- Czy to pomaga? - spytała Pilar od progu.

- Nie bardzo. - Sophia przycisnęła oburącz skronie. - Miło. Źe przyszedł.

Wejdiesz? Usiądziesz na chwilę?

- Właśnie skończyłam oprowadzać wycieczkę. - Pilar opadła na fotel. - Ciągną tu strumieniami. Na ogół ciekawscy. Trochę też dziennikarzy, chociaż sporo mniej ich przyjeżdża od czasu twojej konferencji prasowej.

- Właśnie skończyłam rozmowę z producentem programu Larry Mann Show.

- Larry Mann. - Pilar zmarszczyła nos. - To to tandetna telewizja. Chyba nic im nie dasz.

- Już coś mają. Mają Renę. Jutro ma nagranie, w którym chce ujawnić sekrety rodzinne, opowiedzieć rzekomo prawdziwą wersję śmierci taty. Udziela wywiadów na prawo i lewo. Rozmawiam właśnie z ciocią Helen i wujkiem Jamesem na temat kroków prawnych.

- Daj spokój. Kroki prawne tylko przydadzą jej wiarygodności.

- Też mi to przyszło do głowy. Ale na ogień trzeba odpowiadać ogniem.

- Nie zawsze, kochanie. Czasem trzeba przełknąć. Wiesz co, utopimy ją w dobrym winie Giambellich.

Sophia odetchnęła głęboko. Faks za jej plecami nagle zaterkotał, ale go zignorowała.

- Masz rację. Brawo. Zalejemy tę pośogę powodzią wina. Wydamy przyjęcie.

Bał wiosenny, pełna gala. Renę idzie w tandetę, my pójdziemy w elegancję. Ile czasu potrzeba ci na przygotowanie takiej imprezy?

Trzeba przyznać, Œe Pilar zamruwała tylko oczami.

- Trzy tygodnie.

- Przyjęcie? - Tyler aŒ podniósł głos znad huku brony tarczowej. - Słyszałaś o Neronie i jego lirze?

- Rzym nie płonie. Tego właśnie chcę dowieść. - Sophia odciągnęła go ze zniecierpliwieniem od pracy. - Cholera! - zaklęła, bo zadzwoniła jej komórka. -

Poczekaj.

Wyjęła telefon z kieszeni.

- Sophia Giambelli... Si. Va bene.

Gestem dała znak Tylerowi i odeszła kilka kroków.

Stał, przyglądając się bronowaniu. Hałaśliwe, systematyczne wzruszanie ziemi, zakrywanie nasion. Ciepło sprowokowało krzewy do pączkowania, chociaŒ

wiatr spływający z gór zapowiadał chłodne noce. Wśród tego odwiecznego cyklu stała Sophia, a jej głos brzmiał jak fascynująca egzotyczna muzyka.

Nawet nie zaklął, o nic nie zapytał, kiedy poczuł, Œe puścił w nim ostatni zawór bezpieczeństwa.

Po prostu oszalał na jej punkcie. Bez pamięci.

Wsunęła telefon do kieszeni, dmuchnęła na grzywkę.

- Przepraszam - powiedziała. - Włoski dział reklamy. A teraz, wracając do przyjęcia...

Spojrzała na niego.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Widok miły dla oka. Nawet podczas szybkiego przewijania.

- No, to dlaczego nie wślizgnęłaś się w nocy przez mój taras?

Wargi mu zadrŒały.

- Nawet myślałem o tym.

- To pomyśl skuteczniej.

- No dobrze. Tylko nie zamykaj drzwi. Były otwarte.

I telefon w kieszeni zadzwonił znowu. Wyjęła go. Sophia Giambelli... O, babciu, tak się cieszę, że mnie złapała. Próbowałam zadzwonić wcześniej, ale...

Stała na skraju winnicy. Mimo promiennego słońca poczuła ciarki na całym ciele. Kiedy się rozłączyła, cała już dygotała.

- Tyler, posłuchaj! Dzwoniła babcia... jest z Elim... - Musiała przerwać, zebrać myśli. - Pewien staruszek pracował dla dziadka babci. Zaczął pracę w winnicy jeszcze jako chłopak. Pod koniec zeszłego roku umarł. Chorował na serce. Jego wnuczka, która znalazła go pierwsza, twierdzi, że przed śmiercią pił naszego merlota.

Zarządzono ekshumację zwłok.

Miał dziwne uczucie, zakradając się do domu, w którym zawsze tak serdecznie go przyjmowano. Jednocześnie go to podniecało, bo wiedział, że będzie na niego czekała. Widział płomyk świecy łopoczący na tle szyby. Przekręcił cicho gałkę, ale zadźwięczała mu w głowie niemal jak trąbka.

Zamknął za sobą drzwi, ruszył na jej poszukiwanie. I wtedy ją zobaczył, śpiącą, zwiniętą w kłębek w fotelu, skonaną ze zmęczenia.

Podszedł bliżej. Delikatna, różnobarwna skóra. Gęste atramentowe rzęsy, pełne, zmysłowe usta.

- Ależ z ciebie cudo - mruknął cicho, nagle wzruszony. - I tak się umordowałaś? No, chodź, dziecinko. - Wsunął pod nią ręce. - Zaniosę cię do łóżka.

Poruszyła się, zmieniła pozycję, zamruczała.

- Hm, Tyler?

- Zgadłaś. No, śpij - powiedział, kładąc ją na łóżku. Zamrugła, otworzyła oczy.

- Dokąd idziesz?

- Kochanie, jesteś skonaną. Przełóżmy randkę na kiedy indziej.

- Nie odchodź, proszę. Nie chcę, żebyś odchodził.

- Wrócę.

Pochylił się, żeby pocałować ją na dobranoc, ale skusiły go jej miękkie usta smakujące leniwym zaproszeniem.

- Nie odchodź - powtórzyła, wyciągając ku niemu rękę. - Kochaj się ze mną.

Jak we śnie.

I było jak we śnie. Powoli i czule, chociaż Sadne z nich zupełnie się tego nie spodziewało. Wślizgnął się do łóżka, dał się ponieść fali jej czułych mięśni.

Przeniknęły go ciarki, przejmujące jak mruganie gwiazd wśród ciemnej nocy.

Jego szorstkie od pracy ręce głaskały ją mimo to jak aksamit. Twarde ciało okryło ją niczym jedwab. Mocne usta czerpały z niej z wyjątkową cierpliwością.

Bez krztyny furii. Bez pośpiechu. Dziś mogli się sobą napawać i delektować.

Dawać i brać.

Przezesywała mu włosy, patrzyła, jak ich cienie unoszą się w świetle.

Przyciągnęła jego głowę ku sobie.

W ciemnościach dostrzegł blask świecy w jej oczach, złoty pył rozsypany po bezdennych toniach.

- Dziś jest inaczej - powiedział, muskając ustami jej usta. - Wczoraj cię pragnąłem, dzisiaj potrzebuję.

Jej usta zadrżały pod ciężarem słów, których nie była w stanie wypowiedzieć.

CO TAKIEGOS mogło łączyć siedemdziesięcioletniego pracownika winnicy z Włoch z trzydziestosześcioletnią dyrektorką do spraw handlowych z Kalifornii? Ród Giambellich, pomyślał David. To było ich jedyne powiązanie. No i sposób, w jaki dokonali Śywota.

Badania zwłok Bernarda Baptisty po ekshumacji potwierdziły spożycie groźnej dawki glikozydów w merlocie. To nie mógł być przypadek. Policja po obu stronach Atlantyku stwierdziła zabójstwo, a wino Giambellich ogłosiła narzędziem zbrodni.

Ale dlaczego? Co łączyło Margaret Bowers i Baptistę?

David zostawił dzieci utulone w łóżkach i pojechał do MacMillana. Kiedy temperatura zaczęła spadać, Tyler i Paulie włączyli zraszacze. Po czym przechadzali się między rzędami, a woda pryskała na krzewy, tworząc cieniutką warstwę lodu chroniącą przed groźnym mrozem. Wiedział, że Paulie będzie pilnował winorośli przez całą noc. W prognozach utrzymywano, że przed świtem temperatura może spaść nawet do krytycznego pułapu minus jednego stopnia Celsjusza.

Widział, jak delikatna mgiełka wody zrasza winne krzewy MacMillanów, a krople migoczą w zimnej poświacie księżyca. Włożył rękawice, zabrał termos z kawą i wyszedł na marznącą rosę.

Natknął się na Tylera, który siedział na przewróconej do góry dnem skrzynce i popijał z własnego

termosu.

- Oczekiwałem, że się tu pojawisz. - Tyler zapraszającym gestem przewrócił kubkiem buta drugą skrzynkę. - Rozgość się.

David usiadł, otworzył swój termos.

- Gdzie twój brygadziista?

- Odesłałem go do domu. Nic ma sensu, żebyśmy obaj zarywali noc. - Tyler wzruszył ramionami, patrząc na rzędy, które w blasku gwiazd przybrały iście bajkowy wygląd. - Tu po północy odwołano alarm o przymrozkach, ale ten system dobrze działa.

- Znałeś Baptiste?

- Nie bardzo. Znał go mój dziadek. Signora bardzo to przeżywa. Chyba Sophia uważała go za kogoś w rodzaju dobrego luda. Kiedyś przemycił dla niej cukierki.

Biedny facio.

David odchylił się z kubkiem kawy między kolanami.

- Łamię sobie głowę, usiłując znaleźć prawdziwe powiązanie. Ale pewno marnuję tylko czas, bo jestem zwykłym urzędasem, a nie prawdziwym detektywem.

Tyler mu się przyjrzał.

- Z tego, co widzę, nie marnujesz. I jak na urzędasę nie jesteś wcale taki zły.

- W twoich ust zabrzmiało to jak komplement.

- żebyś wiedział.

- Z tego, co mi wiadomo, Margaret nigdy nie spotkała się z Baptistą. Już nie był, kiedy przejęła księgi Avana i wybrała się do Włoch.

- To nie ma znaczenia, jeśli byli przypadkowymi ofiarami.

David potrząsnął głową.

- Ale ma, jeśli nie byli.

- Oboje pracowali dla Giambellich. Oboje znali Avana.

- On już nie był, kiedy Margaret odkorkowywała tę butelkę. Chociaż nie wiemy, jak długo ją u siebie trzymała. Miałyby wiele powodów, żeby usunąć ją z drogi.

- Nie potrafię dopatrzeć się w nim zabójcy. Wymagałoby to za duŜo wysiłku, nie miałby tyle odwagi.
- Z ust Tylera aŜ szła para. Przeczesał wzrokiem szpalery krzewów. Ochłodziło się, jak powiedział mu wewnętrzny czujnik farmera dobiegającego trzydziestki. - Nie jestem urzędnikiem, ale wiem, Őe firma płaci za to wszystko straszliwą cenę. JeŜeli ktoś chciał nam namieszać, zrobił to w najpodlejszy sposób.

DWIEŚCIE pięćdziesiąt zaproszonych osób, siedmiodaniowa kolacja, do kaŜdego dania stosowne wina, a potem koncert w sali balowej i tańce. Nie lada impreza, ale Sophia uznała, Őe mama spisała się na medal. Jej samej teŜ naleŜało się uznanie, bo Őciągnęła sławnych gości z całego świata. Organizacja Narodów Zjednoczonych, pomyślała, siedząc z błogą miną zasłuchana w arię w wykonaniu włoskiej sopranistki, popiera Giambellich.

A ćwierć miliona dolarów zebranych na cele charytatywne stanowi nie tylko dobry uczynek, lecz równieŜ świetną reklamę. Zwłaszcza Őe na balu zjawiły się wszystkie cztery pokolenia członków rodziny. Lojalność, odpowiedzialność, tradycja, połączone więzami krwi, wina, a takŜe wizją jednego człowieka, Cezare Giambellego.

Zwykłego farmera, który w pocie czoła zbudował z własnych marzeń prawdziwe imperium.

- Nie słuchasz. - Tyler szturchnął ją lekko łokciem. - Jak mus, to mus.

Przysunęła się do niego.

- Słyszę kaŜdą nutę. I jednocześnie mogę sporządzać wierny zapis w głowie.

To dwie róŜne części mojego mózgu.

- Ten twój mózg ma w ogóle za duŜo części. Ile to jeszcze potrwa? - W salonie wibrowały dźwięki.

- Jest wspaniała. I prawie kończy. Őpiewa o tragedii, o złamanym sercu.

- Wydawało mi się, Őe o miłości.

- To przecieŜ to samo. Co z ciebie za wieśniak. - splotła palce z jego palcami, zanurzyła się w muzyce.

Kiedy po ostatnich tonach rozdzwoniła się cisza, Sophia wstała z innymi i nagrodziła wykonawczynię gromkimi brawami.

- MoŜemy juŜ wyjść? - spytał szeptem Tyler.

- Ty idź - powiedziała cicho. - Ja muszę bawić gości. Odprowadziła go wzrokiem, po czym podeszła do artystki z wyciągniętymi rękami.

- Signora, bellissima!

NIBY wspaniale się bawiła, ale była to bardzo cięŜka praca. Musiała cegiełka po cegiełce budować

zaufanie, odpowiadać na pytania ciekawskich gości oraz zaproszonych dziennikarzy, wyrażać ślad i oburzenie.

- Sophio! To wspaniale, cudowne przyjęcie.

- Dziękuję, pani Elliot. Tak się cieszę, że mogła pani przyjść.

- Za nic bym nie opuściła. Przecież wiesz, że nasza restauracja daje sowite dotacje na schroniska dla bezdomnych.

Ale też wasza restauracja, pomyślała Sophia, zrezygnowała ze stałego zamówienia win Giambelli i MacMillan przy pierwszych kłopotach.

- Możemy więc przygotujemy razem jakieś akcje dobroczynne. Jedzenie i wino to przecież idealny mariaż - podsunęła Sophia.

- Blake i ja bardzo ubolewamy nad waszymi niedawnymi kłopotami, Sophio, ale interesy to interesy. Musimy przede wszystkim chronić swoich klientów.

- Podobnie jak my. Giambelli stoją za swoimi produktami. Każdy z nas w każdej chwili może paść ofiarą fałszerstwa i sabotażu.

- Tak czy owak. Sophio, dopóki dobre imię firmy Giambelli się nie oczyści, nic możemy serwować waszego wina. Przykro mi, kochana, ale taka jest prawda.

Musisz mi wybaczyć.

Sophia podeszła do kelnera, wzięła kieliszek czerwonego wina i obchodząc gości, żeby wszyscy zauważyli, wypita potężny łyk.

- Sophio, wyglądasz na nieco zdenerwowaną? - Helen objęła ją mocno. - Ty chyba drżysz.

- Ze złości i ze strachu, ciociu - przyznała. - Sporo mnie to przyjęcie kosztowało. Pieniądzy, które, zważywszy na sytuację, powinnam wydawać teraz roztropnie. Elliotowie się nie ugną.

- Daj spokój, kochanie. Wiem, że sytuacja jest niezbyt pewna, ale rozmawiałam dzisiaj z wieloma osobami, które cię bardzo wspierają, przerażone tym, co się stało.

- Tak i nawet niektórzy są gotowi na ryzyko finansowe. Ale nie tak wielu.

- Sophio, każda firma, która działa na rynku od stu lat miewa kryzysy. To tylko jeden z nich.

- Nam się nigdy nic podobnego nie przydarzyło. Tracimy poważnych klientów, ciociu Helen. Padamy ofiarą. Dlaczego ludzie tego nie widzą? Nadal jesteśmy atakowani - finansowo, emocjonalnie, prawnie. Policja... Na miłość boską, tyle krąży pogłosek, że Margaret i mojego ojca łączył jakiś spisek, o którym mama wiedziała.

- To intrygi René.

- Owszem, ale jeśli policja zacznie je brać poważnie...

- Posłuchaj, policja może sobie węszyć, ale tylko w jednym celu, żeby eliminować.

Poklepała Sophie, rada. że przywilej prawniczki rodzinnej Terezy uchronił ją przed różnymi obawami.

Bo właśnie tego dnia policja poprosiła ją o przedstawienie wszystkich ksiąg firmy.

DROBNE płatki rozchylające się, w miarę jak coraz dłuższe dni zalewały je blaskiem słońca, pokryły krzewy. Ziemię wzruszono, otwarto na przyjęcie nowych upraw. Drzewa trzymały wiosenne listki w grudkach lepkiej zieleni, lecz tu i ówdzie dzielne młode pędy krzewów wychodziły z ziemi

Kwiecień, pomyślała Tereza, niesie odnowę. I pracę. A także radość, że wreszcie zima dobiegła końca.

- Niedługo wylągą gęsi kanadyjskich - powiedział jej Eli na porannym spacerze.

Pokiwała głową. Od ojca nauczyła się obserwować niebo, ptaki, ziemię, tak samo jak winne pędy.

- Znosi się na niezły rok. Bo zima była deszczowa.

- Chyba dobrze wybraliśmy czas sadzenia.

Spojrzała na wzgórze z dobrze zaoraną ziemią. Przeznaczyła dwadzieścia hektarów pod nowe uprawy, odmiany europejskie przeniesione na rodzinną ziemię.

Wybrali najlepsze grona - cabernet sauvignon, merlot, chenin blanc - a konsultacja z Tylerem spowodowała, że przyjęły się tak samo jak u MacMillanów.

- Kiedy wydadzą owoce, akurat stuknie nam ćwierć wieku wspólnego życia, Eli.

- Terezo. - Wziął ją w ramiona, obrócił twarzą do siebie, aś przeszedł ją dreszcz. - To moje ostatnie winobranie. - Eli...

- Nie wybieram się umierać. - I dla dodania jej otuchy pogłaskał ją po rękach. -

Ale chcę przejść na emeryturę. Myślę o tym, odkąd wróciliśmy z Włoch. Za bardzo wrosliśmy w tę ziemię. Zasadźmy po raz ostatni, ale niech nasze dzieci zbiorą żniwo.

Już czas.

- Przecież rozmawialiśmy już o tym. Mówiliśmy, że usuniemy się za jakieś pięć lat. Stopniowo.

- Wiem. Ale ostatnie miesiące uzmysłowiły mi, jak szybko życie, a nawet dany styl życia, może się

skończyć. Chcę jeszcze zobaczyć kawałek świata. Z tobą. Terezo.

Tylko z tobą. Mam dość Śycia pod dyktando pół roku.

- Cały swój Śywot poświęciłam firmie Giambellich. Jak możemy przekazać dzieciom coś, co jest w ruinie?

- Bo im ufamy. Bo zasłużyli na to, Śeby dać im szansę.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Pomyśl. Chcę jeszcze za swojego Śycia dać Tylerowi to, na co zasłużył. Dość już widzieliśmy śmierci w tym roku. - Spojrzał na pączki nowych roślin. - Czas, Śeby coś urosło.

MADDY przeczytała liścik na lodówce i się skrzywiła: *Dziś domową kolację serwuje Pilar. Nie wiem co szykuje, ale na pewno będzie wam smakowało. Bądźcie w domu o szóstej. Do tego czasu postarajcie się udawać dzieci z gatunku ludzkiego, a nie mutanty, które wygrałem w pokera.*

Całuję. Tata

Po co niby im towarzystwo? Czy tata naprawdę sądzi, Śe ona i Theo są tak stuknięci, by uwierzyć, iŚ ta kobieta krząta się po kuchni faceta tylko po to, Śeby gotować?

O święta naiwności!

Porwała karteczkę, pobiegła na górę. Theo był już u siebie, miał na uszach słuchawki z dudniącą muzyką.

- Pani Giambelli szykuje nam kolację.

- Co?

- Ta kobieta, z którą tata sypia, ma przyjść, Śeby nam przygotować kolację.

- Coś takiego! - ucieszył się Theo. - Gorącą kolację?

- Nie kapujesz? - Maddy z obrzydzeniem pomachała liścikiem. - To jej taktyka. Usiłuje się tu wkręcić.

- A co ugotuje?

- Ej, nieważne, co. Tak wolno myślisz? Chce mu pokazać, jaką możemy być szczęśliwą rodziną.

- Maddy, bujaj się. Tata ma prawo do kobiety.

- Co za głąb! Niech sobie ma i dziesięć kobiet. Ale co zrobimy, jak zechce się oŚenić?

Theo się zastanowił.

- No, nie wiem. Pani Giambelli jest w porządku.

- Nie wiem, nie wiem - sparodiowała go. - Zacznie zmieniać prawa, trząść domem. A nami się w ogóle nie przejmie. Wszystko przerobi na swoje kopyto.

Maddy poszła do swojego pokoju, trzasnęła drzwiami. Miała zamiar tam pozostać, dopóki tata nie wróci do domu.

Gotowała już od godziny.

Maddy słyszała muzykę, śmiech. Coś pięknie zapachniało, no więc, znów wytoczyła działa przeciwko Pilar. Œe tylko się popisuje, przyrządzając wyszukaną kolację.

Kiedy weszła do kuchni, aŜ musiała zacisnąć zęby. Theo siedział przy kuchennym stole i walił w elektryczną klawiaturę, a Pilar stała przy kuchence.

- Cześć, Maddy - przywitała ją, odkładając łyŜkę.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Długo się namyślała przy wyborze napoju.

- Co to za paskudztwo?

- ZaleŜy, o co pytasz. To jest ser na manicotti. A to marynata do antipasto.

Wasz tata twierdził, Œe lubicie włoską kuchnię, no więc, w to mi graj.

- Ja ostatnio nie jadam kluch. Zresztą wychodzę do koleŜanki.

- Och, to szkoda. - Pilar wyjęła misę, Œeby zmieszać składniki do namisu na wykwintny deser. - Tata nic o tym nie wspominał.

- Nie musi ci wszystkiego mówić.

To była pierwsza niegrzeczna uwaga dziewczyny do niej. Pilar uznała, Œe lody puszczają.

- Oczywiście, Œe nie musi. A ty jesteś na tyle duŜa, Œe jesz gdzie chcesz. Theo, zostawisz nas na chwilę?

- Jasne.

Chwycił klawiaturę, rzucił Maddy zbrzydzone spojrzenie.

- MoŜe usiadziemy?

Maddy poczuła ssanie w brzuchu. Ale usiadła ze znudzoną miną. Pilar nalála sobie małą filiŜankę espresso zaparzonego do tiramisu, usiadła po drugiej stronie, łyknęła.

- Maddy nie oczekuję czerwonych dywanów na moje powitanie, ale teŜ mam nadzieję, Œe nie

trzaśniesz mi drzwiami w twarz.

Maddy zasępiła się.

- A co cię obchodzi moje zachowanie ?

- Z dwóch powodów. Bo cię polubiłam. Podejrzewam, że gdybym nie była związana z waszym ojcem, to byśmy się dogadały. Ale odciągam jego uwagę i czas od ciebie. Gdybym ci powiedziała, że mi z tego powodu przykro, obie wiedziałybyśmy, że to obłuda. Bo ja go kocham.

- Moja mama też go kochała. Nawet za niego wyszła.

- Nie wątpię. Sądzę...

- Nie! śadnych tłumaczeń matki, śadnych usprawiedliwień. To wszystko brednie. Kiedy coś nie poszło po jej myśli, to nas zostawiła. Myśmy się nie liczyli.

- Ojciec was nie zostawił. Dla niego się liczyliście. I jeśli każe mu wybierać między wami a mną, odpadnę w przedbiegach. Proszę, żebyś mi dała szansę. Jeśli nie możesz, wyniosę się stąd pod byle pretekstem, zanim tata wróci do domu.

Maddy otarła łzę z policzka, nie odrywała wzroku od Pilar.

- Dlaczego?

- Bo jego też nie chcę ranić.

Maddy pociągnęła nosem, nachmurzyła się.

- Dasz mi łyka?

Pilar bez słowa podsunęła dziewczynie espresso. Ta zmarszczyła nos, ale wzięła małego łyka do ust.

- Koszmar. Jak można to pić?

- Lepsze będzie w tiramisu.

- Może tak. - Maddy odsunęła z powrotem filiżankę. - No to spróbujmy.

- O NIE. - David położył rękę na ramieniu Pilar, zanim ta zebrała naczynia. -

Mamy taką zasadę: kto gotuje, ten nie sprząta.

- Rozumiem. Chętnie się zastosuję.

- I kolejna zasada. Tata wyznacza delegata. Theo i Maddy z rozkoszą zajmą się naczyniami.

- Wiadomo. - Maddy ciężko westchnęła. - A ty?

- A ja spłacę częściowy dług za tę wyborną kolację, zabierając kucharkę na spacer. - I sondując reakcję dzieci, pocałował serdecznie Pilar. - Odpowiada ci to?

- Trudno narzekać.

Chętnie z nim wyszła w ten cudowny wiosenny wieczór.

- Sporo tego zostało jak na dwoje nastolatków.

- Praca uszlachetnia.

Odwrócił ją do siebie i przyciągnął, kiedy zbliżyła do niego usta.

- Niewiele mieliśmy ostatnio czasu dla siebie. Czasem wieczorem wyglądam przez okno i widzę u ciebie światło. Wtedy chcę ci powiedzieć, żebyś się nie martwiła, ale wiem, że będziesz, dopóki to się nie skończy. Wszyscy się zamartwiamy.

Położyła mu głowę na ramieniu.

- Jeśli to pomoże, łatwiej mi z tobą u boku.

- Pilar, wynikły pewne kłopoty w firmie we Włoszech. Pewne rozbieżności w księgach, które wyszły na jaw przy kontroli. Może będę musiał pojechać tam na kilka dni.

- Dzieci mogą zamieszkać z nami. żebyś się nie martwił o nie.

- Wiem. - Tereza już postanowiła, że na czas jego nieobecności dzieci przeprowadzą się do Willi. - Ale ciebie też nie chciałbym zostawiać. Pojedź ze mną.

- Och, Davidzie. - Aż poczuła podniecenie na tę myśl. - Oczywiście, chętnie.

Ale szybciej i lepiej wszystko załatwisz, jeśli zostanę tu z twoimi dziećmi.

- Musisz być taka praktyczna?

- Wcale nie chcę - powiedziała cicho. - Wolałabym zgodzić się na wszystko, czuć się młodo, bez troski, tryskać naiwną radością. - Obróciła się na pięcie. - Kochać się z tobą w wielkim łoszu w castello. Jak to wszystko już minie, wróć do mnie z tą propozycją.

Coś w niej jakby puściło, odtajało.

- Zgłaszam się z nią już teraz. Pojedźmy do Wenecji, jak się to wszystko skończy.

- Dobrze. - Wzięła go za rękę. - Kocham cię. Davidzie. Zastygł w bezruchu.

- Coś ty powiedziała?

- że cię kocham. Przepraszam, jeśli to za dużo, za szybko, ale...

- Och, to się świetnie składa. - Porwał ją na ręce, zatoczył z nią koło. -

Sądziłem, że będę cię w sobie rozkochiwał jeszcze co najmniej dwa miesiące, co nie byłoby mi na rękę, bo ja już cię Kocham.

Przycisnęła policzek do jego policzka. Serce jej się rozpromieniło.

- Coś ty powiedział?

- Pozwól, że sparafrazuję. Kocham cię, Pilar. Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, zacząłem wierzyć, że los dał mi drugą szansę. - Przyciągnął ją do siebie, pocałował. - Jesteś moja.

WENECA nie jest miastem, które powinno się marnować na spotkania z prawnikami i księgowymi. Wenecja to kobieta, la helia donna, elegancka, jak przystało na jej wiek, o zmysłowych, opływowych kształtach, tajemniczych cieniach.

Na jej widok, uroczej damy nad Grand Canal, w spłowiałych kolorach starych sukien balowych, aż mu zaszumiało w głowie.

Najchętniej przeszedłby się tymi prastarymi ulicami i mostami z Pilar, kupił

jej jakieś śmieszne cacko. Albo patrzył, jak Theo pochłania lody niczym wodę, słuchał, jak Maddy wypytuje jakiegoś biednego gondoliera o dzieje kanałów.

A tu księgowy marudził dalej. I to po włosku.

- Scusi. - David uniósł rękę, przewrócił stronę potężnego opracowania. - Czy moglibyśmy wrócić do tego punktu?

- Liczby się nie zgadzają - powtórzył Włoch, przechodząc wielkodusznie na angielski.

- Właśnie widzę. Nie zgadzają się rozliczenia różnych wydatków poza granicami kraju. Zdumiewa mnie to, signore, ale jeszcze bardziej zdumiewa mnie rachunek Cardianilego. Zamówienia, dostawy, stłuczki, pensje, koszty - wszystko skrupulatnie zapisane.

- Si. Tutaj wszystko się zgadza - zaręczył księgowy.

- Najwyraźniej. Tyle że firma Giambellich nie ma klienta o nazwisku Cardianili.

Włoch zamrugał.

- Czyżby omyłka?

- Oczywiście, że omyłka. - David obrócił się z fotelem. - Signore, przejrzał

pan dokumenty, które panu dałem?

- Tak jest - potwierdził.

- I nazwisko osoby obsługującej tego klienta?

- Zajmował się nim pan Anthony Avano.

- I wszystkie rachunki, kwity podpisywał Anthony Avano?

- Owszem. AŜ do grudnia zeszłego roku. Bo potem w dokumentach widnieją podpisy Margaret Bowers.

- Musimy koniecznie zweryfikować te podpisy, a takŜe podpisy na listach przewozowych, rachunkach i rozliczeniach Donata Giambellego.

- Signore Cutter, sprawdzę wszystkie podpisy, ale zalecam powściągliwość w kontaktach z Signorą. To nadzwyczaj delikatna sprawa.

- DON, dziękuję ci za przybycie. Przepraszam, Őe musiałeś czekać.

- Skoro powiedziałeś, Őe to waŜne. - Donato Giambelli wszedł do gabinetu Davida. - Gdybyś mnie uprzedził o przyjeździe, zmieniłbym swój harmonogram, Őeby ci pokazać Wenecję.

- Decyzję podjąłem w ostatniej chwili. Ale juŜ sobie ostrzuję zęby na castello.

Siadaj.

- JeŜeli zawiadomisz mnie zawczasu, to cię oprowadzę. Sam tam zaglądam regularnie, Őeby wszystkiego dopilnować. - Usiadł, załoŜył ręce. - Czym mogę słuŜyć?

- Wyjaśnij mi rachunek pana Cardianili.

Don zrobił zagadkową minę.

- Nie rozumiem.

- Ani ja - powiedział wesoło David. - Dlatego ciebie proszę o dokładne wyjaśnienie.

- Chyba przeceniasz moją pamięć, Davidzie. Nie mogę pamiętać wszystkich klientów. Pozwól mi sięgnąć do dokumentów...

- JuŜ je wyjąłem. - David postukał w teczkę na biurku. - Twój podpis widnieje na wielu kwitach.

- Podobnie jak na innych podobnych dokumentach. Nie za bardzo je wszystkie pamiętam.

- Ale ten powinien być ci się wryć w pamięć. Jako nieistniejący. Bo nie ma Őadnego zlecenia na nazwisko Cardianili, Donato. Sprokurowano mnóstwo dokumentów, przepuszczono ogromne sumy pieniędzy. Listy przewozowe, rachunki, ale taki klient nie istnieje. Nie ma człowieka nazwiskiem... -

Wyciągnął arkusz papeterii Giambellich. - Giorgio Cardianili. z którym rzekomo korespondowałeś. Nie istnieje, podobnie jak hurtownia w Rzymie, dokąd wysyłano wino. Jak i magazyn, do którego jeździłeś dwa razy. Jak więc to wytłumaczysz?

- Nie rozumiem. - Donato zerwał się, ale na jego twarzy nie malowało się oburzenie, tylko panika. - Nie potrafię tego wytłumaczyć. Nie wiem, co to za dokumenty, co to za zlecenie.

- W takim razie, dlaczego widnieje na nich twój podpis? I dlaczego na obsługę tego właśnie rachunku przelano ponad dziesięć milionów lirów?

- To jakieś oszukaństwo. - Donato chwycił papeterię. - Ktoś się pode mnie podszył, żeby okraść Signorę, okraść *la famiglia*. - Roztrzęsioną ręką złapał się za serce. - Natychmiast to sprawdź.

- Masz na to czterdzieści osiem godzin.

- Jak śmiesz stawiać mi takie ultimatum, kiedy ktoś okrada moją rodzinę?

- Ultimatum postawiła Signora. Tymczasem rachunek masz zamroźony. Za dwa dni wszystkie dokumenty przekażemy na policję.

- Na policję? - Don zbladł. - Co za bzdura. To musi być jakieś nieporozumienie wewnątrz firmy. Nie chcemy śledztwa, rozgłosu...

- Signora chce poznać prawdę. Koszty nie grają roli.

- Ponieważ Tony nadzorował księgowość, nietrudno się chyba domyślić.

- To prawda, ale nie Tony Avano obsługiwał tego klienta. - Tak sądziłem...

Skoro to taki poważny klient.

- Wcale nie uważam, by Cardianili był poważnym klientem. Masz na to całe dwa dni - powiedział cicho David. - I pomyśl o Sonie i dzieciach. Signora okaże więcej zrozumienia, jeśli opowiesz się po stronie rodziny.

- Nie mów mi, co mam robić. Przez całe życie jestem związany z rodziną. Ja jestem Giambelli. Udostępnij mi te akta.

- Bardzo chętnie. - David zlekceważył wyciągniętą do siebie rękę. - Za czterdzieści osiem godzin.

Donato nie jest bez winy, pomyślał David, przemierzając plac Świętego Marka. Już ubabrał się po łokcie, a jeszcze nie wyjaśnił sprawy. Możliwe że, że Avano. Bardzo możliwe, aczkolwiek suma zapisana pod jego nazwiskiem zakrawała na kradzież kieszonkową w porównaniu z tym, co zagrabił Donato.

No i Avano nie żyje od czterech miesięcy.

Podszedł do jednego z wolnych stolików w pasaŜu. Usiadł wygodnie i przez jakiś czas przyglądał się tylko, jak turyści przechadzają się po starym weneckim bruku, jak wchodzi do katedry i z niej wychodzą.

Avano doił firmę, pomyślał. To pewne. Ale dokumenty spoczywające teraz w teczce Davida dowodziły powagi problemu. To Donato był oszustem na wielką skalę.

A Margaret? Nic nie wskazywało na jej udział w defraudacji przed awansem.

CzyŜby tak szybko dała się przekabacić? A moŜe wykryła fałszywe zlecenie i tym samym zapracowała sobie na niechybną śmierć?

Tak czy owak, miejsce Donata Giambellego będzie musiał zająć ktoś inny.

Trzeba doprowadzić do końca dochodzenie, zatkać wszystkie przecieki. Z pewnością zabawi we Włoszech dłuŜej.

Zamówił kieliszek czerwonego wina, sprawdził godzinę, wyjął telefon komórkowy.

- Maria? Tu David Cutter. Czy mógłbym prosić Pilar?

- Chwileczkę, panie Cutter.

Usiłował sobie wyobrazić, gdzie teraz jest w domu, co robi. Łatwiej mu ją było sobie przedstawić siedzącą z nim o szarówce, w rzucanym przez kopułę katedry cieniu na kształt strzały, wśród turkoczających wokół, poderwanych do lotu gołębi.

- David?

Uśmiechnął się, kiedy usłyszał, Őe biegła zdyszana do telefonu.

- Właśnie siedzę na placu Świętego Marka. - Wziął do ust łyk wina. - Piję interesujące chianti i myślę o tobie.

- Gra jakaś muzyka?

- Niewielka orkiestra po drugiej stronie placu gra kawałki z amerykańskich musicali. Ale to mi tylko zakłóca nastrój.

- Mnie nie.

- Jak dzieci?

- Maddy wczoraj przyszła do mnie do oranŜerii i udzieliła mi lekcji z fotosyntezy. Theo zerwał z dziewczyną.

- Z Julie?

- Julie to jego panna z zeszłej zimy. Davidzie. Ech, nie jesteś na bieŚaco! Z

Carrie. Błaznował przez dziesięć minut. Zaklinał się, Őe koniec z dziewczynami i Őe poświęci całe Őycie muzyce. A co u ciebie?

- Trochę lepiej, bo mogłem porozmawiać z tobą. Powiedz dzieciom, Őe wieczorem do nich zadzwonię. Około szóstej waszego czasu.

- A nie wiadomo jeszcze, kiedy wracasz?

- Jeszcze nie. Wystąpiły pewne komplikacje. Tęsknię za tobą, Pilar.

- Ja za tobą teŚ. Wypij spokojnie wino, posłuchaj muzyki. Będę sobie wyobraŚała ciebie.

- A ja ciebie. Pa.

Po odłoŚeniu słuchawki rozmarzył się przy winie. Kiedy rozmawiał z Pilar o dzieciach, czuł, Őe ma rodzinę. A na tym właśnie mu zaleŚało. Znów chciał mieć rodzinę.

W jednej chwili odstawił wino. Zapragnął, Őeby Pilar została jego Őoną. Za szybko? - zastanowił się. Za duŚo?

Nie, nie za szybko.

Wszedł po schodach zatłoczonego mostu na Rialto, gdzie tuŚ nad wodą gnieździły się małe sklepiki. Przepchnął się obok kramów z wyrobami skórzanymi i podkoszulkami. Tam zaczynał się ciąg witryn opływających złotem i kamieniami.

Blask raził w oczy.

Skręcił, spojrział na jeszcze jedną wystawę. I wtedy go zobaczył.

Pierścionek z pięcioma drogocennymi serduszkami o mieniących się subtelnymi barwach. Pięć kamieni, po jednym dla kaŚdego z nich i ich dzieci.

Niebieski to pewno szafir, czerwony - rubin, zielony - szmaragd. Nie był tylko pewien fioletowego i złotego. Ale czy to waŚne? Był idealny.

Po półgodzinie wyszedł z pierścionkiem w kieszeni i wygrawerowaną na nim datą kupna. Chciał, by wiedziała, Őe znalazł go tego wieczoru, kiedy siedział na placu Świętego Marka, światła dnia przygasały, rozmawiał z nią przez telefon.

Wszedł do ulicznej trattorii. zamówił turbota, pół karafki firmowego białego wina i niespiesznie zjadł obiad. Uśmiechnął się ze wzruszeniem do pary najwyraźniej spędzającej tu miodowy miesiąc, zapatrzył się na małego chłopca, który odbiegł od rodziców, Őeby czarować kelnerki. Pewno typowa reakcja zakochanego męŚczyzny, którego wszystko i wszyscy cieszą.

Kiedy wrócił do centrum miasta, większość placów już opustoszała. Tu i ówdzie błyskało światło gondoli wiozącej turystów bocznym kanałem. Minął

kolejny most. Podniósł wzrok, kiedy nad głową zobaczył światło z okna. Uśmiechnął się do młodej kobiety, która zaczęła wciągać pranie łopoczące w delikatnym wietrze.

Dostrzegła jego spojrzenie, roześmiała się, wesoło, flirciarsko.

Zatrzymał się, odwrócił, bo chciał coś do niej zawołać. I zapewne ten gest ocalił mu życie.

Poczuł ból, nagły straszliwy ogień w ramieniu. Usłyszał stłumiony trzask.

I leciał, leciał w przepaść, aś padł. skrwawiony i nieprzytomny, na zimne kamienie weneckiej uliczki.

- MIAŁ pan szczęście, panie Cutter.

David usiłował się skupić. Lekarze najwyraźniej nieźle go musieli nafaszerować lekami, bo nic czuł zupełnie bólu. A bardzo chciałby coś poczuć.-

Trudno mi się z panem w tej chwili nie zgodzić. Przepraszam, ale umknęło mi pańskie nazwisko.

- DeMarco. Porucznik DeMarco. Pański lekarz twierdzi, że musi pan wypoczywać. Ale zadam tylko kilka pytań.

David chciał się podciągnąć.

- Pierścionek dla Pilar. Kupiłem pierścionek - zaniepokoił się.

- Proszę się uspokoić. Mam pierścionek, portfel, zegarek. - DeMarco był nieco zażywnym, łysiejącym mężczyzną o bujnych czarnych włosach. Władał wyszukaną angielszczyzną.

- Zauważył pan kto do pana strzelał?

- Nie. - David się skrzywił. - Pewnie straciłem przytomność.

- Po co przyjechał pan do Wenecji?

- Jestem dyrektorem w firmie Giambelli-MacMillan.

- Aaa, czyli pracuje pan dla Signory.

- Owszem.

- Czy zna pan kogoś w Wenecji, kto mógłby panu źle życzyć?

- Nie. - I natychmiast przyszedł mu do głowy Donato. - Nie - powtórzył. - Nie znam nikogo, kto

mógłbyście mnie zastrzelić na ulicy. Podobno ma pan moje mienie, panie poruczniku. Pierścioneł, portfel, zegarek. Teczke.

- Ńadnej teczki nie znaleźiono. - DeMarco odchylił się w krześle. - Co było w tej teczce?

- Dokumenty firmy - odparł David i zamknął oczy. - Muszę zadzwonić do dzieci.

MIMO sprzeciwów Elego i Pilar, Tereza Giambelli pozwoliła dzieciom Davida wziąć udział w spotkaniu na szczycie. Miały prawo wiedzieć, dlaczego postrzelono ich ojca.

Uśmiechnęła się do nich. siadając za biurkiem.

- JeŜeli lekarze się zgodzą, wasz ojciec wróci juŜ za kilka dni. Tymczasem rozmawiałam z oficerem prowadzącym śledztwo. Byli świadkowie. Mają rysopis napastnika. ChociaŜ nie sądzę, by go znaleźli ani Ńeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

- Jak pani moŜe tak mówić? - Maddy zerwała się z krzesła. Oczy juŜ miała suche. - PrzecieŜ strzelał do naszego taty.

- Sądzę mianowicie, Ńe został tylko wynajęty. Ńeby odebrać twojemu ojcu dokumenty. David wykrył, Ńe mój kuzyn Donato odprowadzał pieniądze z firmy na fałszywy rachunek.

Sophia poczuła ukłucie w sercu.

- Czyli cię okradał?

- Nas okradał. Spotkał się na moje polecenie z Davidem i zorientował, Ńe niebawem jego machinacje wyjdą na jaw. Tak wyglądała jego odpowiedź. Moja rodzina wyrzuciła wam krzywdę - zwróciła się do Thea i Maddy.

Theo zacisnął usta.

- Czy Donato siedzi w więzieniu?

- Nie. Uciekł. Szukają go. - W jej głosie brzmiała pogarda. - Zostawił Ńonę i dzieci, ale klnę się, Ńe go znajdą i Ńe poniesie karę.

- Potrzebny jest teraz w Wenecji ktoś, kto tam posprząta. - Sophia wstała. -

Jeszcze dziś wieczorem tam jadę.

- Nie naraŜę kolejnej osoby z rodziny.

- Babciu, jeŜeli Donato wymyślił jakiegoś klienta, Ńeby odkradać firmę, to miał pomoc w postaci mojego ojca. A to tak samo moja krew - ciągnęła po włosku -

jak twoja. Nie odmówisz mi prawa do zemsty. - Zaczepnęła tchu, przeszła na angielski. - Jadę tam

jeszcze dzisiaj.

- Do diabła - zaklął Tyler. - Jedziemy razem.

- Niepotrzebny mi anioł stróż.

- Mamy w tym takie same udziały, Giambelli. Skoro ty jedziesz, to i ja.

- Zgoda. - Tereza zignorowała syknięcie Sophii.

- Mamo - spytała Pilar. - A co z Giną i jej dziećmi?

- Zajmiemy się nimi. Mniejsza o grzechy ojca. - Tereza przeniosła wzrok na Sophię. - Wierzę w dziecko.

Davida zwolniono ze szpitala albo, gwoli ścisłości, zwolnił się sam. Miał

dosyć lekarzy. Ponadto nawet we Włoszech nie mieli smacznej szpitalnej kuchni.

Nie było mu zbyt łatwo lawirować po zatłoczonych weneckich uliczkach z ręką na temblaku, toteż po powrocie do mieszkania ramię bolało go niemiłosiernie i chwiał się na nogach. Łapiąc powietrze, oparł się o ścianę przy drzwiach, a jednocześnie próbował lewą ręką wsunąć klucz do zamka. Ale drzwi same się otworzyły.

- A, jesteś! - Sophia ujęła się pod boki. - Czyś ty rozum postradał? Uciekłeś ze szpitala, pałasz się sam po Wenecji. Jesteś błąd jak płótno. Faceci to kretyni!

- Dzięki. Wpuścisz mnie? Bo to chyba nadal moje mieszkanie.

- Tyler cię teraz szuka. - Ujęła go pod zdrową rękę, wprowadziła do środka. -

Zamartwialiśmy się na śmierć, bo wstąpiliśmy po drodze do szpitala i dowiedzieliśmy się. Śeś się wypisał wbrew zaleceniom lekarzy.

Usiadł na fotelu.

- A coś ty tu robiła? Dobrze się bawiłaś?

- Wyjechaliśmy wczoraj wieczorem. Prawie nie zmrúżyłam oka, więc nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości.

Odkorkowała butelkę.

- Co to takiego?

- Środek przeciwbólowy. Zwiąłeś ze szpitala bez recepty. - Podeszła do małej lodówki po butelkę wody. - Davidzie, tak mi przykro.

- Aha, mnie teŜ. Dzieciaki w porzdku?

Podaa mu wod.

- W porzdku. Martwi si o ciebie. Ale Theo juŜ zaczął uwaŜa, Őe to kapitalnie brzmi - postrzelony ojciec. A Maddy przebkuje o tym, Őebyŝ zachowa t kul. Moja mama twierdzi, Őe pewno chce j przebada.

- Moja krew! A powiedz mi, Sophio, Pilar bardzo si przejmuje?

- Pewnie, Őe tak. No chodź, zapakuj ci do oŝka.

Wspar si mocno na Sophii, kiedy prowadzia go ostroŝnie w stron sypialni.

Gdy Tyler wrci, gotowaa minestrone. Omal go to z ng nie zwaio, Őe Sophia krzta si po kuchni.

- On juŜ tu jest - powiedziaa, nie ogldajc si za siebie. - Őpi.

- Mwiem ci, Őe da sobie rad.

- Owszem. Przedtem teŜ si spisa na medal, Őe da si postrzeli, prawda?

Zostaw t zup - przestrzega. - To dla Davida.

- Wystarczy dla wszystkich.

- Jeszcze nie jest gotowa. Powinieneŝ by pojecha do winnicy. MoŜesz dziŝ przenocowa w *castello*. Przeŝl mi dane poczt elektroniczn. Mog tu pracowa na komputerze.

- Nieźle sobie wykombinowaaŝ.

- Nie przyjechaliŝmy tu w celach turystycznych.

Wysza z kuchni. Odczeka, Őeby chwil ochona, po czym ruszy za ni do maego gabinetu.

- MoŜe powiedzmy to sobie wprost. Wiem, dlaczego nie chciaaŝ, Őebym tu z tob przyjeŝdŝa.

- Coŝ takiego? - Waczya komputer. - MoŜe dlatego, Őe mam mnstwo roboty jak na tak krtki czas?

- MoŜe si boisz, Őebym zanadto si do ciebie nic zbliŝy. - Uj j pod brod, Őeby musiaa na niego spojrze. - Nie chcesz, Őebym zanadto si zbliŝy, prawda, Sophio?

- Powiedziaabym, Őe i tak jesteŝmy blisko. I to od pocztku by mj pomys.

- Seks, moja droga, to atwizna. Nie sprowadzaj wszystkiego do tej jednej rzeczy.

Za szybko dziaa, pomyŝlaa. Za duŝo chce. Gdyby nie trzymaa kierownicy w rku, ciekawe, czy

utrzymałaby obrany kurs.

- Inne dziedziny to za duŜo kłopotu.

- MoŜe w tym po trosze tkwi problem.

Podszedł do drzwi.

- Ja wrócę.

Sporunowała go wzrokiem.

- JeŜeli o mnie chodzi, nie musisz się spieszyć.

Dlaczego ten facet nigdy nie robił tego, czego od niego naprawdę oczekiwała.

Kierowali się tylko niemal zwierzęcym poŜądaniem. Łączył ich fenomenalny seks. Zdawało jej się, Ŝe jemu ciut przejdzie, ale nie.

A jeŜeli jej zmartwienie wynika stąd. Ŝe i jej jakoś nie przechodzi? Nigdy nie miała zamiaru wdawać się w coś powaŜniejszego z Tylerem MacMillanem.

Teraz dostała szału na wieść o tym, Ŝe on miał inne zamiary.

Co gorsza, nie mylił się w ocenie jej osoby. Była wściekła, czuła się oszukana, bezradna, wolałaby, Ŝeby Tyler był teraz dziesięć tysięcy kilometrów od niej, w Kalifornii. Właśnie dlatego, Ŝe tak strasznie chciała go mieć u swego boku. I móc się na nim wesprzeć.

Ale nic z tego. Nie podda się. ChociaŜ jej rodzina znalazła się w tarapatkach, a firma, którą tak kochała, przechodziła kryzys.

Sophia nie będzie się wspierała na nikim.

Donato pocił się niemiłosiernie. Drzwi na taras były otwarte na ościeŜ, do pokoju wpadała chłodna bryza znad jeziora Como, ale niewiele to pomagało. Tyle Ŝe pot zamieniał się na nim w lód.

Odczekał, aŜ kochanka zaśnie, po czym wymknął się do sąsiedniego saloniku.

Z radością przyjęła to, Ŝe porwał ją do eleganckiego kurortu nad jeziorem. Przemyślał

wszystko, dał jej specjalnie śmiesznie małą sumę w gotówce, Ŝeby zapłaciła za hotel swoją kartą kredytową.

Sądził, Ŝe przechytrył wszystkich. Dopóki nie obejrzał wiadomości. I nic zobaczył w nich własnej twarzy. Dobrze przynajmniej, Ŝe kochanka śpi w salonie.

Nie mogą tu zostać. Ktoś go moŜe rozpoznać.

Natychmiast potrzebna mu była pomoc, ale znalazł tylko jednego takiego człowieka.

Ręce trzęsły mu się niemiłosiernie, kiedy wykręcał numer do Stanów Zjednoczonych.

- Tu Donato.

- Czekałem na twój telefon. - MęŜczyzna spojrzał na zegarek. Czyli Giambelli tak się spocił o trzeciej nad ranem. - Bardzo byłeś ostatnio zajęty, Don.

- Oni uwaŜają, Őe postrzeliłem Davida Cuttera.

- Wiem.

- Ale to nie ja. Mogę to udowodnić - szepnął zrozpaczony.

- MoŜesz? Oficjalna wersja brzmi, Őe wynająłeś kogoś do brudnej roboty.

- Wynająłem? Jak to? Őeby go zastrzelić? PrzecieŜ sam powiedziałeś, Őe krzywda się juŜ dokonała.

- Ja to tak widzę. - Szło znacznie lepiej, niŜby przypuszczał. - Zabiłeś dwie osoby, a moŜe trzy, licząc Avana. No więc, co znaczy kolejny David Cutter?

- Potrzebuję pomocy. Muszę dać nogę z kraju. Mam pieniądze, ale za mało. I potrzebny mi paszport na nowe nazwisko.

- Wszystko ładnie, pięknie. Don, ale dlaczego zwracasz się z tym do mnie?

Przeceniasz moje moŜliwoœci i zainteresowanie twoją osobą. Ta rozmowa narusza nasze wiêzi słuŜbowe.

- Nie moŜesz teraz umyć rąk. JeŜeli zgarną mnie, zgarną i ciebie.

- Nie łudź się. Zadbalem juŜ o to, Őeby Őaden, nawet najmniejszy, trop nie prowadził do mnie. Na twoim miejscu wziąłbym dupę w troki, i to bardzo szybko.

OdłoŜył słuchawkę, nalał sobie wina i zapalił papierosa. Następnie wziął znów do ręki telefon i zadzwonił na policjê.

RozdraŐniło ją to. Wykorzystał to, Őe była odurzona po bezsennej nocy. I z Őelazną logiką przekonał ją, Őeby pojechała z nim na północ, spędziła dzieñ lub dwa w *castello*.

AŜ ją zapiekło, Őe tak idiotycznie dąsa się na niego przez całą drogę. W

dotadku zirytowało ją, Őe w ogóle się tym nie przejął.

- Ale bierzemy osobne pokoje - uprzedziła. - Pora przyhamować tę sferę naszej znajomości.

- W porządku.

Juś otworzyła usta, żeby mu dopiec, ale na to jego rzucone od niechcenia słowo przyzwolenia pozostały rozdziawione.

- No to dobrze - wykrztusiła.

- To dobrze. Wiesz, że w Kalifornii soki puściły o kilka tygodni wcześniej.

Wczoraj rozmawiałem z kierownikiem produkcji. Juś widać załaziła pączków. Jeśli pogoda się utrzyma, zawiązki będą normalne. To przeistaczanie się kwiatu w grono.

- Wiem, co to są zawiązki - wycedziła przez zęby.

- Och, podtrzymuję tylko rozmowę.

Skręcił z głównej drogi w polną wśród łagodnych wzgórz.

- Przepiękna okolica. Nigdy nie widziałem jej wczesną wiosną. Ona widziała, ale prawie zapomniała. Spokojna zieleń wzgórz, piękny kontrast barwnych domów, długie rzędy winnych krzewów na łagodnych zboczach, pola słoneczników czekających na lato i dalekie góry rysujące się w oddali na tle błękitnego nieba.

Gwarne tłumy Wenecji znajdowały się o wiele kilometrów od tego małego serca Włoch, które było miarowo, karmione słońcem i deszczem.

Popatrzyła na winiarnię - oryginalną kamienną budowlę wraz z przybudówkami. Jej prapradziadek postawił zrab. Potem syn dobudował więcej, następnie córka tego syna. Pewnego dnia może i ona coś tu dobuduje. Wielki, zgrabny *castello*, z kolumnami od frontu, długimi balkonami i wysokimi, sklepionymi łukowo oknami sprawował rządy na zboczu, nad polami falującymi jak rozkloszowane spódnice.

Cezare Giambelli walczył, pomyślała. Nie tylko o księgi, nie tylko o zyski. O

ziemię. O dobre imię rodu. Czowała to bardziej tutaj niż w kalifornijskich winnicach, niż

we własnym gabinecie. Tutaj, gdzie jeden człowiek zmienił swoje życie, a jednocześnie położył podwaliny dla jej życia.

Tyler zatrzymał wreszcie samochód naprzeciwko rozkwitających ogrodów.

- Pięknie tu - powiedział i wysiadł z auta.

Sophia wychodziła powoli, napawając się widokiem nie mniej niż zapachem wiszącym w powietrzu. Winne pędy płóły się po mozaikowych murach. Stara grusza kwitła jak szalona, sypiąc płatkami niczym śniegiem. Sophia przypomniała sobie nagle smak tego owocu, słodki i zwyczajny, smak dzieciństwa, sok spływający jej do gardła.

- Chciałeś, żebyś to poczuła - powiedziała.

- Sophio. - Wychylił się do niej w przyjacielskim geście. - Moim zdaniem, wiele czujesz. Ale wiem, że coś ci umyka, ginie z powodu twoich trosk. Kto się za bardzo skupia na danej chwili, traci z oczu szerszy plan.

- Czyli wyciągnęłaś mnie z Wenecji, żeby zobaczyć szerszy plan?

- Trochę tak. Sophio, teraz jest czas rozkwitu. Cokolwiek się dzieje, nie wolno tego przegapić.

Wrócił do samochodu, podniósł klapę bagażnika.

- Czy to metafora? - spytała.

- Jestem tylko hodowcą. Czy ja się znam na metaforach? - spytał.

To był długi lot, najpierw przez ocean, potem przez cały kontynent. David prawie całą podróż przespał. Marzył o powrocie do domu. A kiedy już wylądował na lotnisku w Napi, nawet krótka jazda samochodem wydała mu się zbyt długa.

Przebiegł płytę lotniska, wysiadł i ruszył w stronę czekającego nań kierowcy.

- Tato!

Z limuzyny wyskoczyli Theo i Maddy. Z uczuciem nagłej radości rzucił się do nich. Chwycił Maddy zdrową ręką, ale kiedy chciał objąć Thea, ostry ból przeszył mu ramię.

- Wybacz, synu, mam chore skrzydło.

Zdumiał się i ucieszył, kiedy Theo go ucałował. Nie pamiętał, kiedy ten chłopak, teraz już młody mężczyzna, ostatnio obdarzył go pocałunkiem.

- O Boże, tak się cieszę, że was widzę. - Ucałował córkę, przytulił syna. - Tak się cieszę.

- Nigdy więcej nam tego nie rób. - Maddy wtuliła mu się pod pachę. - Nigdy!

- Obiecuję. Nie płacz, kochanie. Już dobrze.

Theo odchrząknął.

- Przywiozłaś nam coś?

- Słyszałaś o Ferrari?

- O rany, tato! Chcesz powiedzieć...

Theo spojrzał w stronę samolotu, jak gdyby spodziewał się, że zaraz wylądują z niego zgrabniutki włoski sportowy samochódzik.

- Po prostu byłem ciekaw, czy słyszałaś. Ale przywiozłem jakieś drobiazgi, które się mieszczą do

walizki. A jeśli będziesz je targał jak dobry niewolnik, to w ten weekend jedziemy kupić ci auto.

Chłopakowi szczęka opadła.

- śartujesz?

- No, wprowadzie nie ferrari, ale nie Śartuję. Chodźmy juŚ... Obejrzał się na samochód.

Obok stała Pilar. Wiatr rozwiewał jej włosy. Kiedy ich oczy się spotkały, ruszyła w jego stronę. Po chwili juŚ biegła.

Maddy spojrzała na nią, po czym wykonała pierwszy chwiejny krok w kierunku dorosłości, mianowicie odsunęła się na bok.

- Dlaczego ona teraz płacze? - spytał Theo, kiedy Pilar wczepiła się w jego ojca rozszlochana.

- Kobiety zawsze płaczą dopiero po wszystkim - wyjaśniła Maddy, wpatrzona, jak tata wtula twarz we włosy Pilar. - Zwłaszcza w waŚnych sprawach. A ta jest waŚna.

Godzinę później siedział na kanapie w salonie pojanya herbatą. Maddy usadowiła się u jego stóp, z głową na kolanie ojca, i bawiła się naszyjnikami, który jej przywiózł z Wenecji. Theo nadział na nos markowe okulary słoneczne. Raz na jakiś czas zerkał do lustra, Śeby oszacować swój europejski sznyt.

- Muszę juŚ iść. - Pilar przechyliła się przez poręcz kanapy, ustami musnęła włosy Davida. - Jeszcze raz witaj w domu.

MoŚe i był ranny, ale zdrowa ręka zadziałała szybko. Chwycił ją za ramię.

- Gdzie się tak spieszysz?

- Masz za sobą długi dzień. Będzie nam was brakowało - zwróciła się do Maddy i Thea. - Koniecznie do nas wpadajcie.

Maddy otarta się policzkiem o kolano Davida.

- Tato, nie przywiozłeś pani Giambelli prezentu z Wenecji?

- A, właśnie, byłbym zapomniał.

- Och, co za ulga. - Pilar uściskała jego zdrowe ramie. - To dasz mi jutro.

Teraz musisz odpocząć.

- Odpoczywałem przez dziesięć tysięcy kilometrów. I juŚ nie wleję w siebie więcej herbaty. Bądź tak dobra, zanieś to do kuchni i daj mi minutkę z dziećmi?

- Jasne. Wpadnę jutro, żeby zobaczyć, jak się czujesz.

- Nie uciekaj - poprosił, kiedy wychodziła z tacą. - Poczekaj. Przesunął się na kanapie, usiłował znaleźć właściwe słowa.

- Theo, usiądź na chwilę.

Theo posłusznie osunął się na kanapę.

- Moglibyśmy obejrzeć kabriolety? Fajnie byłoby pobrykać z odsuniętym dachem.

- Jak rany. Theo. Nie dostaniesz kabrio, jak tylko wyznasz tacie, że chcesz rwać towarek. Zresztą, zamknij się teraz, żeby tata mógł nam powiedzieć, że chce się ożenić z panią Giambelli.

Davidowi uśmiech spłynął z twarzy.

- Jak ty to robisz? - spytał. - To chyba sprawka duchów.

- E, kieruję się tylko logiką. Bo to nam właśnie chciałeś powiedzieć, prawda?

- Chciałem z wami o tym porozmawiać.

- Tato. - Theo poklepał ojca po męsku. - Spoko.

- Dziękuję. Theo. A ty, Maddy?

- Kiedy ktoś ma rodzinę, nie powinien jej opuszczać. Czasem ludzie tego nie respektują... - Pokręciła głową. - Ale ona zostanie, ponieważ tego chce. To lepsze rozwiązanie.

CHWILĘ później odprowadzał Pilar do domu. Szli obrzeżem winnicy.

Księżyc pomału wschodził.

- Och. Davidzie, znam drogę. Zresztą nie powinieneś w tym stanie wychodzić.

- Chciałem mieć trochę ruchu, no i trochę czasu z tobą.

Spletli razem palce.

- Tak nie chciałam się rozkleić na lotnisku, naprawdę.

- Chcesz znać prawdę? Mnie się to podobało. Męszczyźnie bardzo pochlebia, jeżeli kobieta przez niego płacze.

Uniósł ich splecione dłonie do ust.

- Pamiętasz nasz pierwszy wieczór? Kiedy tu się na ciebie natknąłem. Niech to licho, tak ślicznie wyglądałaś. I byłaś taka wściekła. Gadałaś do siebie.

- Aha, wybiegłam na papierosa, żeby trochę ochłonić - przypomniała sobie. - I strasznie się spieszyłam, że przyłapał mnie na tym nasz nowy dyrektor.

- Nowy, niezmiernie atrakcyjny dyrektor.

- żebyś wiedział.

Przystanął, przyciągnął ją do siebie.

- Pamiętasz, jak zadzwoniłem do ciebie z placu Świętego Marka?

- No jasne. Tego wieczoru...

- Ciii. - Przyłożył jej palec od ust. - Po odłożeniu słuchawki siedziałem tam, myśląc o tobie. I rozumiałem.

Wyjął z kieszeni pudełeczko. Poczula jakiś ciężar na piersi.

- Och. Davidzie. zaczekaj.

- Nie odtrącaj mnie. Nie odwołuj się do rozumu ani do logiki. Po prostu za mnie wyjdź. - Przez chwilę się mocował, po czym roześmiał się nerwowo. - Nie mogę otworzyć. Pomóż mi.

Przeniknął ją na wskroś spojrzeniem pełnym miłości i szczerego rozbawienia.

- Davidzie, oboje mamy to za sobą. Twoje dzieci już zostały skrzywdzone.

- My niczego nie mamy. I nie skrzywdzisz moich dzieci, bo jak podsumowała to moja dziwna i cudowna córka, nie zostaniesz z nami dlatego, że powinnaś, tylko dlatego, że tego chcesz. A to lepsze rozwiązanie.

Ciężar spadł jej z piersi.

- Ona tak powiedziała?

- Tak. A Theo, urodzony milczek. powiedział tylko „spoko”. Mgła przesłoniła jej oczy.

- Obiecałeś mu kupić samochód. Teraz powie ci wszystko, co chcesz usłyszeć

- chlipnęła.

- No więc, widzisz, dlaczego cię kocham? Bo go sobie owinęłaś wokół palca.

- Davidzie. dobiegam prawie pięćdziesiątki i wcale... - Nagle wszystko wydało jej się nieważne. - Widocznie musiałam to jeszcze raz powiedzieć.

- Pilar. niezależnie od tego, co masz w metryce, ja cię kocham. Chcę spędzić resztę życia z tobą. Tylko pomóż mi otworzyć to cholerne pudełko.

- Chętnie. - Poczula dziwną lekkość. - Aleś piękny. - Policzyła kamienie, zrozumiała ich wymowę. - Idealny.

Wsunął jej na palec.

- Tak właśnie myślałem.

CZEŚĆ CZWARTA

Czas owocowania

Tyler wrócił ubłocony, czuł piekący ból w krzyżu, miał też brzydkie zadrapanie na lewej ręce.

Ale był w siódmym niebie.

Tutejsze góry nie różniły się od postrzępionych szczytów w jego rodzimej Kalifornii. Wprawdzie tam gleba była ściwirowa, a tu skalista, ale wystarczająco zakwaszona, by rodzić delikatne wina.

Tyler wrócił między rzędami winorośli do wielkiego domu. Pomógł

zainstalować nowe rury ze zbiornika wodnego. System był sprawny, dobrze zaprojektowany, a godziny spędzone z personelem dały mu okazję do zasięgnięcia języka na temat Donata.

Bariera językowa stanowiła mniejszy problem, niż przypuszczał. Przy śyczliwej pomocy licznych tłumaczy Tyler nieźle się zorientował w sytuacji. Nikt tu nie traktował Donata Giambellego poważnie.

Cienie wydłużały się ku zachodowi. Woda w ogrodzie tryskała / fontanny strzeżonej przez Posejdoną. Włosi uwielbiają tych swoich bogów i fontanny, pomyślał. Przeszedł między mozaikowymi ścianami pełnymi płaskorzeźb przedstawiających kształtne nimfy i ruszył schodami otaczającymi basen z pływającymi liliami.

A z niego na podobieństwo Wenus wynurzyła się Sophia. Miała na sobie czarny kostium kąpielowy opinający zgrabnie ciało. Włosy spięte do tyłu, w uszach coś pobłyskiwało. pewno brylanty.

Wiedziała, że przygląda jej się badawczo, jak to on, kiedy wkładała szlafrok frotte. Bardzo ją to podekscytowało.

- Och, Tylerze, jesteś strasznie utyłany.

- Ummm. Muszę się napić.

- Skarbie, raczej musisz wziąć prysznic.

- Jedno nie wyklucza drugiego. Ogarnę się i za godzinę spotkamy się na centralnym dziedzińcu.

- Po co?

- Otworzymy butelkę wina i opowiemy sobie, jak minął dzień.

Chciałbym, żebyś się zajęła kilkoma sprawami.

- No dobrze. Bo ja też mam kilka spraw.

Kazała mu czekać, ale z tym się liczył. Przez ten czas zdołał wszystko przygotować. Świece na stole. Wybrał wino - delikatne, młode, białe - i udało mu się wybłagać jeszcze kanapki z kuchni.

Usłyszał jej kroki na posadzce, ale nie wstał. Uznał, że Sophia za bardzo przywykła do mężczyzn zrywających się w jej obecności na baczność. Albo padających jej do stóp.

- Co to ma wszystko znaczyć? Wskazał jej krzesło obok siebie.

- Kopanie rowów wprowadziło mnie w wyborny nastrój. - Podał jej kieliszek, trącił swoim. - *Salute*.

- Sama też trochę pokopałam. Służba w domu okazała się bardzo rozmowna.

Dowiedziałam się. że Don często wymykał się niepostrzeżenie. - Westchnęła. -

Najwyraźniej ma kochankę.

- Ktoś jeszcze go odwiedzał?

- Owszem. Mój ojciec. Kris. No i Jerry DeMorney. Jerry nienawidził mojego ojca.

- Dlaczego?

- Pytasz, jakbyś z księżycą spadł. Kilka lat temu mój ojciec miał burzliwy romans z jego żoną. To była tajemnica poliszynela. Ona rzuciła Jerry'ego albo on ją wyrzucił.

- Nic nie mówiłaś. A co teraz o tym sądzisz?

- Teraz układa mi się to w zgrabną całość: Donato, mój ojciec, Kris, Jerry. Nie wiem, kto tu kogo wykorzystywał, ale chyba Jerry przynajmniej wie coś na temat defraudacji, może też fałszerstw. Miał doświadczenie w winiarni, a firma Le Coeur bardzo skorzystałaby, gdyby Giambelli musieli walczyć z publicznym skandalem. Kris dostarczyła im plany mojej kampanii. Sabotaż korporacji, szpiegostwo gospodarcze - to nasz chleb powszedni.

- Ale nie zabójstwo.

- Fakt. Zabójstwo miałooby już wymiar osobisty. Jerry mógł zabić mojego ojca.

Łatwiej mi sobie wyobrazić jego z bronią w ręku niż Donata.

- Co zamierzasz dalej?

- Zadzwoń na policję, tutaj i w Kalifornii. Jutro jadę do Wenecji udzielić kilku wywiadów.

Ogłoszę, że Don zabił rodzinę, wyrażę nasz szok i ubolewanie, zapowiem bezwzględną współpracę z policją w nadziei, że sprawa znajdzie szybki finał, co oszczędzi jego niewinnej Sonie, małym dzieciom oraz biednej matce dalszych cierpień.

Sięgnęła po butelkę, dołała sobie.

- Pewno uważasz, że to zimny i wyrachowany krok.

- Nie. Co najwyżej trudny dla ciebie. Bo niełatwo takie rzeczy mówić z podniesionym czołem. Ale ty masz kręgosłup swojej babki. Sophio. O której wyjeżdżamy?

- Nie musisz ze mną jechać.

- Nie wygłupiaj się. To nie w twoim stylu. McMillanowie ucierpieli nie mniej niż Giambelli. Zrobimy większe wrażenie na dziennikarzach, jeżeli zadziałamy razem. Rodzina, firma, partnerstwo. Solidarność.

- Wyjeżdżamy punkt siódma.

- No, to zmienmy tymczasem temat, wybierzmy coś bardziej przyjemnego.

- Wino i świece? - Odchyliła się, spojrzała w niebo. - I gwiazdy?

- Chciałbym cię teraz uwieść.

Zakrzuszyła się winem.

- Chciałbym się teraz z tobą kochać. Zacząć tutaj, powoli, a potem dalej, na górze, w tym wielkim łosiu w twoim pokoju.

- Kiedy będę chciała, żebyś się w nim znalazł, dam ci znać.

- No właśnie. - Nie spiesząc się, wstał, podniósł ją. - Naprawdę jesteś na mnie taka napalona?

- Napalona? Daj spokój, nie ośmieszaj się.

- Szalejesz na moim punkcie. - Objął ją, śmiejąc się, kiedy próbowała go odepchnąć. - Widziałem dzisiaj, jak kilka razy przyglądałaś mi się przez okno.

- Nie wiem. o czym ty mówisz. Może i wyglądałam przez okno.

- Patrzyłaś na mnie - ciągnął, przyciągając ją powoli do siebie.

- Tak samo jak ja na ciebie. - Skubnął ją delikatnie w szyję. - I tak samo cię pragnę. A nawet jeszcze bardziej. Łączy nas coś więcej niż posiadanie. Gdyby to było tylko to nie bałabyś się tak bardzo.

- Niczego się nie boję.

- Nie musisz. Bo ja cię nie skrzywdzę.

Potrząsnęła głową, ale on już wpił się w nią ustami. Delikatnie, ale stanowczo.

Nie, pomyślała, mięknąc, on jej nie skrzywdzi, za to ona może skrzywdzić jego.

- Tyler, posłuchaj - odezwała się, odpychając go. - Zaszła chyba pomyłka.

- Nie sądzę. Wiesz co? - Przyciągnął ją do siebie. - Chyba bez sensu się sprzeczać, skoro oboje wiemy, że mam rację.

- Przestań. Nie zaniesiesz mnie do domu.

Łokciem otworzył drzwi.

- Kiedy wrócimy do Stanów, powinnaś się wprowadzić do mnie.

- Wprowadzić? Czyś ty na głowę upadł? Puść mnie.

- Mam trzy puste garderoby. Powinno ci wystarczyć na ubrania. Zaniósł ją po schodach, do sypialni, kopnięciem zamknął za sobą drzwi.

- Tyler, nie mam zamiaru się do ciebie wprowadzać.

- Owszem, masz. - Puścił ją, znowu znalazła się na podłodze. - Boja tego chcę.

- Jeśli sądzisz, że obchodzi mnie co ty...

- Bo szaleję na twoim punkcie tak jak ty na moim. Czas powiedzieć to sobie jasno.

- Wybacz - powiedziała roztrzęsionym głosem. - Ale ja nie chcę.

- Przykro mi, ale nie ma od tego odwrotu. - Ujął jej dłoń w swoje ręce. - Ja się też o to nie prosiłem. Dajmy się ponieść. - Znow zbliżył usta do jej ust. - Tylko my.

Tylko on pomyślała. Chciała w to uwierzyć. żeby pokochać kogoś, czerpać z tego siłę i prawdę.

Najwyraźniej wierzyła w cuda.

Jego usta, gorące i zdecydowane, drążyły cierpliwie namiętność. Powolny, nieuchronny wzrost podniecenia przyniósł ulgę. Temu akurat mogła zawierzyć i to mogła mu dać.

Dała się porwać, kiedy położył ją na łóżku.

A on tylko podsycał ten śar. Tym razem z całą pewnością dokonał się akt miłości. Nie mogło się to odbyć inaczej niż w starym łóżku w *castel*, gdzie wszystko się zaczęło sto lat temu. Kolejny początek, kolejny sen. Spojrzał na nią... i już

wiedział.

- Czas rozkwitu - powiedział cicho. - Nasz czas.

Rozebrał ją powoli, dokładnie. Czy ona wreszcie poczuła, jak kruszą się bariery między nimi? Bo on czuł, wiedział na pewno, że się kruszą. I wyczuł

dokładnie tę właśnie chwilę, kiedy jej ciało poddało się sercu.

Nikt inny, pomyślał, zatracając się w niej, nigdy go tak nie otworzył. Splótł

dłonie z jej dłońmi, mocno ścisnął.

- Sophio, kocham cię.

Aż jej dech zaparło.

- Tyler, przestań, błagam.

Jego usta dotknęły jej warg. Czułe. Miażdżące.

- Kocham cię. - Nie odrywał od niej oczu. - Powiedz mi.

- Och, Tyler. - Serce jej waliło, omal nie wyskoczyło z piersi. Palce zacisnęły się mocniej na jego palcach. - Tylerze - powiedziała.

- *Ti amo.*

Podąła mu usta i dała się porwać w otchłań.

Porucznik DeMarco przejechał palcem po wąsach.

- Doceniam, że pani się pofatygowała, signorina. Przynosi pani ciekawe informacje, z pewnością się nimi zajmiemy.

- Co to znaczy, że się państwo zajmą? Mówię panu, że mój kuzyn wykorzystywał *castello* do kłosań z kochanką i do potajemnych spotkań z naszą konkurencją.

- Ale to nie jest zakazane prawem. - DeMarco rozłożył ręce.

- Ciekawe, a nawet podejrzane. Dlatego to sprawdzę. Ale spotkania nie były takie znów potajemne, skoro wiedziało o nich sporo osób zatrudnionych w *castello* oraz w winnicach.

- Nie wiadomo jednak, kim jest Jeremy DeMorney ani o jego powiązaniach z Le Coeur. To kuzyn obecnego prezesa tej firmy. Ambitny, inteligentny człowiek, który urządził do mojego ojca.

- Nie wątpię, że stosowne władze będą go chciały przesłuchać. Ale ja najbardziej koncentruję się na próbie zatrzymania Donata Giambellego.

- Który umyka panu juŜ od tygodnia - wytknęła mu Sophia.
- Dopiero wczoraj poznaliśmy toŜsamość towarzyszącej mu osoby. Na jej karcie kredytowej jest kilka znacznych wydatków. Nawet w tej chwili czekam na dalsze informacje.
- Oczywiście on korzysta z jej karty - zauwaŜyła Sophia. - Jest tak cwany, Őe zaciera wszystkie ślady i ucieknie z Włoch. Granica ze Szwajcarią znajduje się o kilka minut drogi od okręgu Como. StraŜnicy ledwo tam zerkają do paszportów.
- Szwajcarzy współpracują z nami. To tylko kwestia czasu.
- Czas to pieniądz. Moja rodzina od miesięcy cierpi z tego powodu osobiście, emocjonalnie i finansowo. Niech mi pan wierzy, Őe sama mam nadzieję dorwać Dona.
- Jest pani niecierpliwa.

- Przeciwnie, dotąd wykazywałam anielską cierpliwość. - Wstała. - A teraz czekam na rezultaty.

Uniósł palec, bo zadzwonił telefon. Po chwili zmieniła mu się mina. OdłóŜył słuchawkę, załóŜył ręce na piersi.

- No więc, ma pani swoje rezultaty. Szwajcarska policja właśnie aresztowała pani kuzyna.

Na ile Tyler znał tę kobietę, a trochę znał, to szykował im się dłuŜszy pobyt w Alpach.

Zgarnięto go w niewielkiej miejscowości wypoczynkowej w górach na północ od Chur, pod austriacką granicą. Teraz Donato siedział w szwajcarskiej celi i uŜalał

się nad swoim losem. Nie miał pieniędzy na wynajęcie adwokata, a wiedział, Őe musi jak najdłuŜej opierać się ekstradycji. Dopóki nie wymyśli jakiegoś wyjścia z tej opresji.

Zda się na łaskę Signory. Ucieknie do Bułgarii. Przekona władze, Őe tylko uciekł ze swoją kochanką.

Będzie gnił w więzieniu przez resztę Őycia.

W głowie juŜ mu się kręciło od tego myślenia. Podniósł wzrok i zobaczył

straŜnika przez kraty. Na wieść o tym, Őe ma gościa, wstał na miękkich nogach.

Przynajmniej Szwajcarzy pozwolili mu się ubrać, chociaŜ nie pozwolono mu włoŜyc krawata, paska, nie miał nawet sznurowadeł w butach od Gucciego.

Przygłodził włosy, kiedy prowadzono go do sali widzeń. Na widok Sophii za szybą serce mu podskoczyło.

- Sophia! *Grazie a Dio*. Usiadł, wziął słuchawkę.

Wytrzymała jego histerię, błagania, zaprzeczenia, rozpacz. Im dłuŜej ciągnął, tym bardziej twardniała skorupa wokół jej serca.

- *Sto zitto.*

Donato istotnie umilkł. Pewno się zorientował, Ŝe Sophia przyjechała tu w imieniu babki i wyczytał w jej twarzy zaciętość.

- Nie obchodzą mnie twoje Ŝalodne tłumaczenia, Donato. Jestem tu, Ŝeby zadać ci kilka pytań. A ty mi odpowiesz.

- Sophio, musisz mnie wysłuchać...

- Niczego nie muszę. Mogę wstać i wyjść. A ty nic. Zabiłeś mojego ojca?

- *In nome di Dio!* Chyba w to nie wierzysz?

- W tych okolicznościach wierzę. Okradałeś rodzinę.

Kiedy zaczął się wypierać, Sophia odłoŜyła słuchawkę. Rozhisteryzowany Don uderzył w szybę, zaczął krzyczeć. Gdy ruszyli do niego straŜnicy, znów podniosła słuchawkę.

- No więc, dobrze, okradałem. Pobłądziłem, byłem bardzo głupi. To wszystko przez tę Ginę. WciąŜ dopominała się o więcej. Więcej dzieci, więcej pieniędzy, więcej wszystkiego. Tak, wziąłem pieniądze, ale, *cara* Sophia, nie pozwól im więzić mnie z powodu pieniędzy.

- Tu nie chodzi tylko o pieniądze. Sfałszowałaś wino. I zabiłeś starszego, niewinnego człowieka.

- Przysięgam, Ŝe to był wypadek. Chciałem mu tylko trochę zaszkodzić. Bo wiedział... Bo widział... Pomyliłem się.

Roztrzęsioną ręką tarł sobie twarz.

- Co wiedział, Donato? Co widział?

- Moją kochankę w winnicy. Nic pochwalał czegoś takiego, mógł się wygadać przed ciotką Terezą.

- JeŜeli masz mnie za idiotkę, to gnij sobie tutaj.

- Przysięgam, to był błąd. Dałem się nabrać. - W rozpacz sięgnął do kołnierzyka. Zaczął się dusić. - Mieli mi za to zapłacić. Gdyby doszło do skandalu w prasie, do spraw sądowych, dostałbym więcej. Baptista widział... ludzi, z którymi rozmawiałem. Błagam cię, Sophio. Byłem bardzo rozgoryczony. Tak cięŜko pracowałem, a tu...

- A tu babcia zmieniła strukturę firmy.

- No właśnie, a czy wynagrodziła mi lata cięŜkiej harówki? Nie. - Szczerze oburzony, uderzył

pięścią w stół. - Awansowała Amerykankę, która teraz mnie przesłuchuje.

- Dlatego zabiłeś Margaret i usiłowałeś zabić Davida?

- Nie, nie, poczekaj. Z Margaret to był wypadek. Byłem w rozpaczy.

Przeglądała papiery. Chciałem to jedynie opóźnić. Skąd miałem wiedzieć, że wypije tyle tego wina?

- A mój ojciec wiedział o zatruciu wina?

- Nie. Nic nie wiedział o tym fałszywym kliencie, bo nigdy nie miał czasu nawet spojrzeć w rachunki. Nie znał Baptisty, bo nie znał żadnego z robotników pracujących w polu. Dla Tony'ego firma była zabawą, a dla mnie - całym życiem.

Odchyliła się na krześle.

- Sprowadziłeś DeMorneya do *castello*, wzięłeś od niego pieniądze. Zapłacił ci za zdradzenie własnej rodziny.

- Posłuchaj - usłyszał głos do szeptu. - Trzymaj się z daleka od DeMorneya. To niebezpieczny człowiek. Cokolwiek zrobiłem, nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Ale jego nic nie powstrzyma.

- Mógł zamordować mojego ojca.

- Przysięgam na wszystkie świętości, że nie wiem. Ale jestem pewien, że chce zniszczyć całą naszą rodzinę. Posłuchaj - powtórzył, znów kładąc rękę na szybie. - To prawda, ukradłem. Zrobiłem, co mi kazał, z winem. Kiedy zrozumiałem, że Cutter mnie wyda, uciekłem. Twierdzą, że wynająłem jakiegoś zbira z ulicy, żeby go pukał

i ukradł papiery. To oszczerstwo. Niby po co? Dla mnie już gra była skończona.

Błagam cię, żebyś mi pomogła. I zaklinam, trzymaj się od niego z daleka.

Trzeba było odkręcić te wszystkie kłamstwa. Trzeba być twardą, pomyślała.

Nawet teraz, po tym wszystkim, co usłyszała, chciała wyciągnąć do niego pomocną dłoń. Ale nie pozwoliła sobie na to.

- Wierzysz mu?

Tyler wysłuchał jej do końca. Sophia krążyła po kabinie.

- Don to głupi człowiek, słaby i samolubny. Wierzę, że wmówił sobie, iż

signore Baptista i Margaret zginęli wskutek wypadku. Ale nie sądzę, by zabił ojca, albo by próbował zabić Davida.

- Czyli twoim zdaniem, to DeMorney.

- No bo niby kto, Tylerze?

- Nie jestem pewien. Nie pojmuję, po co twój ojciec miałby spotykać się u siebie z Jerryem ani po co Jerry miałby go zabijać. Podejmować tyle trudu, takie ryzyko.

- Policja musi go przesłuchać. Mimo że pomówienie wyszło z ust kogoś takiego, jak Donato. To krętacz i oszust, ale... - Urwała.

- Posłuchaj, w Nowym Jorku mamy międzylądowanie.

- Sophio, nic u niego nie wskórasz.

- To przynajmniej będę miała okazję plunąć mu w twarz.

Jerry DeMorney bardziej się rozbawił niż zdenerwował, kiedy ochrona z recepcji zawiadomiła go, jakich ma gości. Zwrócił się do swojej towarzyszki.

- Mamy gości. Twoja dobra znajoma.

- Jerry, jeszcze dwie godziny pracy przed nami. - Kris wstała z kanapy. - Kto taki?

- Twoja była szefowa. Może otworzymy butelkę pouilly-fuisse? Rocznik dziewięćdziesiąty szósty.

- Sophia. - Kris zerwała się na równe nogi. - Tutaj? Po co?

Rozległ się dzwonek.

- Zaraz się dowiemy. Podeszedł do drzwi.

- Co za miła niespodzianka! Nie wiedziałem, że jesteś w mieście. Już się przymierzał do tego, żeby cmoknąć Sophię w policzek, gdy Tyler chwycił go za koszulę.

- Tylko bez numerów - zagroził.

- Przepraszam. - Jerry uniósł ręce do góry, cofnął się. - Nie wiedziałem, że między wami coś się zmieniło. Wejdźcie. Właśnie miałem otworzyć wino. Oboje znacie Kris.

- Owszem. Czyli wszystko zostaje w rodzinie - przywitała się Sophia. - Widzę, że cieszysz się względami nowego pracodawcy. Kris.

- Znacznie bardziej wolę styl nowego szefa niż starego.

- Panie, proszę - zwrócił się do nich Jerry, kiedy zamknął drzwi.

- Jesteśmy w gronie profesjonalistów. Wiemy, że menedżerowie potrafią z dnia na dzień zmieniać firmy. Chyba nie przyszłaś tu, Sophio, żeby mi to wypominać.

W końcu Giambelli podkradli nam jednego z naszych najlepszych. Nawiasem mówiąc, słyszałem, że David omal się nie przekreślił w Wenecji. No i wstrząsnęła mną wiadomość na temat Donata. - Opuścił rękę na kanapę. - Po prostu wstrząsnęła.

- Oszczędź sobie tej błazenady, DeMorney - poprosił Tyler. - Odwiedziliśmy Dona przed wyjazdem z Europy. Powiedział nam ciekawe rzeczy o tobie. Chyba teraz dowie się tego policja.

- Doprawdy? Wierzę w nasz system prawny. Z pewnością policja nie da wiary majaczeniom faceta, który okradał własną rodzinę. Nastąpiły dla ciebie trudne chwile, Sophio. - Wstał ponownie.

- Gdybym mógł coś dla ciebie zrobić...

- Owszem, wynieść się do diabła, ale nie wiem, czyby cię u siebie przyjął. No i mógłbyś zachować większą ostrożność - ciągnęła.

- Zresztą ty też - dodała w stronę Kris. - Bawiąc w *castello*, w winnicy, niecznie wykorzystaliście Donata.

- Owszem, przyznaję. Ale nie przekroczyłem granic prawa. Sam się do mnie zgłosił. Omówiliśmy możliwość jego przejścia do Le Coeur.

- Kazałeś mu zatruć wino. Powiedziałaś, jak ma to zrobić. Tobie też

zapropozował za to pieniądze, Kris? Czy tylko samodzielny gabinet z błyszczącą mosiężną tabliczką?

- Nie wiem, o czym mówisz - oznajmiła Kris. - Nie miałam z tym nic wspólnego.

- Może i nie. W twoim stylu jest bardziej cios w plecy - skomentował Tyler. -

Przechodzisz kryzys, DeMorney. Przełatałeś krew. Ale byłeś śądny dalszej... i tu się zadławisz. Uderzenie w Cuttera było głupie. Adwokaci mieli kopie dokumentów i Don o tym wiedział. Gliny zaczynają zacieśniać krąg wokół ciebie.

- A wtedy. .. - Sophia nabrała na widelec resztki lasagnii. podczas gdy reszta rodziny, która się zebrała w kuchni Willi Giambellich, słuchała w napięciu. - Tyler podniósł rękę. Nawet nie zauważyłam, jak to się stało - cios spadł niczym grom z jasnego nieba. - Przełknęła łyk wina i ciągnęła dalej: - Raptem Jerry zbladł, postawił

oczy w słupek i złożył się jak... boja wiem... akordeon na podłodze. A ten nasz osiłek nawet się nie spocił. Wytrzeszczam oczy i stoję jak słupek. Na co Tyler uprzejmie podsuwa, że Jerry powinien przeświecić rękę, bo słyszał chrupnięcie kości.

- O Boże. - Pilar dołała sobie wina. - Naprawdę?

- Mhm. - Sophia przełknęła. Umierała z głodu. Z chwilą, gdy weszła do domu, poczuła ssanie w żołądku. - Usłyszałam trzask, jakby chrupnięcie nadepniętej gałązki.

Okropne. I wyszliśmy. Muszę przyznać... Eli, masz już pusty kieliszek. Muszę przyznać, że tak mnie to podnieciło, że kiedy znaleźliśmy się już w samolocie, rzuciłam się na niego.

- Sophio! - Tylerowi aż się gorąco zrobiło. - Siedź cicho i jedz!

- Wtedy się wcale nie wstydiłam - wytknęła mu. - A teraz, cokolwiek się stanie, zawsze będę miała w oczach widok Jerry'ego zwiniętego na podłodze jak krewetka w sosie. Nikt mi tego nie odbierze. Czy mamy lody?

Sophia spała jak suseł. Obudziła się wcześnie. O szóstej była u siebie w biurze, podredagowała notatkę dla prasy. A późniejszym rankiem już zaglądała do młodych upraw gorzycy w winnicy MacMillana.

Tyler długą chwilę musiał jej szukać między rzędami.

- Spóźniłaś się.

- Zatrzymały mnie ważne sprawy - wyjaśniła. - Musiałam zbałamucić dziennikarzy, zasięgnąć rady adwokata. Kolejny spokojny dzień dziedziczki winnic. A co u ciebie?

- Noc była zimna i mokra. Od tego może wdać się pleśń. Ale nie ma obawy.

Kiedy grona się już zawiążą, spryskamy po raz drugi siarką.

- To dobrze. Wiesz, mój drogi, że nawet nie pocałowałam mnie na dzień dobry?

- Bo pracuję. Chciałbym sprawdzić nowe sadzonki prowadzone przez starą destylatornię, sprawdzić kadzie fermentacyjne. A potem przewieziemy twoje rzeczy do mnie.

- Przecież mówiłam ci, że...

- No, ale skoro już tu jesteś... Pochylił się i pocałował ją.

- Musimy to omówić - powiedziała, po czym wyjęła z kieszeni dzwoniący telefon. - I to jak najprędzej - dodała. - Tak. Sophia Giambelli... *Chi?... Si, va bene.* -

Odsunęła telefon od ucha. - Dzwonią z biura porucznika DeMarco. Don dzisiaj trafił

do aresztu. - Znow przyłożyła telefon do ucha. - *Si, buon giorno. Ma che... Scusi?..* .

No, no.

Złapała Tylera za rękę i potrząsnęła gwałtownie głową.

- *Come!* - wykrztusiła. - Donato. - Spojrzała na niego z osłupieniem. -

E'morto.

Tyler nie musiał wcale prosić o przetłumaczenie tych słów. Wyjął jej z ręki telefon i zapytał spokojnie porucznika, jak zginął Donato Giambelli.

- Zawał serca. Nic miał jeszcze czterdziestu lat. - Sophia chodziła po pokoju. -

To moja wina. Pewnie ściągnęłam ich Donowi na kark.

- *Basta* - ucieła Tereza. - Jeśli okaże się, że zmarł od narkotyków albo że został zamordowany, będąc w rękach policji, to niczyja wina. Jakie życie, taka śmierć.

Nie pozwolę, żeby choć cień podejrzenia padł na mój dom. - Ujęła rękę Elego i przyłożyła do ust w geście, którego Sophia nigdy nie widziała. - Sprawiał mi wielki za-wód, ale kiedyś był uroczym chłopcem o pięknym uśmiechu. I teraz odprawiam śałobę po tamtym chłopcu.

- Babciu, pojedę do Włoch na pogrzeb.

- Nie, Sophio, musisz tu razem z Tylerem pilnować interesów i winnic. A Pilar musi zaplanować własny ślub. - Uśmiechnęła się do córki. - Eli i ja pojedziemy.

Przywiozę tu Ginę z dziećmi, jeśli zechce. I oby Bóg miał nas w swojej opiece, jeśli tak się stanie - dokończyła w uduchowionym tonie i wstała.

Maddy uwielbiała snuć się po centrum handlowym, spozierać na chłopaków, którzy kręcili się, wyłuskując dziewczyny, wydawać kieszonkowe na niezdrowe jedzenie i kolczyki. Sądziła, że zanudzi się na śmierć z trojgiem dorosłych w modnych sklepach z ubraniami.

Uznała jednak, że podbije tym serce ojca i dostanie zgodę na kolorowe pasemka, które chciała sobie zrobić. A jeśli wszystko dobrze rozegra, to może też

wyłudzi coś fajnego od Pilar.

O nudzie jednak nie było mowy. Fajnie się bawiła z Pilar. bo tak ją teraz nazywała, i z tą sędziwą. Nie przeszkadzały jej nawet rozmowy o ciuchach, materiałach, kolorach i krojach.

A kiedy zobaczyła, jak Sophia wpadła z rozwianym włosom, zarumieniona i szczęśliwa. Maddy doznała olśnienia. Mogłaby też być kimś takim jak Sophia Giambelli. kobieta, która robi dokładnie tylko to, na co ma ochotę, a jednocześnie wygląda wystrzałowo.

- Jeszcze niczego nie mierzyłaś, mamó?

- Nie. Czekałam na ciebie. Co, kochanie, sądzisz o tej jedwabnej niebieskiej?

- O, całkiem, całkiem. Cześć. Maddy. Cześć, ciociu Helen. - Wtem aś jęknęła.

- Och, mamó! Spójrz. Ta z koronki jest bajeczna. Romantyczna, szykowna. I w tym brzoskwiniowym będzie ci wspaniale do twarzy.

- No moŜe, ale nie za młodzięczo?

- Nie, nie. W sam raz dla panny młodej. Koniecznie przymierz. I do tego róŜowa bielizna, którą wybrała Helen.

- Gdyby jej się tak nie spieszyło, Őeby usidlić tego faceta, to zrzuciłabym pięć kilo, zanim się wbiję w suknię druŕny. Dasz mi czas na odessanie tłuszczu?

- Och, przestań ze mnie Őartować, Helen. No dobrze, zacznę od tych trzech.

Kiedy Pilar poszła do przymierzalni, Sophia zatarła ręce.

- Dobra, teraz twoja kolej.

Maddy aŜ zamrugwała ze zdziwienia.

- PrzecieŜ to sklep dla dorosłych.

- Masz pewnie ten sam rozmiar co ja. - Zmierzyła dziewczynę wzrokiem. -

Mama wybiera pastelowe, no to my teŜ. chociaŜ najchętniej ubrałabym cię w coś jaskrawszego.

- Lubię czerń - powiedziała Maddy, tak po prostu, dla zabawy.

- Aha, i nieźle ją nosisz. Ale na tę okazję poszerzymy ci horyzonty. O, ta mi się podoba. - I Sophia wyciągnęła długą prostą sukienkę bez rękawów w przydymionym niebieskim kolorze i przyłoŜyła do Maddy. - Dobrze by ci w niej było, gdybyś upięła włosy do góry. Odsłoniłabyś szyję i ramiona.

- A gdybym tak je obcięła? To znaczy włosy. Na krótko.

- Hm. - Sophia w myślach przycięła i ułoŜyła fryzurkę z prostej strzechy na głowie Maddy. - Owszem. Z przodu króciutkie, trochę dłuŜsze z tyłu. MoŜna by tu i ówdzie rozjaŕnić.

- Pasemka? - spytała Maddy, bo niemal zatkało ją z radości. - No, takie delikatne rozjaŕnienia. Jak twój tata wyrazi zgodę, to cię zabiorę do swojego fryzjera.

- Muszę pytać? PrzecieŜ to moje włosy.

- Niby tak. Zadzwońię do swojego salonu. - JuŜ podawała suknię Maddy, ale raptem zamarła. - Och, mamó.

- I co sądzisz? - Pilar na początek przymierzyła brzoskwiniową z kremową koronką przy dekolcie, spływającą subtelnym trenem.

- Helen, chodź, zobacz. Őlicznie w niej wyglądasz, mamó.

- Jak prawdziwa panna młoda - potwierdziła Helen.

- Maddy, a ty co powiesz?

- Wyglądasz kapitalnie. Tacie oczy wyjdą na wierzch.

Pilar promieniała.

- Œeby tak trafić od pierwszego razu!

Na tym jednak nie mogły poprzestać. Trzeba było zadbać o kapelusze, buty, biŜuterię, torebki, nawet bieliznę. JuŜ zapadł zmierzch, kiedy ruszyły z powrotem, cały багаŜnik miały zawalony torbami pełnymi zakupów. Maddy wzbogaciła się o stos nowych ciuchów, butów i niesłychaną fryzurę.

- Mamo. - Sophia postukała w kierownicę. - Ta dziewczyna naprawdę ma potencjał.

- Owszem. Ale umyvam ręce od tych butów z podwójną podeszwą. To twoja sprawka.

- Są fajne. Odlotowe.

- Aha. - Maddy uniosła nogę. - I podeszwy mają tylko dziesięć centymetrów.

- Nie pojmuję, Œe teŜ chce ci się na nich łamać nogi.

Sophia zerknęła na Maddy w lusterku.

- To taka matczyna uwaga. Wszystkie matki tak gadają.

- Œebyś wiedziała. Ale obie miałyście rację w sprawie fryzury. Œwietnie wygląda. - Pilar odwróciła się do Sophii, kiedy samochód skręcił za róg. - Mam jeszcze jedną matczyną uwagę, zwolnij trochę.

- Zaciągnijcie pasy. - Sophia wbiła ręce w kierownicę. - Coś złego dzieje się z hamulcami.

Pilar instynktownie zwróciła się do Maddy.

- Jesteś zapięta?

- Aha. Zaciągnij hamulec bezpieczeństwa, Sophio.

- Mamo, ty zaciągnij. Potrzebne mi obie ręce.

Samochód znów zapiszczał, majtnął tyłem na następnym zakręcie.

- Zaciągnęłam do oporu, dziecino. - Ale samochód nie zwolnił. - A gdyby tak zgasić silnik?

Maddy przełknęła ślinę.

- Koła mogą się zablokować.

Sypnęło Œwirem, kiedy Sophia walczyła, Œeby utrzymać samochód na drodze.

- Zadzwoń z mojego telefonu na dziewięćset jedenaście.

- Redukuj biegi! - zawołała Maddy. - Biegi!

- Mamo, wrzuć trójkę, kiedy ci powiem. Ale, uwaga, bo nami szarpnie. Dobra.

Trzymajcie się. - Wcisnęła dźwignię, wóz jakby nabrał prędkości. - Teraz!

Samochód szarpnął. Maddy zagryzła usta, ale krzyk sam wyrwał jej się z gardła.

- Teraz dwójka - zakomenderowała Sophia, szarpiąc w bok, żeby zjechać z pobocza. - Teraz.

Zarzuciło. Na chwilę zdjął ją strach, żeby poduszki powietrzne ją obezwładnią.

- Trochę zwolniłyśmy. Zaraz będzie zjazd i kolejne zakręty. A potem pod górę, może wtedy. Trzymajcie się.

Patrzyła przed siebie, wypatrując każdego zakrętu. Światła omiotły mrok, przecięły smugi aut nadjeżdżających z przeciwka. Usłyszała wściekły ryk klaksonów, kiedy przekroczyła ciągłą linię.

- No już, już. - Skręciła kierownicę w lewo, potem w prawo. Wreszcie poczuła grunt pod kołami. - Wrzuć jedynkę, mamo.

Strasznie nimi targnęło, jak gdyby potężna pięść rąbnęła w klapę z przodu.

Coś zawyło, szczęknęło. A kiedy prędkość spadła, Sophia zjechała na pobocze.

Gdy stanęła, żadna się nic odezwała. Obok śmignął jeden samochód, potem drugi. Pilar rozpięła pas.

- Dziewczyny w porządku?

- Aha. - Maddy otarła łzy z policzków.

- Aha - potwierdziła Sophia. - A teraz chodu. Wskoczyła z auta. Oparła ręce na masce, gwałtownie oddychała.

- Nieźle prowadzisz - pochwaliła ją Maddy.

- Dzięki.

Pilar wzięła ją w ramiona, bo córka wpadła w dygotki. I trzymając Sophie, drugą ręką przytuliła Maddy. Dziewczyna wtuliła się w nie obie i popłynęły łzy.

Niemal nieprzytomny z trwogi i ulgi David wypadł z domu. Kiedy wóz policyjny zahamował, David wygarnął z niego Maddy, porwał ją w ramiona.

- Nic ci nie jest. - Całował jej policzki, włosy. - Nic ci nie jest. Powtórzył to pół tuzina razy.

- Nic mi nie jest. - Kiedy zarzuciła mu ręce na szyję, cały świat znów odzyskał

dawny kształt. - Sophia prowadziła jak kierowca rajdowy. Niezła jazda.

- No, to miałaś niezłą jazdę. - Theo poklepał ją niezręcznie po plecach. - Jaja odprowadzę, tato. Bo sobie nadwerężysz rękę.

- Już w porządku, tatusiu - zapewniła go Maddy. - Mogę chodzić. Theo pomoże mi wnieść te łupy.

Wywinęła się z objęć ojca.

- Coś ty zrobiła z włosami?

David przejechał ręką po jej włosach z przodu.

- Obciąłam trochę. Podoba ci się?

- Chyba teraz wyglądasz bardziej dorośle. Nie mogę się przyzwyczaić do twojej dorosłości. Maddy.
- Westchnął. - No, to idź po te swoje skarby.

Theo chwycił torby, Maddy dreptała za nim w nowych, modnych butach.

- Och, Davidzie, tak mi przykro - powiedziała Pilar.

- Nic nie mów. Pozwól tylko, żeby ci się przyjrę. - Ujął jej twarz w ręce. Oczy Pilar były ogromne i pełne jeszcze przeżytego lęku. - Nic ci nie jest?

- Nie.

Przytulił ją, dosłownie znikła w jego ramionach.

- A Sophia?

- Też cała i zdrowa. Davidzie, nigdy w życiu się bardziej nie bałam, a one zachowały się obie na medal. Nie chciałam zostawiać Sophii tam z policją, ale Tyler już do niej jedzie.

- Wejźmy do środka. - David trzymał ją blisko przy sobie. - Opowiedz mi wszystko.

Wycisnął pół tubki szelaku do kąpielni, który trzymał jeszcze od Bożego Narodzenia. Miał zapach sośniny, no i się pienił. Tyler uznał, że będzie chciała mieć pianę. Na krawędzi wanny postawił świecę. Nie miał pojęcia dlaczego, ale kobiety uwielbiały kąpiele przy świecach. Nalał jej kieliszek wina, też postawił na krawędzi wanny, i cofnął się, żeby oszacować, czego jeszcze brakuje, kiedy weszła do łazienki.

Jej potężne westchnienie powiedziało mu, że przedobrzył.

- MacMillan, kocham cię.

- Aha, już mi mówiłaś.

- Nie, nie. W tej chwili kocham cię tak, jak nikt cię dotąd nie kochał i nigdy nie będzie. Po półgodzinie w tej scenerii znów stanę się człowiekiem.

Zostawił ją, żeby się ogarnęła, i poszedł po jej rzeczy. Uznał, że jeśli umieści te wszystkie zakupy w sypialni, to więcej czasu jej zabierze ucieczka stąd. Wymyślił, że to pierwszy krok do jej wprowadzenia się do niego.

To było zrobione z premedytacją, pomyślała Sophia, siedząc w salonie Tylera.

Ktoś umyślnie uszkodził jej samochód, tak samo jak przedtem sfałszowano wino.

Niby czuła to od początku, ale potwierdzenie przyprawiło ją o zimny dreszcz.

- Owszem, często nim jeżdżę. Częściej wprawdzie samochodem osobowym, ale ma tylko dwa miejsca. Wybrałyśmy się we trzy na zakupy przed ślubem mojej mamy, dlatego wzięłyśmy większy samochód.

- Kto znał pani plany? - spytała detektyw Maguire.

- Pewno wiele osób. Rodzina. Miałyśmy się spotkać z sędzią Moore, no więc, też i jej rodzina.

- Czy pani się z nimi umawiała?

- Niezupełnie. Zajrzałam do Jamesa Moore'a, mojego adwokata, zanim spotkałam się z rodziną na obiedzie. Reszta dnia przebiegała bez planów.

- A gdzie pani była przed zakupami? - spytał Claremont.

- Zjadłyśmy kolację u Moose'a na placu Washingtona. Mniej więcej od siódmej do wpół do dziewiątej. Stamtąd pojechałyśmy do domu.

- Czy ktoś mógłby pani źle syczyć?

- Owszem. - Spojrzała Claremontowi prosto w oczy. - Jeremy DeMomey.

- Zimna kalkulacja - myślał na głos Claremont w drodze powrotnej do miasta.

- Pasuje do DeMorneya. Bo to chłodny, wyrafinowany erudyta. Ma pieniądze, pozycję. Takie typy planują wszystko z zimną krwią, ale nie sądzę, żeby ryzykował

utrata wszystkiego z powodu rozbitego małżeństwa. Jak byś zniosła zdradę ze strony męża?

- Kopnęłabym go, oskalpowałam podczas rozwodu, a potem dołożyłam starań, żeby obrócić mu resztę życia w piekło.

- I ludzie się dziwią, czemu się nie Œenię. - Claremont otworzył notatnik. - W

takim razie przyprzyjmy DeMorneya do muru. Im bardziej ktoś się wije, tym mocniej trzeba go przyciskać.

Nie miał zamiaru tego tolerować. Co za idiota z tego policjanta! Jasne, Œe niczego mu nie udowodnią. Ale mięsień w policzku Jerry'ego zadrgał, kiedy wątpliwości zakiełkowały mu w głowie. Nie, nie, miał pewność. Na pewno zachował

ostroŒność. Ale to było teraz bez znaczenia.

Giambelli juŒ raz upokorzyli go publicznie. Po romansie Avana z jego Œoną ludzie wzięli go na języki. Stracił szacunek w firmie, nawet w oczach wuja. Jeremy DeMorney, zawsze uwaŒany za dziedzica Le Coeur, musiał przełknąć gorzką pigułkę.

Giambelli jakoŒ wtedy nie ucierpeli. O Pilar wyraŒano się z szacunkiem i sympatią, o Sophii z cichym uwielbieniem. No i nikt nigdy nie przypiął łatki wielkiej Signiorze.

W kaŒdym razie, dopóki on się o to nie postarał.

Jego zemsta godziła w samo serce rodu. Hańba, skandal, nieufność, wszystkiego po trochu. Idealnie.

I kto teraz musi przełknąć gorzką pigułkę?

Mimo jednak tak precyzyjnych planów znów zaczęto się go czepiać, usiłowano go pogrąŒić. Jego własna rodzina zaczęła go wypytywać. Wypytywać o prowadzenie firmy - o jego etykę, metody, rozkład dnia. AŒ zatrząsł się z oburzenia.

Kobiety Giambellich słono zapłacą za tę obrazę.

Sophia przejrzała słuŒbową pocztę elektroniczną. Wolałaby to robić w biurze w San Francisco. Ale dostała stanowcze ultimatum. Nie wolno jej samej jeździć do miasta. Kropka.

Tyler nie opuszczał pól. Pielenie się jeszcze nie skończyło, czyszczenie z odrostów dopiero się zaczynało, wystąpiła teŒ łagodna plaga filoksery. Nic nazbyt niepokojącego, bo w całej winnicy zasadzono krzewy jeŒyn, Œeby mogły się w nich zagnieździć osy karmiące się jajkami filoksery. Ale Tyler nie miał zamiaru spocząć, dopóki wszystko się nie wyjaśni, a wkrótce Sophia tak się zajmie Œlubem matki, Œe nie będzie chciała ani jednego dnia spędzać w biurze.

W kaŒdym razie obowiązki, napięty harmonogram pomagały jej zapomnieć o Jerrym i o Œledztwie. Mięły juŒ dwa tygodnie, odkąd wykonała ów slalom bez hamulców.

Otworzyła kolejny list elektroniczny, kliknęła w załącznik. Kiedy zaczął się pojawiać na ekranie, serce zabiło jej mocniej.

To była kopia jej następnej reklamy, która miała ukazać się w sierpniu. Piknik rodzinny w pełnym słońcu, odrobina cienia pod wielkim, starym dębem. Grono ludzi przy długim drewnianym stole

zastawionym suto jedzeniem i butelkami wina.

Obraz bardzo zgrabnie podretuszowano. Podmieniono twarze trzech modelek.

Sophia z przerażeniem wpatrywała się w twarze babki, mamy, a także swoją. W jej serce była wbita butelka wina niczym nóż.

I napis: „Wybita twoja godzina. Ciebie i twoich bliskich czeka śmierć”.

- Och, ty sukinsynu, ty sukinsynu. Uderzyła w klawisz „drukuj”.

Czyszczenie krzewów było miłym zajęciem. Na tle przejrzystego błękitnego nieba okoliczne góry obsypany się bujną zielenią niosącą zapowiedź lata.

Winne grona Tylera chronił przed prażącym słońcem południa zielony baldachim liści. Parasol natury, jak go nazywał dziadek. Niebawem czarne grona zaczną zmieniać kolor, zielone jagody cudem zmieniają się w niebieskie, potem fioletowe, i przyjdzie czas zbiorów.

Kiedy Sophia kucnęła przy nim, nie przerwał pracy.

- Już sądziłem, że zmarnujesz tam w tej norze cały dzień, przegapisz słońce.

Straszny masz kawałek chleba.

- Sądziłabym, że wielki szef winnicy ma coś lepszego do roboty niż

czyszczenie krzewów z odrostów. - Przeczesała mu ręką włosy, mocno rozjaśnione słońcem. - Gdzie masz czapkę?

- Gdzieś tu leży. Najwcześniej dojrzeje pinot noir. Założyłem się o stówę z Pauliem. To nasz najlepszy zbiór od pięciu lat. On postawił na chenin blanc.

- O, ja też w to chętnie wejdę. Stawiam na pinot chardonnay.

- Nie szastaj tak pieniędzmi. - Wstał, zderzył się z nią kolanami, ale zauważył, że dziewczyna dygocze. - Co się dzieje, kochanie?

- Czytałam pocztę. - Pokazała mu podrobioną reklamę. - Wysyłam to na policję, zwołuję spotkanie na szczycie. Ale tobie pierwszemu chciałam powiedzieć.

Tyler nie powstał z kucek, nakrył jej rękę swoją. Na niebie jakaś chmurka droczyła się ze słońcem, przesłoniła światło.

- Posłuchaj, ja go odnajdę i obłupię ze skóry tępym nożem. Ale aż do tego szczęśliwego końca musisz mi coś obiecać. że ani na krok nie ruszysz się nigdzie sama. Nawet na spacer do ogrodu. Mówię całkiem poważnie.

- Rozumiem twój niepokój, ale...

- Nie rozumiesz, bo on nie podlega rozsądkowi. Nie da się go opisać. - AŜ jej serce podskoczyło, kiedy uniósł do ust jej wolną rękę i ucałował zagłębienie dłoni. -

Kiedy budzę się w środku nocy, a ciebie przy mnie nie ma, oblewa mnie zimny pot.

- Tyler, kochany.

- Oj, cicho, nie mów nic teraz. - Jednym spręŜystym ruchem zerwał się na równe nogi. - Nigdy nikogo przedtem nie kochałem. I nie odbierzesz mi tego.

- Tylerze, wcale nie mam takiego zamiaru. Ani tobie, ani sobie.

- Świetnie, w takim razie pakuj manatki.

- Nie wprowadzę się do ciebie.

- Niby, do diaska, dlaczego? - Sfrustrowany, przejechał palcami po włosach. -

I tak prawie pół doby spędzasz u mnie.

- Nie chcę z tobą mieszkać.

- Dlaczego? Powiedz mi. dlaczego?

- MoŜe jestem staroświecka.

- Ta, akurat.

- MoŜe jestem staroświecka - powtórzyła - pod tym jednym względem. Nie sędzę, byśmy powinni zamieszkać razem. Sędzę, Őe powinniśmy się pobrać.

- To tylko kolejny... - Jej słowa dopiero do niego dotarły. - Cooo?

- Tak właśnie, ale po tej twojej błyskotliwej ripocie muszę wrócić do domu i wezwać policję.

- Ech, pewnego pięknego dnia pozwolisz mi zrobić to w odpowiednim czasie.

Mogłaś przynajmniej oświadczyć mi się bardziej tradycyjnie.

- Oświadczyć ci się? Proszę bardzo! OŜenisz się ze mną?

- Jasne. Listopad mi odpowiada. - Ujął ją pod łokcie i uniósł kilka centymetrów nad ziemię. - Moglibyśmy wyjechać na wspaniałą miodowy miesiąc i wrócić przed przycinaniem winorośli. To tak ładnie i symbolicznie zamknęłoby cykl.

Co ty na to?

- Sama nie wiem. Muszę się zastanowić.

Pocałował ją mocno.

- Daj mi dokończyć z tymi uprawami. A potem zadzwonimy na policję. I do rodziny.

- Posłuchaj, Tyler, to, Őe ja się oświadczyłam, wcale nie oznacza, Őe rezygnuję z pierścionka. Sama go wybiorę.

- Nie ma mowy.

Westchnęła, połoŜyła mu głowę na ramieniu.

- Kiedy tu szłam, byłam wystraszona i zła. Teraz jestem wystraszona, zła i szczęśliwa. Przez co czuję się lepiej - stwierdziła. - Znacznie lepiej.

- Oto kim jesteŝmy - podsumowała Tereza, unosząc kieliszek. - I kim chcemy być.

Jedli kolację na dworze. Wieczór był ciepły, słońce nadal grzało. W winnicach za trawnikami i ogrodami krzewiły się dorodne winoroŝle, a pinot noir, jak przewidział Tyler. wlaŝnie zaczęło zmieniać barwę.

Czterdzieŝci dni do zbiorów, pomyślała Sophia. To stara zasada. Kiedy grona nabierają koloru, pozostaje czterdzieŝci dni. W tym czasie mama zawrze związek małŝeński i wróci z podróŜy poślubnej, Maddy i Theo zostaną jej rodzeństwem, a ona zacznie planować wlaŝny ŝlub.

- Kiedy mamy kłopoty - ciągnęła Tereza - Igniemy bardziej do siebie. Ten rok przyniósł kłopoty i ŝalobę, ale teŝ i radoŝć. Za kilka tygodni Eli i ja dorobimy się nowego syna, kolejnych wnuków. A w miêdzyczasie ktoŝ nam zagroził. James, jak brzmi twoja opinia prawna?

James odłoŜył widelec.

- Wszystkie dane wskazują na to, Őe DeMorney był zamieszany w malwersację i fałszerstwo, aczkolwiek nie ma niezbitych dowodów. Natomiast mimo obciąŜających go zeznań Donata nie ma doŝć dowodów, by prokurator mógł oskarŝyć DeMorneya o zabójstwo Tony'ego Avano. DeMorney ma alibi, bo przebywał w Nowym Jorku, kiedy uszkodzono samochód Sophii. Dopóki policja nie znajdzie dowodów, radziłbym zostawić sprawy wlaŝnemu biegowi. Niech zadziała prawo.

- Bez obrazy dla twojego prawa, wuju Jamesie, ale do tej pory jakoŝ się nie sprawdziło - wytknęła mu Sophia.

- Sophio... - Helen sięgnęła przez stół. - Czasem sprawiedliwoŝć mija się z naszymi nadziejami i oczekiwaniami.

- Chciał nas zniszczyć - oznajmiła spokojnie Tereza. - Ale mu się nie udało.

Owszem, narobił szkód. Spowodował straty. Jednak Őe zapłaci za to. Dzisiaj poproszono go o

rezygnację ze stanowiska w Le Cocur. - Pociągnęła tyk wina.

napawając się jego bukietem. - Podobno nie najlepiej to przyjął. Wykorzystam wszelkie powiązania, żeby nie dostać pracy w Sadnej szanującej się winnicy. Zawodowo jest skończony.

- Mało - wtrąciła Sophia.

- MoŜe aŜ nadto - sprostowała Helen. - JeŜeli jest tak niebezpieczny, jak sądzisz, ten obrót spraw zapędzi go w kozi róg. Terezo, czas na świętowanie, na kolejny ruch.

- Wszyscy chronimy rzeczy dla nas najcenniejsze, Helen. Zapada zmrok -

powiedziała. - Tyler, zapal świece. I co, nadal obstawiasz swoje pinot noir przeciwko mojemu chenin blanc?

- Owszem. - Podeszedł do stołu, zapalił świece. - Oczywiście wygramy exequo, ponieważŜ nastąpiła fuzja. A skoro o fuzji mowa, mam zamiar oŜenić się z Sophią.

- Niech to diabli, Tyler! Prosiłam cię...

- Zamilcz - powiedział od niechcienia, a Sophia juŜ się nie odezwała. - To ona mi się oświadczyła, ale uznałem, Őe to niegłupi pomysł.

- Och, Sophio.

Pilar zarzuciła córce ręce na szyję.

- Chciałam zaczekać z tym do waszego ślubu, ale ten papla nie wytrzymał.

Tyler obszedł stół.

- Widzę, Őe nie dość ci dobrych wiadomości. Proszę. - Wziął ją za rękę i wsunął jej prosty, olśniewający brylant na palec. - To przypieczętuje sprawę.

- Dlaczego ty nie moŜesz po prostu... AleŜ piękny.

- NaleŜał do mojej babki. Od MacMillana dla Giambelli. - Pocałował ją w rękę. - Tak jak niegdyś od Giambellego dla MacMillan. Koło się zamknęło.

Westchnęła.

- Nie znoszę, kiedy stawiasz na swoim.

- Doceniam, Őe widzisz mnie w takim świetle. I Őeś mnie wysłuchała. - Jerry DeMorney sięgnął po rękę Renę. - Bałem się, Őe uwierzyłaś w te potworne plotki rozsiewane przez Giambellich.

- Nie wierzyłabym im, nawet gdyby mi powiedzieli, Őe słońce wstaje na wschodzie.

Renę rozsiadła się wygodnie na kanapie.

Czy mógł się ktoś bardziej nadawać? Œe teŒ nic pomyŒlał o niej wiele miesicy wczeŒniej.

- Zniszczyli moją reputację. Chyba po trosze sam jestem sobie winien. Za duŒo chciałem.

- Bo liczą się tylko wygrani. - Wydeła usta. - Uwielbiam mdрых biznesmenów.

- Naprawdę? Kiedyś nim byłem - powiedział, nalewając wino.

- Nie, Jerry, nadal nim jesteŒ. Spadniesz na cztery łapy.

- Chcę w to wierzyć. Zamierzam wyjechać do Francji. Mam tam kilka propozycji. - Albo będę miał, pomyŒlał markotnie. - Na ŒczęŒcie mogę przebierać.

Dobrze mi zrobi, jak się przewietrzę.

- TeŒ lubię podróŒe - doŒłownie zamruczała.

- Ale nie mogę wyjechać, dopóki nie rozprawię się z Giambellimi. Renę, będę z tobą Œczery. Chcę im odplacić za to, Œe mnie tak oczernili.

- Rozumiem. - W geŒcie wŒpółczucia, a moŒe nie tylko, połoŒyła mu rękę na sercu. - Zawsze traktowali mnie jak Œmiecia. Nienawidz ich.

- A moŒe byŒmy im odplacili razem?

Renę przysunęła się bliŒej Jerry'ego i wzięła z jego rk smukły kielich szampana.

- Dowiedziałam się dziŒ w salonie ciekawej rzeczy. W pitek wieczr, w przeddzień Œlubu matki, Sophia Giambelli wydaje przyjcie. Taki babski wieczr.

Zamienia rezydencję niemal w kurort. Kosmetyczki, masaŒyŒci, salon piknoŒci.

- A co w tym czasie bd robili panowie?

- Urzd sobie wieczr kawalerski u MacMillanów.

- Czyli bdziemy wiedzieli, kto jest gdzie. Renę. prawdziwy z ciebie klejnot.

- Nie zaleŒy mi na tym, by nim być. Wol je mieć.

- I tym się zajm. Ale najpierw umwmy się na randk w pitkowy wieczr w Willi Giambellich.

Chciała zapic wszystko na ostatni guzik, urzdzić wieczr, który potem bd wspominały latami. Wszystko zaplanowała i zorganizowała w najdrobniejszych Œczegłach. Za dwadzieŒcia cztery godziny jej mama bdzie się ubierała do Œlubu, ale niech w ten ostatni wieczr zanurzy się w Œwiecie kobiet.

- Sophio. - Pilar w długim białym peniuarze obeszła domek nad basenem. -

Nie mogę uwierzyć, Œe zadałaś sobie tyle trudu.

Wszędzie stały kanapy i fotele. Dzień chylił się ku zachodowi, do salonu napływały zapachy z ogrodu. Stoły były zastawione paterami pełnymi owoców, butelkami wina, wodą, koszami kwiatów.

- Chodziło mi o coś w rodzaju łaźni rzymskiej. Podoba ci się?

- Bardzo. Czuję się jak królowa.

- Dopiero po wszystkim poczujesz się jak bogini. A gdzie zaproszone panie?

Tracimy czas.

- Na górze. Pójdę po nie.

- Maddy, nalej mamie wina. Nie pozwól jej kiwnąć palcem, chyba Œe po truskawkę w czekoladzie. Ja sama pójdę po panie.

David usiłował przygwoździć Elego wzrokiem.

- Blefujesz.

- Tak? Postaw pieniądze, kolego, to będziesz mnie mógł sprawdzić.

- No, tato - podpuścił go Theo. - Kto nie ryzykuje, ten nigdy nie wygrywa.

David wrzucił Œetony do czary.

- Sprawdzam. Pokazuj.

- Trzy dwójki - rozpoczął Eli i patrzył, jak Davidowi rozbłyskują oczy. -

Pilnujące dwóch pięknych dam.

- Sukinkot!

- Szkot nie blefuje, gdy chodzi o pieniądze, synu.

Eli, rozradowany, zgarnął Œetony.

- Ten facet oskalpował mnie tyle razy, Œe nie siadam do stolika bez kasku -

odezwał się James, wymachując kieliszkiem.

Tyler odwrócił się na odgłos pukania do drzwi.

- Ktoś zamówił striptizerkę? Wiedziałem, że nie sprawicie mi nigdy zawodu.

- To pizza. - Theo aż podskoczył.

- Jeszcze pizza? Theo, niemożliwe, żebyś mógł więcej wtrząchnąć.

- Ostatnie zamówienie wchłonął na raz - powiedział Tyler.

- Sophie, to był kapitalny pomysł.

- Dziękuję, ciociu Helen. - Siedziały obok siebie, odchylone do tyłu, w zielonych maseczkach na twarzach. - Chciałam, żeby mama się odprężyła, poczuła się jak kobieta.

- Na pewno się uda. Gdzie ona jest?

- W łazience dla gości w suterenie. Na oczyszczaniu całego ciała.

- Bajka. Ja następna w kolejce.

- Szampana? - spytała Maria.

- Mario - poprosiła Sophia. - Nie nalewaj. Dzisiaj jesteś gościem.

- Już mi paznokcie wyschły. - Wyciągnęła dłonie. - Potem mam mieć robiony pedicure. Wtedy panienka przyniesie mi szampana.

- No dobrze.

Maria spojrzała w stronę Piłar, która wyraźnie odprężona wracała do nich.

- Uszczęśliwiła dziś panienka mamę.

Droga z samochodu do winnicy wydała mu się długa, a ciągnięty przez niego worek ciążył z każdym krokiem coraz bardziej. Ale Jerry nie mógł sobie odmówić przyjemności, żeby wykonać to osobiście.

Przed zapadnięciem zmroku ród Giambellich tak czy owak się skończy.

- Trzymaj się mnie - Jerry nakazał Rene. - Kiedy winnica zacznie płonąć, wysypią się jak mrówki na pikniku.

- Jeśli chodzi o mnie możesz całą winnicę obrócić w perzynę. Byle mnie nie przyłapano.

- Rób co ci każę, to cię nie złapią. Kiedy będą tu gasili ogień, za-kradniemy się do Willi, podrzucimy paczuszkę do pokoju Sophii i wymkniemy się. Pięć minut później, zanim dym się rozwieje, będziemy już otwierali szampana w samochodzie.

- Co TO takiego? Wygląda mi na... O Boże. Winnica! Winnica się pali. Mario, dzwoń po straż

poSarna! Dziewięćset jedenaście! Winnica się pali!

Sophia zeskoczyła ze stołu do masaSu, chwyciła w biegu szlafrok.

Plan był idealny. Ogień rozprzestrzenił się w ciągu kilku minut. A potem, zgodnie z przewidywaniami Jerry'ego, wszyscy wysypali się z domu. Krzyki, tupot nóg. Z ocienionego miejsca w ogrodzie liczył sylwetki w białych szlafrokach, które biegały po winnicy.

- Miotają się - szepnął do Renę. - Idź przodem. Twierdziła, że kiedyś już

zakradła się do pokoju Sophii. Jego latarka wystarczy, żeby podrzucić paczkę do jej szafy, gdzie znajdzie ją policja. Wszedł po tarasowych schodach za Renę, przystanął, obejrzał się przez ramię. Widział pomarańczowozłotą łunę ognia na tle wieczornego nieba. Oświetlała sylwetki ludzi pędzących jak wystraszone ćmy do ognia.

Na pewno go ugaszą, ale to potrwa, a w tym czasie szlag trafi bezcenne butelki, spłonie sprzęt, cała ich tradycja pójdzie w diabły.

- Jerry, na miłość boską - syknęła Renę. - To nie wycieczka. Musimy się spieszyć.

Podszedł do drzwi tarasu.

- To na pewno jej pokój?

- Na pewno. No dobrze.

Otworzył drzwi, lecz raptem z naprzeciwka wyskoczyła Sophia i zapaliła światło.

Nagły błysk ją poraził, wstrząs zamurował. Ale zanim się jeszcze ocknęła, skoczyła na niego, ślepa furia wyrzuciła ją niczym katapulta. Jerry wziął zamach, uderzył ją w twarz. Ona jemu rozorała policzek paznokciami.

Doprowadzony do szału, odrzucił ją na bok, wprost na wrzeszczącą Renę. W

locie dostrzegła, że Jerry wyrywa broń z kabury.

Już miał pociągnąć za spust, ale dojrzał przerażenie w jej oczach. Zapragnął ją pognać.

- Trzeba było uciec razem z innymi, Sophio. Ale może los chciał, żebyś skończyła tak jak ten łajdak, twój ojciec. Z kulą w piersi.

- Jerry, musimy wiać. - Renę w panice patrzyła na pistolet. - Co ty wyprawiasz? Nie możesz jej tak zastrzelić. To obłąd. To morderstwo. Ja się w to nie mieszam. Zmywam się stąd. Daj mi kluczyki do wozu.

- Zamknij się, do cholery.

I niemal bezwiednym gestem rąbnął Renę pistoletem. Upadła jak kamień.

- O, świetnie się składa. Sophio, ty docenisz ten idealny plan. Renę podłóżyła ogień. Bo od dawna miała z tobą na pieńku. Zakradła się do twojego pokoju, żeby podrzucić dowody przeciwko tobie. Przyłapałaś ją, podczas szamotaniny broń wypaliła. Ta sama, z której postrzelono Davida Cuttera. Ty nie żyjesz, a ją za to powieszają. Czysta sprawa.

- Dlaczego to robisz?

- Bo nikt mi nie będzie bezkarnie grał na nosie. Wy, Giambelli, uważacie, że wszystko wam się należy. A zostaniecie z niczym.

- Z powodu mojego ojca? - Przez otwarte drzwi za jego plecami widziała jaskrawą łunę pośaru. - Tylko dlatego, że ci narobił wstydu?

- Narobił wstydu? On mi ukradł... Sone, ukradł moją godność. Był kłamcą i oszustem.

- Owszem, był. - Nikt tu się nie zjawi, pomyślała z rozpaczą. Nikt nie oderwie się od pośaru, żeby przyjść jej na ratunek. - A ty nawet tym nie jesteś.

- Gdybym miał czas, to bym podyskutował. Ale trochę mi się spieszy, no więc... - Uniósł pistolet o kilka centymetrów. - *Ciao, helia.*

- *Vai a farti fottere.* - Przeklęła go opanowanym głosem. A kiedy pistolet wypalił, odskoczyła krok do tyłu. I patrzyła, jak krew ciekła przez małą dziurkę w jego koszuli.

Zdumienie odmalowało mu się na twarzy, po czym drgnął i upadł. Stojąca w progu Helen opuściła broń.

- O Boże. Ciociu Helen, byłby mnie zabił.

- Wiem. - Helen weszła spokojnie do pokoju. - Wróciłam, by ci powiedzieć, że mężczyźni już tu są. Zobaczyłam...

- Byłby mnie zabił. Tak samo jak zabił mojego ojca.

- Nie, kochanie. To nie on zabił twojego ojca. Ja go zabiłam. To ja zabiłam -

powtórzyła i upuściła pistolet na podłogę. - Bardzo mi przykro.

- Co ty mówisz? To jakiś obłąd.

- Z tej broni. Należała do mojego ojca. Nigdy nie była zarejestrowana. Sama nic wiem, dlaczego ją wtedy wzięłam. Nie miałam zamiaru go zabijać. Ale... znowu domagał się pieniędzy.

- O czym ty mówisz? - Sophia potrząsnęła Helen. Czowała zapach prochu i krwi.

- Co ty wygadujesz?

- Sophio, zaczął napuszczać na mnie naszego syna. Linc jest synem Tony'ego.

- JuŜ opanowali poŜar! - Pilar podbiegła do drzwi i zamarła. - Sophio! Co tu się stało?

- Poczekaj. Nie wchodź. Nie dotykaj niczego. - Sophia mówiła zdyszczanym głosem, ale teŜ myślała, myślała gorączkowo. - Ciociu Helen, nie moŜemy tu zostać.

Wyciągnęła Helen na taras.

- Powiedz nam szybko, bo nie mamy zbyt wiele czasu.

- Zabiłam Tony'ego. Pilar. zdradziłam cię. Siebie teŜ. Wszystko, w co wierzyłam.

- Uratowała mi Ŝycie - powiedziała z naciskiem Sophia. Nagły wybuch wstrząsnął domem, kiedy eksplodowały butelki w winiarni. Ledwie mrugnęła okiem. -

On mnie chciał zabić. Helen, co się stało z moim ojcem?

- Domagał się pieniędzy. Zawsze wyłudzał ode mnie pieniądze. Najpierw mówił o Lincu, jaki to z niego wspaniały chłopak, bystry i obiecujący. A potem, Ŝe potrzebuje poŜyczki. Przespałam się kiedyś z Tonym. - Rozpłakała się cicho. -

Wszyscy byliśmy tacy młodzi. James i ja mieliśmy problemy. Rozstaliśmy się na kilka tygodni.

- Pamiętam - mruknęła Pilar.

- Spotkałam Tony'ego. Był taki uroczy. Okazał mi tyle zrozumienia.

Oczywiście, nie mam co się usprawiedliwiać. Pozwoliłam na to. Potem palił mnie wstyd. Okazało się, Ŝe jestem w ciąży, powiedziałam Tonyemu. Równie dobrze mogłam go zawiadomić o zmianie fryzury. Chyba nic mogłam od niego wymagać, Ŝe zapłaci za jedną noc niedyskrecji, prawda? No więc, ja płaciłam. - Łzy ciekły jej po twarzy. - I płaciłam.

- Więc Linc jest synem Tony'ego.

- Jamesa. - Helen spojrzała błagalnie na Pilar. - Pod wszystkimi względami poza tym jednym. On nie wie, Ŝaden z nich nie wie. Zrobiłam wszystko, Ŝeby zadośćuczynić za tamtą noc. Jamesowi, Lincowi... i tobie, Pilar. Byłam młoda i głupia, ale nigdy sobie nie wybaczyłam. Dawałam mu pieniądze za kaŜdym razem, kiedy chciał.

- I więcej juŜ nie mogłaś - podsumowała Pilar.

- Tamtego wieczoru powiedział, Ŝe musi się ze mną zobaczyć. Po raz pierwszy odmówiłam. Zdenerwował się. Zagroził, Ŝe powie Jamesowi, Lincowi, tobie. Nie chciałam do tego dopuścić. Chodziło o moje dziecko, Pilar. O mojego syna. Po powrocie do domu wyjęłam broń z sejfu. LeŜała

tam od lat. Nie wiem, dlaczego mi to przyszło do głowy. Zupełnie jakby coś mnie omamiło. Miał włączoną muzykę i butelkę dobrego wina. Siedział i opowiadał mi o swoich kłopotach finansowych.

Czarująco, jakbyśmy byli parą starych przyjaciół. Tym razem poprosił o ćwierć miliona dolarów. Bo dał mi takiego udanego syna.

Nie zorientowałam się, że trzymam pistolet w dłoni. Ani że wypalił, dopóki nie zobaczyłam czerwieni na jego białej koszuli. Miał takie zdziwienie w oczach, zaledwie leciutki niepokój. Wróciłam do domu, wmawiając sobie, że to się nie stało.

Od tamtej pory nie ruszam się bez broni.

Cykle, pomyślała Sophia. Obroty. Czasem ktoś je musi zatrzymać.

- Tą samą bronią uratowałaś mi dziś życie.

- Bo cię Kocham - powiedziała zwyczajnie Helen.

- Wiem. A teraz posłuchaj, co tu się dziś stało. Wróciłaś, zobaczyłaś, że Jerry trzyma mnie na muszce. Chciał mi podrzucić oba pistolety. Zaczęliśmy się szamotać, a pistolet, z którego zabił mojego ojca, upadł na podłogę, pod drzwiami. Podniosłaś go i zastrzeliłaś gościa, zanim on by zastrzelił mnie.

- Sophio.

- Prawda, mamo. że tak to się odbyło?

- Owszem. Tak się właśnie odbyło. Uratowałaś życie mojemu dziecku.

- Nie mogę.

- Owszem, mój szes. Chcesz mi to wynagrodzić? - spytała Pilar. - Jeśli mnie Kochasz, to zeznasz dokładnie tak, jak powiedziała Sophia. Tony był jej ojcem. Kto ma większe prawo do decydowania?

- Jerry nie żyje - podsumowała Sophia. - Zabijał, groził, niszczył, a wszystko przez jeden głupi samolubny akt mojego ojca. Ale na tym koniec. - Cmoknęła Helen w policzek. - Dziękuję ci. Za resztę uratowanego życia.

Później, już głuchą nocą, Sophia siedziała w kuchni, popijając herbatę wzmocnioną brandy. Wydała oświadczenie, podała Helen rękę, tak jak Helen podała jej.

Sprawiedliwość, pomyślała, mija się czasem z naszymi nadziejami i oczekiwaniami. Tak się kiedyś wyraziła Helen. A oto niespodziewanie wymierzono sprawiedliwość. Nie przejęła się paplaniną rozhisteryzowanej Renę, która zeznała Claremontowi i Maguire, że Jerry, wariat i morderca, zmusił ją pod broń, żeby z nim poszła.

Życie to trudna sprawa.

Wreszcie policja wyszła, w domu zapanował spokój. Spojrzała na wchodzące matkę i babcię.

- A ciocia Helen?

- Wreszcie usnęła. Wyjdzie z tego. Ma zamiar zrzec się fotela sędziowskiego.

Pewno sumienie ją gryzie. - Pilar postawiła dwa kubki na stole. - Sophio, powiedziałam o wszystkim mamie.

Sophia ujęła Terezę za rękę.

- Dobrze postąpiłam, babciu?

- Fantastycznie. Obie wykazałyście dzielność. Jestem z ciebie dumna. -

Usiadła z westchnieniem. - Nie mówmy już o tym. Jutro ślub mojej córki. Niebawem piękne zbiory. I kończy się kolejny sezon. Następny będzie należał do ciebie i Tylera.

Eli i ja z początkiem roku odchodzimy na emeryturę.

- Babciu.

- Trzeba przekazywać pochodnię. Bierz, co ci daję. Uśmiechnęła się na dźwięk lekkiej irytacji w głosie babci.

- Dobrze. Dziękuję, babciu.

- Teraz już późno. Panna młoda musi się wyspać, ja też. Wstała, zostawiając nietkniętą herbatę.

Tyler zapalił światła w winiarni, stara budowla wychynęła z mroku. Sophia zobaczyła migoczące odłamki szkła, smugi dymu, osmalone ściany. Ale winiarnia stoi, jak stała.

Może ją wyczuł? Pochlebiała sobie, że tak. Wyszedł z uszkodzonych drzwi, kiedy podbiegła. Chwycił ją i mocno do siebie przytulił.

- Tu jesteś. Uznałem, że muszę ci dać trochę czasu. - Wtulił twarz w jej włosy.

- Kiedy pomyślę...

- To nie myśl - rzekła, rozchylając ku niemu usta. - Już wszystko w porządku.

Wszystko. Tyler. Odbudujemy winiarnię, odbudujemy nasze życie. I postaramy się, żeby naprawdę było nasze. Na niczym bardziej mi nie zależy.

- To się dobrze składa, bo mnie też. Chodźmy do domu, Sophio. Wzięła go pod rękę i ruszyli, zostawiając za sobą ruiny i blizny.

Na wschodzie majaczyły pierwsze przebłyski poranka. Kiedy słońce przebija się przez chmury,

pomyślała, zacznie się nowy piękny dzień.